

Biuletyn Z.W. PTTK w Łodzi



Rok XXXV

Lipiec—grudzień 1990

IV—VI (328—330) 90



BUDYNEK IV LO IM. E. SZCZANIECKIEJ

ze zbiorów IV LO



Edwarda Szeplińska — <b>Historia IV Liceum Ogólnokształcącego im. Emilii Szczanieckiej w Łodzi, ul. Nowotki 16</b> . . . . .	3
Jerzy Urbankiewicz — <b>Ci z Piotrkowskiej</b> . . . . .	10
Mirosław Jaskulski — <b>Z tradycji muzycznych Łodzi: Artur Rubinstein</b> . . . . .	13
Aleksander Gieysztor — <b>Krajoznawstwo i tożsamość kulturalna</b> . . . . .	22
Lechosław Fularski — <b>Jak odbudowano kapliczkę na Bukowej Górze</b> . . . . .	24
Anna Pilarska — <b>Urzeczeni Górami Świętokrzyskimi</b> . . . . .	31
Stefan Dryll — <b>Dawny Teatr Wielki przy ul. Konstantynowskiej w Łodzi</b> . . . . .	34
Mirosław Jaskulski — <b>Cegielnia miejska w Łodzi</b> . . . . .	36
Adam Ochocki — <b>„Ślepy Maks” i jego ferajna</b> . . . . .	43
Wanda Franciszka Dryll — <b>„Moje tajne nauczanie — obrazek z własnych przeżyć</b> . . . . .	50
Stanisław Bulkiewicz — <b>Oznaka na czapkę policjanta żydowskiego w Getcie</b> . . . . .	52
Przemysław Pilich — <b>Harem w Grabkach Dużych</b> . . . . .	56
Mirosław Zbigniew Wojalski — <b>Ilza Sternfeld (1911—1990)</b> . . . . .	58
Hanna Lipińska-Ebner, ks. Jerzy Spychała — <b>Wspomnienia z pielgrzymki do Lourdes i La Salette</b> . . . . .	62
Zbigniew Wilk — <b>Szanować wodę</b> . . . . .	67
Zbigniew Lipowski — <b>Bliżej korzeni</b> . . . . .	68

BIULETYN PTTK „WĘDROWNIK” jest wspólnym organem Zarządu Wojewódzkiego, Oddziałów, Komisji, Klubów i Kół PTTK.



Wydaje Zarząd Wojewódzki PTTK w Łodzi.



Adres Redakcji: ul. Wigury 12a, 90-301 Łódź, tel. 36-43-70



Redaguje Komitet w składzie: **Bohdan Bazyliński, Adam Chyżewski, Anna Dąbrowska** (Sekretarz Redakcji), **Zbigniew Lipowski, Leonard Matuszewski, Anna Pilarska** (Redaktor Naczelny) i **Stefan Zwierzyński** (Redaktor Techniczny)



Numer zamknięto w październiku 1990 r.

## Historia IV Liceum Ogólnokształcącego im. Emilii Szanieckiej

w Łodzi, ul. Nowotki 16

Z okazji siedemdziesięciolecia IV Liceum Ogólnokształcącego im. E. Szanieckiej w Łodzi pragniemy przedstawić krótki zarys historii szkoły.

W 1920 r. Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego powołało w Łodzi Państwowe Gimnazjum Żeńskie jako ośmioklasowe gimnazjum, czyli typową w owych czasach szkołę średnią ogólnokształcącą, do której przyjmowano dzieci po ukończeniu 3 oddziałów szkoły powszechnej. Państwowe Gimnazjum Żeńskie było szkołą neohumanistyczną, a na mocy rozporządzenia MWRiOP w 1922 r. zmieniono jej typ na humanistyczny, wprowadzając do programu nauczania język łaciński.

Organizację i uruchomienie gimnazjum powierzono właścicielce prywatnej pensji Janinie Pryssewicz. Na siedzibę PGŻ przeznaczono gmach przy ul. Pomorskiej 16 (dawna Średnia 16) wzniesiony (w 1903) na pensje córek urzędników rosyjskich. Budynek przypomina fasadą florencki pałac, wewnątrz z piękną aulą, klatką schodową i holem.

W czasie I wojny światowej budynek przeznaczono na niemieckie koszary, a w 1920 roku na szpital wojskowy. Dopiero we wrześniu 1921 r. PGŻ przeniesiono do budynku mu przeznaczanego. Do roku 1921 PGŻ mieściło się przy ul. Sienkiewicza 35 w pensji Janiny Pryssewicz. Naukę rozpoczęło 269 uczennic z rodzin niższych funkcjonariuszy państwowych oraz z rodzin rzemieślniczych i robotniczych. Część pomieszczeń budynku: aule i sale na I piętrze zajmowała Rada Miejska.

W dniu 21 listopada 1921 r. odbyła się wielka uroczystość szkolna w obecności wiceministra MWRiOP Tadeusza Łopuszewskiego, kuratora OKŁ, Jana Jarosza i biskupa Wincen-tego Tymienieckiego, podczas której nadano imię szkole i oficjalną nazwę: Państwowe Gimnazjum Żeńskie im. Emilii Szanieckiej.

Koło Opieki, powstałe w 1921 r., później noszące nazwę Koła Rodzicielskiego, aktywnie działało na rzecz wyposażenia szkoły w pomoce naukowe. Z okazji nadania imienia szkole przeznaczyło znaczną kwotę na zakup sztandaru. Dużą rolę odgrywało także Koło Matek, organizujące posiłki, dyżury, zabawy szkolne, kolonie, dbające o stan higieniczny uczennic.

W Państwowym Gimnazjum Żeńskim pracowało wówczas siedemnastu nauczycieli. Pierwszą maturę przeprowadzono w 1925 roku. Pomyślnie egzamin maturalny złożyło dwanaście uczennic.

W 1925 roku, roku pierwszej matury pełna nazwa szkoły brzmiała: Państwowe Gimnazjum Żeńskie nr 39 im. Emilii Szanieckiej. W latach 1925 — 1936, podczas jedenastoletniej kadencji Romany Pachuckiej, szkoła uzyskała pełnię swojego rozkwitu. Wprowadzano nowoczesne metody nauczania. W latach 1928 — 31 wprowadzono system daltoński z przedmiotów: języka polskiego, historii, matematyki, języka francuskiego. Szkoła osiągała doskonałe wyniki i należała do przodujących w Łodzi. W tym też czasie powstały pracownie: fizyczna, przyrodnicza, rysunkowa, do robót ręcznych, sala muzyczna, pracownia matematyczna, polonistyczna, historyczna, biblioteka uczniowska, gabinet lekarski i dentystyczny, sala jadalna, łazienki, szatnia. Wyposażenie szkoły stawało się coraz lepsze, co korzystnie wpływało na polepszenie efektów dydaktycznych, czego dowodem był wysoki poziom matur i dobre przygotowanie do studiów. Maturzystki „Szanieckiej” przyjmowane były jako jedne z najlepiej przygotowanych na wyższe uczelnie. Dyrektor Romana Pachucka wielką rolę przywiązywała nie tylko do nowoczesnych metod nauczania, ale i wychowania. Z jej inicjatywy znacznie rozwinięto samorządność uczennic. Nowo powstały samorząd nazwano 10.V.1929 r. „Gminą Szkolną”. Wydawała ona swoje czasopismo pt.: „Młodzieńczy Lot”.

Pismo odzwierciedlało życie szkoły, uczniowskie zainteresowania, smutki i radości. Słowem „nic, co szkolne nie było mu obce”. „Młodzieńczy Lot” wydawano przez 11 lat. Pierwszy numer wydano w listopadzie 1929 roku, a ostatni, trzydziesty szósty, w lutym 1939 r. Do pierwszych redaktorek należały: Zofia Hiszpańska, Henryka Tylmanówna, Maria Dembowska oraz dbająca o szatę graficzną Helena Kotlicka.

Ideał wychowawczy szkoły opierał się na kulcie Józefa Piłsudskiego. Corocznie marcowe wydanie „Młodzieńczego Lotu” poświęcano Marszałkowi. Druk „Młodzieńczego Lotu” odbywał się w dwóch łódzkich drukarniach:



ZAJĘCIA W LABORATORIUM JĘZYKOWYM

ze zbiorów IV LO

Współczesnej Drukarni Artystycznej i Drukarni Ludowej.

Drugą formą samorządności była Spółdzielnia Uczniowska. Z uzyskanych dochodów fundowano stypendia studenckie dla najlepszych absolwentek (300 zł).

Aktywną działalność prowadziły także szkolne organizacje i koła zainteresowań: drużyna harcerska im. Bałki Wołodyjowskiej, Koło PCK, hufiec PW, Koło Opieki, Koło Matek, Koło Rodzicielskie, Koło Korepetytorek. Koło Rodzicielskie z uzyskanych własnych dotacji i miejskich funduszy w 1933 r. rozpoczęło budowę osiedla wypoczynkowego w Sokolnikach, którego otwarcie nastąpiło w 1934 r. Do 1939 r. w osiedlu odbywano dwutygodniowe zajęcia lekcyjne i rekreacyjne dla podniesienia zdrowotnej kondycji uczennic. „Sokolnickie Osiedle” dawało młodzieży możliwość lepszego wzajemnego poznania się, nawiązania przyjaźni i odpoczynku na świeżym powietrzu. Do „Osiedla” młodzież wyjeżdżała całymi klasami według ustalonego przez dyrekcję planu. W „Osiedlu” opiekę nad młodzieżą sprawowały wychowawczynie klas. W każdym dniu „Osiedle” gościło innego specjalistę przedmiotu, dzięki czemu program nauczania był realizowany rytmicznie i harmonijnie. Do „Osiedla” wyjeź-

dzały z nauczycielami także uczennice klasy maturalnej w celu powtórzenia i utrwalenia wiadomości do egzaminu maturalnego. „Osiedle” spełniało wielką rolę w życiu szkoły. Rodzice uczennic wnosili obowiązkowe opłaty roczne w wysokości 50 zł na Koło Rodzicielskie, 50 zł na „Osiedle” i 40 zł na fundusz wycieczkowy (wycieczki były obowiązkowe i skorelowane z programem szkolnym).

Znaczną rolę w życiu PGŻ odegrało Koło Przyjaciół Francji założone w roku 1931/32 z inicjatywy nauczycielki języka francuskiego Janiny Brzesko-Wolskiej i dyrektor Romany Pachuckiej. Nawiązano korespondencję i kontakt z główną sekretarką Koła Przyjaciół Polski we Francji, panią Rosa Bailly, która umożliwiła korespondencję z młodzieżą francuską. Korespondencja ta dawała naszym uczennicom dużo satysfakcji i pozwalała pogłębić znajomość języka francuskiego. Młodzież francuska natomiast wzbogacała wiedzę o naszym kraju. 8 Marca 1933 roku szkoła została wyróżniona dyplomem i medalem Federation Internationale Des Anciens Combattants (Międzynarodowej Federacji Byłych Kombatantów). Prezes FIDAC'u generał Roman Górecki wręczając medal dyrektor Romanie Pachuckiej zaznaczył, że otrzymany medal jest jednym z trzech



EMILIA SZCZANIECKA

ze zbiorów IV LO

przyznanych Polsce przez organizację FIDAC'u, co świadczy o ogromnym wyróżnieniu, jakie otrzymało Koło Przyjaciół Francji za szerzenie i utrwalanie pokojowych ideałów.

W roku szkolnym 1932/33 wprowadzono reformę w polskim szkolnictwie średnim. Zamiast dotychczasowych ośmioklasowych gimnazjów powstają gimnazja czteroklasowe, do których przyjmowano młodzież po sześciu oddziałach szkoły powszechnej. Powstają także dwuletnie licea o zróżnicowanym typie kształcenia. Ostatnia matura starego gimnazjum odbyła się w roku szkolnym 1937/38 a pierwsza matura licealna w roku szkolnym 1938/39. W liceum wprowadzono dwa profile kształcenia: humanistyczny i przyrodniczy.

W roku szkolnym 1938/39 dokonano zmiany nazwy szkoły na IV Państwowe Liceum i Gimnazjum im. E. Sczanieckiej w Łodzi.

W latach 1929—1939 ukończyło IV PLiG 430 absolwentek. Obowiązkowym strojem uczennic były: czarne fartuszki z rękawami, białym kołnierzykiem i czerwonym paskiem, a na uroczystościach szkolnych granatowy mundur. Gimnazjalistki nosiły granatowe berety ze szkolnym znaczkiem a na rękawie tarcze z numerem szkoły (nr 39).

Do wybitnych nauczycieli okresu międzywojennego należeli: Aleksander Nikołajczuk (matematyka), Bronisław Brych (fizyka i filozofia), Franciszek Dwornik (fizyka), Zofia Grabowska (matematyka), Michał Biłyk (greka i łacina), Olga Wichłowa, Stefania Warszawska, Zofia Eysmontówna, Halina Stolarzewicz (język polski), Halina Zaborowska (język polski), Celestyna Dobrzańska (historia i geografia), Anna Żarnecka (geografia i fizyka), Stefania Jarnecka-Zabłocka (wf), Stanisława Smoleńska (biologia), Jan Wojtaszewski (fizyka).

Za wyniesienie szkoły do rangi przodującego liceum i gimnazjum w oświacie łódzkiej dyrektor Romana Pachucka została 10 marca 1934 r. udekorowana Złotym Krzyżem Zasługi. Odznaczenie to przyznawano najwybitniejszym twórcom i działaczom oświatowym.

W roku szkolnym 1936/37 odchodzi ze stanowiska dyrektora Romana Pachucka, a prowadzenie szkoły obejmuje Aleksandra Skocka. Nowa pani dyrektor wysoko oceniła poziom placówki, dobrą organizację i właściwy dobór kadry pedagogicznej. Kontynuowała chlubne tradycje szkoły, kładąc szczególny nacisk na wychowanie patriotyczne. Kierowała szkołą aż do wybuchu wojny.

20 grudnia 1939 r. dokonano na polecenie władz okupacyjnych likwidacji szkoły. Dokumentację i pieczęcie ukryto w piwnicach szkoły (niestety zaginęły). Sztandar zabrano na przechowanie uczennica Anna Sadokówna. Budynek został zajęty przez niemiecką żandarmerię. W jego części uruchomiono niemiecką szkołę zawodową.

Nauczyciele naszej szkoły podjęli tajne nauczanie oraz walkę zbrojną. Na Pawiaku, w

W okresie międzywojennym funkcje dyrektorów pełnili:

JANINA PRYSSEWICZ	(11.IX.1920 — 15.IX.1921)
TADEUSZ CZAPCZYŃSKI	(16.IX.1921 — 31.X.1921)
LUDWIK WICHER	(1.XI.1921 — 28.II.1923)
JAN KAMIŃSKI	(1.III.1923 — 31.VII.1924)
BRONISŁAW BRYCKI	(1.IX.1924 — 31.VIII.1925)
ROMANA PACHUCKA	(1.IX.1925 — 31.VIII.1936)
ALEKSANDRA SKOCKA	(1.IX.1936 — 20.XII.1939)

W okresie międzywojennym szkoła stopniowo zwiększała ilość swoich uczennic:

Rok 1945 otwiera trzeci etap historii liceum. 26 lutego 1945 r. szkoła wznowiła działalność, utrzymując przedwojenną nazwę i strukturę. W lutym odbyło się pierwsze posiedzenie Rady Pedagogicznej IV Państwowego Liceum i Gimnazjum Żeńskiego im. E. Szanieckiej pod przewodnictwem Henryka Adamskiego, organizatora szkoły po wojnie i pełniącego obowiązki dyrektora do lipca 1945 r.

Do pierwszych nauczycieli należeli: Stefania Bronowska, Wiktoria Czabakowa, Zenon Keppe, Weronika Kowalska, Janina Rutkiewicz, Jadwiga Waszkiewicz, Stefania Zabłocka, Helena Zwierzowa, Zygmunt Żabicki. Powracali do „Szanieckiej” dawni nauczyciele: Halina Stolarzewicz, Antoni Mazur, Kazimierz Chmielewski, Anna Szymańska, Irena Sługocka i inni. Przyczynili się oni do szybkiego uruchomienia i sprawnego funkcjonowania szkoły. Zakładając prowizoryczne dzienniki lekcyjne oraz wykorzystując przedwojenne programy i podręczniki kadra nauczycielska rozpoczęła pierwsze zajęcia lekcyjne w IV Państwowym Liceum i Gimnazjum im. E. Szanieckiej w Łodzi. W lutym 1945 roku rozpoczęły naukę klasy pierwsze (cztery oddziały o łącznej liczbie 195 uczennic) i drugie gimnazjalne (dwa oddziały — 61 uczennic). Klasy starsze znajdowały się w stadium organizacji.

W marcu 1945 r. odbył się na Placu Wolności wiec, podczas którego uczennice „Szanieckiej” zmanifestowały swoją obecność pod własnym szkolnym sztandarem, który ocalał

Oświęcimiu, w egzekucjach zbiorowych, walkach partyzanckich zginęli: Franciszek Dwernek, Jan Wojtaszewski, Stanisława Smoleńska, Stefania Warszawska, Jadwiga Sikorska, Krystyna Czekańska, Halina Wiernikowska-Dąbrowska, Ferdynand Jacobi, ks. Zygmunt Łabentowicz, ks. Mieczysław Wojciechowski. 23 listopada 1980 r. odsłonięto tablicę pamiątkową ku czci ofiar II wojny światowej nauczycieli i uczennic.

dzięki uczennicy Annie Sadokównie. Ona to właśnie w dniu Święta Szkoły Polskiej szła na czele szkoły ze sztandarem, na którym wyhaftowano na białym tle wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej i napis „Królowo Korony Polskiej módl się za nami”, a po drugiej stronie na tle amarantowym napis: „Państwowe Liceum i Gimnazjum im. E. Szanieckiej w Łodzi nr 39”. Ostatnia wzmianka o sztandarze znajduje się jeszcze w 1947 r. Niestety dziś pozbawieni jesteśmy tej cennej pamiątki. Sztandar w nieznanych okolicznościach zaginął. Szkoła utraciła też swoje Osiedle w Sokolnikach.

Rok szkolny 1945/46 w Państwowym Liceum i Gimnazjum Żeńskim im. E. Szanieckiej w Łodzi otwierała w dniu 4 września dyrektor Maria Kiernikowa. Naukę podjęło 625 uczennic w osiemnastu oddziałach, a proces dydaktyczny — 32 nauczycieli. W 1946 r. szkoła uzyskała ocenę dobrze pracującej i utrzymującej właściwy poziom dydaktyczno-wychowawczy. Powojenny los szkoły opisany został przez zastępcę dyrektora, E. Jackiewiczową, w książce „Dziewczęta szukają drogi”. Atmosfera książki odzwierciedla trudną sytuację odbudowującej się oświaty i różnorodnych dylematów związanych z nową sytuacją społeczno-polityczną naszego kraju. W roku szkolnym 1947/48 następuje zmiana na stanowisku dyrektora. Prowadzenie szkoły obejmuje dr Stanisław Peliński. Losy szkoły były niepewne. Ze względów ideowych noszono się z zamia-

rem rozwiązania IV PLiGŻ w Łodzi. Ostateczna decyzja o utrzymaniu „Szanieckiej” zapadła 14.VI.1948 r., o czym powiadomił Radę Pedagogiczną przedstawiciel ówczesnego Kuratorium m. Łodzi — dr Łopuski. W protokóle R.P. odnotowano wypowiedź dr Łopuskiego: „szkoła już od dłuższego czasu była pod ostrzałem i miała ulec likwidacji. Wstrzymałem się z tą decyzją i widzę że zrobiłem dobrze, bo wiele się zmieniło na lepsze”. Ta ocena dotyczyła klas młodszych, natomiast uczennice klas liceum potraktowano jako pokolenie stracone, nie precyzując dokładnie zarzutów (Protokół Rady Pedagogicznej z dnia 14.VI.1948 r. — akta szkoły).

Od września 1948 r. następuje reorganizacja systemu oświatowego, powstają jedenastolatki. Do budynku wprowadzone zostały klasy szkoły podstawowej. W ciągu jedenastolatki funkcjonują pod jedną dyrekcją klasy od pierwszej podstawowej do licealnej. Liczba uczniów w roku szkolnym 1948/49 wynosi 818, a w 1949/50 — 831. Nauka odbywała się w systemie zmianowym, a jej warunki nie były łatwe. Z dniem 1 września 1950 r. opiekę nad szkołą przejmuje Towarzystwo Przyjaciół Dzieci i nową nazwę: VII Ogólnokształcąca Szkoła TPD Stopnia Podstawowego i Licealnego.

W roku 1951 władze wyraziły swoje niezadowolone z małego procentu młodzieży pochodzenia robotniczego (27%), świeckość szkoły niezadawalająca, praca szkolnego Koła ZMP również słaba pod względem ideologicznym Szkoła o charakterze „tepedowskim” nie spełniała nałożonych zadań ani oczekiwań. W tym też roku dokonano zmiany na stanowisku dyrektora. Funkcję tę powierzono Albinie Krućńskiej (lata szk. 1951—1974).

W roku szkolnym 1957/58 wydzielono Szkołę Podstawową nr 70 i przeniesiono do innego gmachu przy ul. Rewolucji 1905 nr 22. Pozostała szkoła licealna otrzymuje nazwę: Liceum Ogólnokształcące im. E. Szanieckiej. „Szaniecka” traci wówczas charakter szkoły żeńskiej, przekształcona została w liceum koedukacyjne (r. szk. 1957/58). Powrót do imienia E. Szanieckiej w nazwie miał olbrzymie znaczenie, szczególnie dla kadry nauczającej, pamiętającej okres międzywojenny. W procesie dydaktycznym starano się nawiązać do chlubnych tradycji dawnej „Szanieckiej”.

Sytuacja lokalowa „Szanieckiej” zostaje pogorszona przez przeniesienie do gmachu szkoły przy ul. Nowotki 16 XXIV LO im. Marii Curie-Skłodowskiej. Przez okres trzech lat obie szkoły skupione były w jednym budynku (XXIV LO otrzymało siedzibę przy ul. Marysińskiej 61).

Ważnym wydarzeniem stała się data 13 czerwca 1959 r., kiedy to Komitet Rodzicielski ufundował szkolny sztandar. Pierwszy chorąży sztandaru uczeń Kazimierz Kowalski złożył uroczyste ślubowanie: „... w obecności nauczycieli i rodziców naszych ślubuję na Orła Białego, symbol naszej 1000-letniej tradycji, pracą naszą i postawą naszą w szkole potwierdzić, że nie dla słów pięknie brzmiących przyjeśliśmy za dewizę hasło: Ojczyzna i Nauka, że strzec będziemy godności uczniów tej szkoły i rycerzy tego sztandaru, że całym naszym życiem poświadczymy, iż miana Polaka jesteśmy godni” (akta szkoły).

W latach 1959—1961 przeprowadzono pod egidą Instytutu Pedagogiki w Warszawie eksperyment w nauczaniu języka obcego przy zastosowaniu magnetofonu (wówczas nowość techniczna w szkole) na 8 lekcjach języka francuskiego, popularyzując nowoczesne metody nauczania przez lekcje pokazowe dla nauczycieli innych szkół. Od roku 1964/65 przystąpiono w IV LO do następnego eksperymentu, wprowadzając nauczanie języka angielskiego według rozszerzonego programu. Zastosowano nauczanie w dwóch klasach licealnych w wymiarze 7 godzin tygodniowo. Prowadzono lekcje w języku angielskim z matematyki i fizyki. W 1969 r. otwiera się oddziały z językiem angielskim dla rozpoczynających naukę języka angielskiego.

Dla kultywowania bogatej tradycji szkoły powołano Stowarzyszenie Byłych Wychowanek i Wychowanków Gimnazjum i Liceum im. E. Szanieckiej w Łodzi. Stowarzyszenie przyczyniło się w znacznym stopniu do zorganizowania zjazdu absolwentów z okazji pięćdziesięciolecia w 1970 r. i sześćdziesięciolecia w 1980 r. Dla uczczenia jubileuszu powołano komitet redakcyjny do opracowania monografii szkoły. W wyniku pracy komitetu redakcyjnego napisano historię szkoły pt. „Sześćdziesiąt lat minęło”. Do tej pory nie ukazała się publikacja monografii. Z inicjatywy Stowarzyszenia ufundowano pamiątkową tablicę ku czci poległych nauczycieli i uczennic w czasie II wojny światowej. Jej odsłonięcie nastąpiło w dniu 23 listopada 1980 r. Aktualnie tablica znajduje się w budynku szkolnym na ścianie klatki schodowej między pierwszym a drugim piętrem. Stowarzyszenie Byłych Wychowanek i Wychowanków Gimnazjum i Liceum im. E. Szanieckiej działa do chwili obecnej. Odbywają się comiesięczne spotkania członkiń, przeważnie absolwentek z okresu międzywojennego.

Lata 1970—80 to kontynuacja twórczych innowacji. W 1969 r. powstaje z inicjatywy Andrzeja Lazarego harcerski zespół „Bałaj-

ki", który wygrywa wiele konkursów, między innymi na V Harcerskim Festiwalu w Kielcach.

Na przełomie lat 1976/77 wprowadzono w szkole dalsze zmiany w uprofilowaniu klas. Utworzono klasy biologiczno-chemiczne, liczne koła przedmiotowe, koła zainteresowań, zespoły artystyczne (Kabaret Szkolny „Zaskroniec”). „Zaskroniec” prowadzony przez uczniów: Jerzego Braszkę (obecnie aktor i reżyser), Krzysztofa Sowińskiego (aktualny reżyser). Z okazji 50-lecia szkoły uczniowie tworzą hymn szkolny — Piotr Paneth z muzyką Andrzeja Bąskiego:

Te szare mury, które stoją już od lat;  
Ileż to wielkich ludzi wysłały one w świat.  
W nich rodzą się o przyszłym życiu piękne sny  
W nich budujemy swoje szczęście także my.

IV Liceum sławne w świecie jest.  
Jemu należy się nasza cześć.  
Jemu oddajmy hołd, bo życia uczy nas  
I profesorom, którzy niosą wiedzy blask.

I stać tu będzie ten nauki wielki dom,  
Bo wciąż potrzebni nowi ludzie Polsce są.  
I oby wkrótce sławę Czwórki rozniósł wiatr  
Na całe miasto, całą Polskę, cały świat.

Od roku 1968 uczniowie naszej szkoły przystępują do olimpiad przedmiotowych. Szkoła dopracowała się wysokiego poziomu dydaktycznego i zajmuje nadal czołowe miejsce wśród liceów łódzkich.

W latach 1945—1980 opuściło mury szkolne 3421 absolwentów.

Do trudnego okresu w dziejach szkoły należy zaliczyć lata 1982—1986. Podjęto wówczas decyzję o przeprowadzeniu kapitalnego remontu budynku. Szkołę przeniesiono do gmachu Zespołu Szkół Zawodowych nr 2 na ul. Drewnowską 88. Powołano do życia Zespół Szkół w składzie: cztery szkoły zawodowe i IV LO im. E. Szanieckiej, a funkcję dyrektora — powierzono Edwardzie Szeplińskiej. Pogodzenie interesów obu typów szkół z uwzględnieniem specyfiki szkoły zawodowej i liceum było zadaniem niezmiernie trudnym. Oba zespoły nauczycielskie musiały wypracować nowe formy współpracy przy wykorzystywaniu pracowni lekcyjnych i pomocy naukowych.

Przeniesienie na czas remontu liceum na ul. Drewnowską 88 odbiło się niekorzystnie na naborze młodzieży do szkoły i na wyposażeniu pracowni. Cały sprzęt rozdzielono do różnych placówek łódzkich. Część pomocy naukowych przewieziono na ul. Drewnowską, reszta zos-

tała zmagazynowana na ul. Buczka. Dyrekcja i Rada Pedagogiczna stanęły wobec trudnego dylematu: jak w tak trudnych warunkach utrzymać dotychczasową renomę szkoły. Dylemat ten pogłębiony został trudnym okresem politycznym, stanem wojennym. Ideą pracy nauczycielskiej było zabezpieczenie maksymalnego spokoju w pracy z młodzieżą tak, aby szkoła stała się azylem neutralności i aby zagwarantowała uczniom bezpieczeństwo. Zadanie to zostało zrealizowane. Położono nacisk na proces dydaktyczny, prace kół przedmiotowych, artystycznych, organizowanie sesji popularno-naukowych w duchu narodowych tradycji i ideałów. W 1986 r. zakończono remont i rozpoczęto na nowo urządzenie pracowni przedmiotowych i laboratoriów językowych. Dążono do tego, aby szkoła uzyskała nowoczesne wyposażenie, co udało się w przypadku dwóch laboratoriów językowych, pracowni polonistycznych, językowych, historycznej, technicznej. Zdobyte niezbędnych urządzeń technicznych dla wyposażenia pracowni przedmiotowych wymagało wielkiego wysiłku od dyrekcji szkoły, nauczycieli, rodziców. Dzięki dodatkowym fundacjom pieniężnym rodziców doprowadzono do podniesienia estetyki izb lekcyjnych. Aktualnie szkoła posiada 27 pracowni przedmiotowych należycie wyposażonych i urządzonych. Proces doskonalenia bazy dydaktycznej trwa.

W latach 1982—90 IV LO utrzymało swoją pozycję na wysokim poziomie. Złożyła się na to, aktywna praca rady pedagogicznej, rodziców i uczniów. Ze względu na zapotrzebowanie społeczne kształcenia młodzieży pod kątem znajomości języka angielskiego, podjęto starania o zwiększenie ilości klas z poszerzonym programem języka angielskiego. Po wielu trudnościach, w roku szkolnym 1987/88 szkoła uzyskała oczekiwane zezwolenie. Od roku 1988 otwierane są cztery klasy z poszerzonym programem języka angielskiego. Aktualnie, w roku jubileuszowym, w klasach z rozszerzonym programem języka angielskiego (14 oddziałów na 20) pobiera naukę 491 uczniów. Nasze liceum stało się szkołą o profilu językowym. W roku szkolnym 1990/91 do klas pierwszych wprowadzono po raz pierwszy naukę języka niemieckiego. Młodzież uczy się zatem czterech języków obcych: języka angielskiego, rosyjskiego, łacińskiego i niemieckiego. Wielką wagę przywiązuje się do utrzymania na wysokim poziomie języka angielskiego. W latach 1982—1990 wydawano co miesiąc gazetki w wersji językowej angielskiej. Redaktorami byli uczniowie. Oni też decydowali o doborze artykułów. Utrzymywano stały kontakt z biblio-

tekami przy ambasadach: amerykańskiej i brytyjskiej, dzięki któremu wzbogacono wyposażenie pracowni językowych w odpowiednią literaturę. Do dziś uczniowie i nauczyciele języka angielskiego korzystają z usług British Council. Szkoła prowadzi współpracę z Wydziałem Filologii Angielskiej UŁ. Studenci filologii angielskiej odbywają praktyki zawodowe. Prowadzona jest szkoła ćwiczeń z języka angielskiego w IV LO dla studentów filologii angielskiej UŁ. Ostatnio nawiązano współpracę ze szkołą szkocką w Glasgow. Podczas wakacji od 23.VIII do 12.IX.90 r. 28 uczniów Liceum przebywało w rodzinach szkockich. Uczestniczyli w zajęciach tamtejszej szkoły, w życiu miasta, wzbogacając wiedzę o Europie i usprawniając umiejętność posługiwania się językiem angielskim. W przyszłym roku młodzież Szkoci będą goszczeni przez polskie rodziny i IV LO.

Młodzież klas z rozszerzonym programem języka angielskiego wystawia sztuki w wersji angielskiej, obchodzi każdego roku święto Gaya Foga. Towarzyszy temu świętu wiele radości i pomysłów; żyje nim cała szkoła. Efekty dydaktyczne z języka angielskiego doprowadziły do uzyskania przez nasze uczennice możliwości zdawania międzynarodowej matury. Uzyskały do niej prawo uczennice: Maria Wiśniewska (1983 r. we Włoszech), Katarzyna Kosińska (1983 r. w Kanadzie), Ewa Herbik (1990 r. w USA).

W latach 1982—1990 położono duży nacisk na przygotowanie uczniów do olimpiady języka angielskiego.

Mocnym elementem w kształceniu i wychowaniu młodzieży „Szanieckiej” w latach 1982—90 było rozwijanie aktywności i zainteresowań kulturalno-artystycznych młodzieży, która uczestniczyła w zajęciach kół artystycznych, recytatorskich, w akcji „Młodzież bliżej teatru”, w wystawach prac malarskich w szkole i innych placówkach (np. w Klubie Nauczyciela), we współpracy z muzeami oraz w olimpiadzie wiedzy o sztuce.

Uczniowie klas „angielskich” uczestniczyli w każdym roku szkolnym w konkursie wiedzy o krajach anglosaskich, organizowanym przez UNESCO, zajmując w 1986/87 r. pierwsze miejsce w Łodzi, a w poszczególnych latach zdobywali wyróżnienia i pierwsze miejsca (np. w 1988 r.) indywidualnie.

Do rozslawienia szkoły niemały wkład wniosła Beata Orczykowska (1989 r.) reprezentantka kraju i laureatka Mistrzostw Euro-

py w dziedzinie Tańca Współczesnego (Wiedeń 1989 r.).

Doskonale były też prowadzone zajęcia pozalekcyjne z dziedziny wiedzy o teatrze, dzięki którym uczniowie zdobywali zespołowe nagrody i wyróżnienia w konkursach (1983, 1984 r.). W 1985 r. uzyskują pierwsze miejsce w Łodzi w konkursie „Akcja Teatr” i nagrodę Ministerstwa, w 1987 r. pierwsze miejsce w województwie i odznakę „Przyjaciel Teatru”. Szkoła została wyróżniona dyplomem za „Akcję Teatr” w roku 1988/89 i 1989/90.

Szczególne osiągnięcia szkoła uzyskała dzięki rozmówaniu młodzieży w zajęciach z historii sztuki na lekcjach plastyki i na zajęciach koła olimpijskiego. Uczniowie w latach 1982—1990 wielokrotnie zdobywali laury olimpijskie.

Nie można pominąć ruchu turystycznego, a szczególnie rajdów górskich. Rajdy rozbudzają umiłowanie piękna ojczystego kraju a także wpływają korzystnie na rozwój sprawności fizycznej. Młodzież zdobyła już wiele odznaczeń górskich. Podtrzymano tradycję szkoły w organizowaniu obozów wędrownych letnich i zimowych.

Uczniowie „Szanieckiej” należą do wrażliwej, uczuciowej, bardzo wartościowej i humanitarnej młodzieżowej społeczności. W ramach samorządności brali udział w wielu akcjach na rzecz biednych dzieci, zbierając odzież, zabawki, książki i przekazując je do Pogotowia Opiekuńczego i Domu Dziecka z okazji Świąt Bożego Narodzenia i innych.

Niemałą rolę w funkcjonowaniu szkoły odegrał Komitet Rodzicielski i Rady Klasowe. Rodzice przychodzili z pomocą w urządzaniu szkoły po zakończeniu remontu, przewozili pomoce naukowe, sprzęt, pomagali w zdobywaniu różnych przedmiotów do wyposażenia pracowni przedmiotowych. Dodatkowe opłaty wnoszone na rzecz szkoły przyczyniły się do podniesienia estetyki pracowni. Dzięki staraniom rodziców podpisana została w 1987 r. umowa patronacka z „Tricotem”, dzięki której szkoła uzyskała dofinansowanie obozu zimowego (w 1988 r.) i dotacje na unowocześnienie dwóch pracowni: biologicznej i języka polskiego (1990 r.).

W latach 1982—1990 za olbrzymi wkład pracy i wysokie efekty dydaktyczno-wychowawcze wielu nauczycieli uzyskało nagrody i odznaczenia.

Ideałem pracy nauczycielskiej w procesie wychowawczym, szczególnie eksponowanym w latach 1982—1990 były słowa patronki szkoły Emilii Szanieckiej: „Miłuję wszystko, co polskie nosi imię”.

Rok 1990 kończy siedemdziesiąt lat istnienia jednej ze starszych placówek oświatowych Łodzi, szkoły, która przechodziła etapy świetności i zagrożeń. Prowadzona była przez wie-

## Ci z Piotrkowskiej

15.

Pomiędzy ulicą Południową a placikiem przed „Magdą” stoi dom oznaczony numerem osiemnastym, w szeregu pozornie jednakowych kamienic. Ale gdyby tak poślinić palec i pogrzebać się w kartach historii, okazałoby się, że dom ten dla przeszłości miasta więcej znaczy niż niejeden pałac lub publiczny gmach. A to — z następujących powodów.

Około roku 1870 drukarz i wydawca Jan Petersilge przeniósł tu pismo niezupełnie codzienne, „Lodzer Zeitung”, będące jakby kontynuacją pierwszej gazety łódzkiej, „Łódzkie Ogłoszenia — Lodzer Anzeiger”, ta bowiem ukazywała się zaledwie dwa lata, po czym jej choćby połowiczna polskość została stłamszona. Ale Jan Petersilge miał swoje powody, by w danych warunkach dążyć do przywrócenia dwujęzyczności. O jednym będzie mowa w zakończeniu tego rozdziału, drugi — to „interes”. W latach osiemdziesiątych tamtego stulecia interes robiło się na wełnie i bawełnie, nie zaś na słowie pisanym. (Zresztą i dzisiaj trudno zbić na tym fortunę!) Nie wykluczone jednak, że Petersilge śledził nie zmiany cen tych surowców, ale przemiany we wzajemnych liczbowych relacjach zamieszkujących Łódź narodowości i wyciągnął z tych obserwacji właściwe wnioski. Przekonał władze o konieczności wydawania pisma niemieckiego — to nie było trudne, z uwzględnieniem jednak oczekiwań społeczności polskiej, co zapewne nastroczało pewne trudności, a może konieczność... „dania w łapę”, — ale się udało. Pismo było kolportowane na zasadzie „propozycji nie do odrzucenia”: właściciele szynków, cukierni, kupcy, rzeźnicy i im podobni abonowali „lodzerkę” przymusowo. Około stu lat później

lu dyrektorów, którzy starali się nadać jej odpowiedni kształt, aby utrzymać atmosferę polskości i tradycji narodowych.

EDWARDA SZEFLIŃSKA

fryzjerzy na takich samych warunkach prenumerowali tygodnik „Kraj Rad”.

Tak więc przez kilkanaście lat wśród tekstów niemieckich pojawiały się notatki pisane po polsku, tłumaczenia artykułów niemieckich, ogłoszenia. Redagował taką gazetę niejaki August Thiele. Kiedy jednak w roku 1876 przekazał obowiązki Leopoldowi Zomerowi, przywileje dla polskości się skończyły, a „echt” niemiecka gazeta drukowana wyłącznie gotykiem, stanowiła o obliczu Łodzi. W roku 1881 zwiększono jej objętość, którą to zmianę postanowili wykorzystywać adwokat nazwiskiem Piątkowski. Był to jeden z tych niespokojnych polskich duchów, które toczyły cichą walkę o polskość tego miasta na długo przed odzyskaniem niepodległości. I właśnie w owych latach, przez ten dom przy Piotrkowskiej 18 przewinęła się cała plejada cichych bojowników o polskie słowo, o polską kulturę. Przecież już wkrótce, dziadek Juliana Tuwima, Leon Krukowski miał odkupić od Petersilgego lokal i drukarnię i wydawać pierwszą polską gazetę pod nazwą „Dziennik Łódzki”. Ale to za trzy lata. Na razie Piątkowski wychodzi z siebie, by przekonać niemieckich redaktorów „lodzarki”, że polski dodatek podniesie atrakcyjność gazety, poprawi więc jej stan finansowy. Sądzić należy, że adwokat Piątkowski nie działał sam, zapewne z kimś przedyskutował społeczną i narodową rolę takiej gazety, zwłaszcza, że miał gotowe to, co się dziś nazywa programem pisma. Według niego w danej sytuacji należało:

„1. Przedstawić w gazecie jeśli nie można istotnej, to jaką taką samoistną, odważną opinię redakcji i publiczności, ze znamionami tolerancji wszystkich żywiołów, wyrozumiałości i umiarkowania. 2. Obnażać — jeśli nie moż-

na do naga, to do koszuli — prawdę, fotografując i malując nieśmieszne i śmieszne strony życiowe ku wiadomości i pożytkowi ogółu, nawołując wiedzą i krytyką choćby do kulawego postępu — satyrą zaś nadeptując i chłoszcząc płytkość, niedowierzanie, przesadę, zarozumiałość i upór. 3. Zaznaczać, co uczciwe, szlachetne, wzniosłe — notować co szpetne, brutalne, niskie, podnosić serca w górę uczuciami i technicznymi ładami, powabem, wdziękiem, pięknem i artyzmem; 4. wyrwać zapracowanych na zabój z codziennej pospolitości i poziomu, wyzywając leniwych i apatycznych do szermierki myśli i słowa, polemiki i dowcipu — wypogadzając oblicze zmęczonych, znudzonych i skwaśniałych uśmiechem i apetytem do towarzyskości, elegancji, dobrego smaku i tonu; 5. Spoglądać z zaścianka ku okolicy, gdzie tętnią arterie wspólnego życia, wszystkich i wszystko zespalaając, jednocząc, harmonizując.”

Piątkowski orientował się w formach publikacji dziennikarskich. M.in. zaproponował wydawcy drukowanie „felietonu”. Petersilge, aczkolwiek dobry drukarz, mniej się orientował w subtelnościach redagowania gazety, toteż domagał się wyjaśnienia, co to takiego „felieton”. Piątkowski tak to ujął: „Biorę sobie z ubiegłego tygodnia kilka tematów...” — tu wyliczył aktualne sprawy z różnych dziedzin życia miasta — o kolei kaliskiej (wówczas jeszcze nie istniejącej), o Szkole Rzemieślniczej, o bandycie Graczyku, o wizycie artystów warszawskich w Łodzi itd. — „Wszystkie te tematy spletam fantazyjnie — dodaję trochę w a r y a c j i i kaprysów z zieleni bujnej imaginacji, garniruję to pstrokacizną gawędziarstwa, które Francuzi zowią „babiller” — i bukieć, czyli też wianek nowinek kronikarskich gotowy — podaję go z gracją w odcinkach gazety”.

Petersilgemu podobała się taka forma gawędy na tematy aktualne i propozycję przyjął, ale felietonów Piątkowskiego wydrukowano zaledwie kilka, a 12 marca 1881 roku ukazało się ogłoszenie, że „Lodzer Zeitung” będzie od-tąd gazetą wyłącznie niemiecką, a jedynie raz w tygodniu ukazywać się będzie polski do niej dodatek pod nazwą „Gazeta Łódzka”. I ta nie egzystowała długo, bo zaledwie 2 miesiące, ale te próby, te wysiłki nie poszły na marne. Wokół mecenasa Piątkowskiego zebrało się grono ludzi przejętych ideą wydawania polskiej gazety, rozsmakowało się nie tylko w pomysłach, ale i w praktyce rozpowszechniania myśli polskiej i wkrótce swoje zamysły urzeczywistniło. Zanim jednak do tego doszło, warto przypomnieć ocenę moralno-politycznej postawy gawe-

ty „Lodzer Zeitung”, wydaną przez ówczesne „Russkije Wiedomosti”:

„Wprawdzie redaktor „lodzarki” jest Prusakiem i nie umie ani słowa po rosyjsku, ale zarówno on jak i inni Niemcy łódzcy umieją schlebiać Rosji. Kupują rosyjskie „proletki” (bryczki), rysaki, uprzęż rosyjską. Umieją zalecać się do władz, dają pieniądze na cele filantropijne w cesarstwie, a nawet wielu z nich zapisało się na członków towarzystwa krzewienia prawosławia w kraju zakaukaskim.”

Cytując tę dosadną charakterystykę, możemy się pożegnać z „lodzerką”, wkrótce bowiem opuściła dom przy Piotrkowskiej 18, jej zaś drukarnię kupił wspomniany Leon Krukowski. Dla spraw na tych stronicach opisywanych ważne jest i to, że był ojcem dwojga dzieci: syna Bernarda i córki Adeli. Adela miała kilkanaście lat później powieć dziecięci płci męskiej, które otrzymało imię Juliana, a po ojcu wzięło nazwisko — Tuwim. Ten więc dziadek poety uczestniczył, jako właściciel drukarni, w powstaniu pierwszej prawdziwej i to polskiej gazety w Łodzi, „Dziennika Łódzkiego”. Było to pismo nie tylko prawdziwe i polskie, ale jednocześnie przedziwne. Wydawał je Stefan Kossuth, z zawodu — inżynier-technolog. Funkcję redaktora naczelnego pełnił Zdzisław Kolański, z wykształcenia i praktyki geometra-matematyk. Funkcję takiego, który w razie czego „szedł siedzieć”, redaktora odpowiedzialnego wzięł na siebie aptekarz magister farmacji Bolesław Knichowiecki. Pierwszym felietonistą został, wbrew oczekiwaniom Czytelnika, nie adwokat Piątkowski, ale jego kolega po fachu, Henryk Elzenberg. Dział literacki redagował aktor, a zarazem reżyser, Łucjan Kościelecki. Dla nas, którzyśmy przywykli do tego, że gazetę „robią” dziennikarze, taki zróżnicowany zawodowo zespół wydaje się dziwny. Ale to — z perspektywy stulecia. Wówczas tacy ludzie, znani społeczeństwu i niebiedni, gwarantowali powodzenie przedsięwzięcia.

No bo popatrzmy: wydawca, inżynier Stefan Kossuth był dyrektorem zakładów Scheiblera, adwokat Elzenberg — tychże zakładów radcą prawnym. Fakt ten stał się w czasach „socjalizmu” powodem oskarżeń ze strony niektórych publicystów, że „Dziennik” był na usługach „wielkiego przemysłu”, kapitalistów. A dziś — należy się ciepłe wspomnienie fabrykanckiej rodzinie Scheiblerów, że wyłożyła pieniądze na tak ważny dla Polaków cel. Nie przypuszczali, że za czyn ten, sto lat później zasłużą na miano... sponsorów. Redaktor odpowiedzialny, z zawodu aptekarz Bolesław Knichowiecki zasłużył na odświeżenie pamięci po

sobie z kilku powodów. Czas jakiś kierował najstarszą łódzką apteką przy Nowym Rynku, a później założył własną — przy Bałuckim. Tak jak Scheiblerowie nie przeczuwali, że zostaną kiedyś nazwani sponsorami, tak Knichowiecki nie znał pasującego do siebie miana — eko-  
loga. Razem z nieznanym bliżej profesorem Fuchsem prowadził laboratorium analityczne, w którym m.in. poddawano badaniu wodę z łódzkich rzek i studni. Przeróżające wyniki tych badań wspólnie opublikowali w broszurce „Woda łódzka”. Zanim jednak broszurka ujrzała światło dzienne, dzięki badaniom i zabiegom autorów, dzięki ich publikacjom w „Dzienniku” doszło do powstania komitetu, który spowodował zniwelowanie ulic łódzkich, a zabieg ten był konieczny, by ścieki płynące rynsztokami nie zatrzymywały się na skrzyżowaniach (a także bajorka należały do krajobrazu ówczesnej Łodzi) a trafiały do nielicznych kanalizacyjnych kanałów. Redaktor naczelny, Zdzisław Kułakowski prowadził wspólnie z jakimś Trąbczyńskim biuro geodezyjne — tej nazwy też chyba wtedy jeszcze nie używano. Zachowane z tamtych czasów jego zdjęcie przedstawia Polonusa z sumiastym wąsem, ubranego w kontusz i przy karabeli. Uczestniczył we wszystkich poczynaniach patriotycznych, więc i ta myśl stworzenia polskiej gazety musiała mu szczególnie przypaść do serca. Wykorzystał stosunki, jakie miał w Petersburgu, by uzyskać zezwolenie, zebrał 275 rubli, jakie należało zapłacić za to zezwolenie i oddał własne mieszkanie na redakcję. W roku 1912 obchodził 66-te urodziny. Kiedy na przyjęciu odśpiewano „Sto lat”, zadumał się i powiedział: „To jest bardzo niebezpieczna data, bo Pan Bóg, patrząc z góry, może przeczytać 99”. Tejże nocy — umarł.

Łucjan Kościelecki kochał teatr, a ciągnęło go do prasy. Podobno pewna aktorka przyczyniła się do tego, że co najmniej połowę serca oddał „Dziennikowi”. Tak doszczętnie rozłożyła swoją rolę i sztukę, w której z nim grała, że z rozpaczcy sięgnął po dziennikarski chleb.

„Dziennik Łódzki” oczywiście zerwał wszelkie koneksje z „Lodzer Zeitung”. Z przytoczonej wyżej charakterystyki opublikowanej przez „Russkije Wiedomosti” wynika, że dwie te gazety reprezentowały całkowicie odmienne poglądy polityczne. I rzeczywiście tak było. Toczyły „walkę na stalówki” — jak to określił jeden z publicystów „Dziennika” (Młodociany Czytelniku, pomiędzy gęsim piórem a wynalazkiem niejakiego pana Bireau, zwanym po polsku „długopisem”, pisało się sztucznym „piórem”, złożonym z „obsadki” i „stalówki” maczanej w atramencie). Nie zmienia to w niczym

faktu, że Jan Petersilge, choć z pochodzenia Niemiec (jego przodkowie wywodzili się ponoć z Hiszpanii), odegrał w tym całym, mówiąc po łódzku, „interesie”, ważną rolę. Nie zapominajmy, że on drukował i wydawał, natomiast o politycznym profilu „łódzki” decydowali Niemcy — redaktorzy. Petersilge pozostawał pod presją administracji rosyjskiej i społeczności niemieckiej. Ale jest coś, co każe domyślać się jego w rzeczywistości zyczliwego stosunku do poczynań Polaków: miał żonę Polkę, Anastazję z domu Mackiewiczównę. Synowie otrzymali imiona: Roman, Michał Waldemar i Dymitr Mieczysław. Pierwsze imię trzeciego wskazuje na pewne religijne perypetie, wynikające z faktu, że Anastazja była unitką, a to, wobec określonej polityki władz zaborczych, komplikowało życie małżonkom Petersilge.

Natkniemy się na tych stronicach na wielu jeszcze Niemców, którzy sprzyjali patriotycznym poczynaniom oświeconych Polaków. Tu zaś wypada wspomnieć, że pewną sumę pieniędzy na „rozruch” „Dziennika” ofiarował pastor z ewangelickiego kościoła św. Trójcy, Clemens Berthold Rondthaler. Pośredniczył w zbieraniu pieniędzy na ten cel księgarz Cezar Rychter. Swoją pierwszą księgarnię założył niedaleko od drukarni „Dziennika”, bo o dwa domy dalej, pod 22-gim. Zasłużył się polskości nie tylko tym. Wydawał kalendarze polskie, zatytułowane „Łódzianin, Kalendarz informacyjno-adresowy”. A w roku 1893 ukazał się, też jego nakładem, pierwszy przewodnik po Łodzi.

Po drugiej stronie Piotrkowskiej, pod 21-ym mieszkał dr Karol Jonscher. Czego dokonał ten późniejszy patron jednego z łódzkich szpitali? W „Dzienniku Łódzkim” zanotowano, że grono lekarzy dokonało w Łodzi pierwszej operacji cesarskim cięciem, „metodą Porro na osobie Julii Link”. Konsylium złożyli lekarze: Bartkiewicz, Jonscher, Lohrer, Messyng i Wisłocki. Operacja trwała trzy godziny, a komunikat głosił: „Dziecko zdrowe, stan matki wcale pomyślny”. Jednakże po dwóch dniach matka zmarła, co gazeta skwitowała przypuszczeniem: „Widocznie pozostawiona była bez opieki lekarskiej”. W tym samym mniej więcej czasie lekarze łódzcy powołali do życia, chyba pierwszą w tym mieście instytucję naukową pod nazwą Towarzystwo Lekarskie. Prezesem został dr Lohrer, jego następcą — dr Jonscher. Dr Jonscher, wspólnie z kilku innymi lekarzami otworzył przy ul. Cegielnianej 21 bezpłatną przychodnię lekarską.

Wynika z tych rozszianych po prasie wiadomości, że ten młody wówczas lekarz pasjonował się szeroko rozumianą zdrowotnością mia-

sta i nauką medycyny. Specjalizował się w chorobach dziecięcych, znacznie później został profesorem Uniwersytetu Poznańskiego, a sławy przysporzyły mu jego liczne prace naukowe, zwłaszcza dotyczące duru brzuszego, choroby Heinego-Medina, gruźlicy wieku dziecięcego i innych. Kończąc tę historyczną wizytę w mieszkaniu tej lekarskiej znakomitości w domu przy ulicy Piotrkowskiej 21, przypomnijmy, że w Łodzi z czasów „Dziennika Łódzkiego” mieszkało wielu Żydów, bardzo często takich, co niedawno przybyli z Rosji i nie znali języka polskiego. A lekarz, zwłaszcza pe-

diatra, zwłaszcza badający dziecko w szpitalu, musiał się dowiedzieć, na co się mały pacjent skarży. Uczyli się więc na pamięć najniezbędniejszych zwrotów w „jidysz”. Na przykład:

„Hab nys ke mojro” — Nie bój się.

„Ny ty ge nys tu” — Ja ci nic (złego) nie zrobię.

„Mach auf di pyskele” — Otwórz usta.

Tę wiedzę musiał też posiadać dr Karol Jonscher.

JERZY URBANKIEWICZ

## Z tradycji muzycznych Łodzi:

Artur Rubinstein

Dzieje rodziny Rubinsteinów ze strony matki Artura sięgają czasów narodzin Łodzi przemysłowej. Pradziadek mistrza Dawid Dobranicki z żoną Ryfką (z domu Zajdler) przybył do naszego miasta jeszcze przed powstaniem listopadowym, w początkowym okresie rozwoju osadnictwa fabrycznego. Dobraniccy zamieszkiwali w domu usytuowanym przy zbiegu ulic Północnej (dziś Ogrodowej) i Piotrkowskiej (dziś Nowomiejskiej), gdzie też 2 IX 1830 r. przysła na świat babka Artura Dwojra. 22 lata później (14 XI 1852 r.) ze związku Dwojry i Ichela Hajmanów urodziła się, jako najstarsza z dziewięciorga rodzeństwa, matka pianisty Blima Fajga (w swoim pamiętniku Rubinstein używa imienia Felicja).

Ojciec Artura, kupiec Icek (Izaak) Rubinstein, przywędrował do Łodzi prawdopodobnie w latach sześćdziesiątych, już po upadku powstania styczniowego (ale z pewnością przed 1872 r.). Urodzony 22 XI 1848 r. w Pułtusku, syn Szlamy i Jalety Rubinsteinów, Icek osiedlił się w domu przy ul. Południowej 3 (dziś ul. Rewolucji 1905 r.). Tam też zarejestrowano sześciorgo dzieci Icka i Blimy Fajgi Rubinsteinów: Szlamę (Stanisława) — ur. 5 IX 1872 r., Chaję (Helenę) — ur. 26 VIII 1873 r., Franciszkę — ur. 8 IX 1875 r., Dawida — ur. 29 VI 1878 r., Izraela Izydora (Ignacego) — ur. 31 VII 1880 r. i wreszcie Artura — ur. 28 I 1887 r. Najstarsza z rodzeństwa Jádwiaga uro-

dziła się prawdopodobnie gdzie indziej i pod tym adresem nigdy nie była zameldowana.

Po przeprowadzce rodziny Rubinsteinów do kamienicy przy ul. Piotrkowskiej 78 w dawnym mieszkaniu pozostał Dawid ożeniony z Melanią Librach. Chaja po wyjściu za mąż za „wolnopracującego” lekarza Abrama Landau’a, syna właściciela tkalni w Tomaszowie Mazowieckim Jakóba Landau’a, zamieszkała przy ul. Piotrkowskiej 62. Najmłodsza siostra Artura Franciszka wraz z mężem Leonem Likiernikiem, wnukiem właściciela tkalni w Łodzi Adolfa Likiernika, przeprowadziła się na ul. Cegielnianą 37 (dziś ul. S. Jaracza).

Ojciec Artura Icek Rubinstein jako właściciel fabryki kortów (tkanin ubraniowych) i wyrobów wełnianych występuje w źródłach od roku 1888, zakład zaś mieścił się na tej samej posesji przy ul. Piotrkowskiej 78. W 1893 r., zapewne już w okresie nasilania się kłopotów finansowych rodziny, przedsiębiorstwo I. Rubinsteina przeniesione zostało na ul. Dzielną 11 (obecnie ul. G. Narutowicza). W latach 1896 i 1897 fabryka wyrobów wełnianych występuje pod adresem: ul. Dzielna 7, przy czym ta druga data jest prawdopodobnie także datą ostatecznej likwidacji firmy I. Rubinsteina.

Wspominając swoje najmłodsze lata, gdy ujawniły się już jego wielkie uzdolnienia muzyczne, Artur Rubinstein pisze: „Pół żartem, pół serio, nauczyłem się nazw wszystkich klawiszy i odwrócony tyłem do pianina, wykrzy-

kiwałem nazwy dźwięków każdego akordu, nawet najbardziej dysonansowego. Opanowanie zawiłości klawiatury stało się już teraz dla mnie dziecinną igraszką, niebawem zaś nauczyłem się wygrywać — najpierw jedną ręką, a potem obiema — każdą melodię, jaka tylko wpadła mi w ucho (A. Rubinstein, *Moje młode lata*, Warszawa 1986, s. 11) ... Kiedy miałem trzy i pół roku, moja pasja stała się tak oczywista, że rodzina postanowiła coś z tym moim talentem zrobić” (s. 12).

W tym czasie, już jednak po powrocie Artura z Berlina od prof. Józefa Joachima, w prasie łódzkiej ukazała się pierwsza wzmianka o miejscowym „cudownym dziecku”. Niepodpisana notatka zamieszczona w kronice wydarzeń „Dziennika Łódzkiego” nr 13 z 18 stycznia 1891 r. miała właściwie charakter anonimowy, gdyż posłużono się w niej jedynie inicjałem nazwiska Rubinstein, co było zresztą prawdopodobnie życzeniem samych rodziców Artura. Z pewnością jednak wielu mieszkańców Łodzi wiedziało doskonale o kim pisał dziennikarz, tym bardziej, że jak sam autor pamiętnika zaznaczył „... opinią Joachima poruszone było również całe miasto” (s. 14).

Krótki tekst z „Dziennika Łódzkiego” warto przytoczyć w całości: „Cudowne dziecko. Państwo R. mają synka, który w 3-im roku swego życia okazywał niepospolity słuch muzyczny i zaczął wygrywać na cymbałkach dziecinnych łatwe melodye. Zwróciło to uwagę ojca, który zaczął udzielać chłopcu lekcji na fortepianie. Po pewnym czasie Arturek wygrywał piosenkę w gronie rodzinnym tak udatnie, że zadziwiał słuchaczy. Wiadomość o tem rozeszła się poza granice kółka rodziny, wielu też znawców muzyki, a pomiędzy nimi muzyk tutejszy W. zapragnął posłuchać gry jego. Zachęcony popisem, poradził rodzicom, aby zasięgnęli opinii profesora konserwatorium berlińskiego, Joachima, Pp. R. usłuchali tej rady i znakomity profesor zapowiedział malcowi świetną przyszłość, jeśli talent jego będzie rozwijał się odpowiednio. Zabronił jednak popisów w szerszym kółku i poinformował w jaki sposób dziecko ma być wychowywane. Obecnie Arturek skończył lat 4 i jak zapewniają jego bliscy, komponuje na fortepianie własne melodye, które naturalnie zachwycają rodzinę. Po pewnym czasie ojciec cudownego dziecka p. J.R. zamożny kupiec tutejszy, zamierza oddać je pod kierunek prof. Joachima”. Miejscowy muzyk skryty pod inicjałem „W” to zapewne Jeremiasz Wiesenberg (ur. 1854 r.), znany, czynny na tym polu od 1873 roku, pedagog muzyczny w Łodzi.

Ukazanie się takiej notatki o kilkuletnim chłopcu i jego niezwykłym talencie nie może nas dziwić, bowiem doniesienia o posmaku sensacji zajmowały znaczną część łamów ówczesnej prasy. „Cudowne dzieci” były szczególnie popularne a występy małoletnich „artystów” organizowano dosyć często, niekiedy przy zaangażowaniu bardzo znanych impresariów usiłujących za wszelką cenę ściągnąć na widownię zaciekawioną publiczność. Umiejętnie prowadzone kampanie reklamowe („żywe reklamy” na mieście, atrakcyjne afisze, anonse, prasowe) zapełniały zazwyczaj sale koncertowe przynosząc zazwyczaj rozczarowanie łódzkim melomanom. Od czasu do czasu można jednak było trafić na interesujące wydarzenie muzyczne, niekiedy bowiem owe „wunderknaben” okazywały się autentycznymi talentami, co potwierdzały swoją późniejszą karierę artystyczną.

Przykładem może być „utalentowany malec — skrzypek Broniś Huberman”, jak pisał ówczesny sprawozdawca muzyczny po dwukrotnych występach wiolinisty w Łodzi w 1892 roku w wieku lat dziesięciu. Kariera Hubermana przypomina nieco zresztą losy artystyczne Artura Rubinsteina, bowiem on także jako „cudowne dziecko” przesłuchany został przez profesora Joachima (1892 r.). Zrealizowany w trzy lata później w Wiedniu koncert przyniósł Hubermanowi wielki sukces będący początkiem jego drogi do sławy wirtuoza. Już jako uznany artysta Huberman wystąpił ponownie w Łodzi w 1908 roku na koncercie jubileuszowym 35-lecia pracy pedagogicznej wspomnianego Jeremiasza Wiesenberg. W wieku zaledwie 11 lat dał recital w naszym mieście inny znakomity później skrzypek o światowej sławie — Jascha Heifetz (1912 r.). W młodym wieku — 15 lat — wystąpił na scenie Teatru Wielkiego w Łodzi jeszcze jeden wieki artysta, również skrzypek, Mischa Elman (1907 r.), ale ten był już wówczas u szczytu sławy, dysponując zresztą od dwóch lat własnymi nagraniami płytowymi.

W kontekście powyższych uwag dziwi nieco fakt całkowitego milczenia łódzkiej prasy (ukazywały się wówczas tylko „Lodzer Zeitung” i „Lodzer Tageblatt”) w związku z koncertem Artura Rubinsteina 14 grudnia 1894 roku. Sam Rubinstein w pamiętniku odnotował cały szereg szczegółów dotyczących tego występu (s. 17). Wprawdzie redakcje tych gazet nie rezerwowały wówczas zbyt dużo miejsca na kronikę wydarzeń muzycznych, starały się jednak przynajmniej w skrócie informować o wszystkich ciekawszych koncertach w Łodzi, zwłaszcza, gdy tak jak w tym przypadku, dochód z nich



ARTUR RUBINSTEIN

ze zbiorów MHML

przeznaczano na cele dobroczynne. Z nieznanых powodów imprezy tej widocznie nie zamierzano reklamować, zaś sami artyści produkujący się obok Rubinsteina zapewne byli amatorami nieznanymi nawet w gronie miejscowych melomanów.

Pierwsze recenzje z łódzkich występów pojawiły się w miejscowej prasie dopiero w 1902 roku. Recital Artura Rubinsteina odbył się we wtorek 8 kwietnia w sali koncertowej Vogla przy ul. Dzielnej 18 (dziś ul. G. Narutowicza). Bohater tego wieczoru wspomina swój występ w kontekście późniejszej scysji ze swoim nauczycielem prof. H. Barthem na tle honorarium i w konsekwencji — ochłodzenia stosunków z rodzicami (s. 79—81).

Z zapowiedzi prasowych znamy program 15-letniego „wielkiego wirtuoza” — w pierwszej części: Fantazja C-dur „Wędrowiec” op. 15 F. Schuberta, Capriccio h-moll (z cyklu 8 utworów fortepianowych) op. 76 J. Brahmsa i tegoż Rapsodia op. 77 nr 2 oraz 2 Mazurki op. 30 i 40 F. Chopina; w części drugiej „Variations sérieuses” op. 54 F. Mendelssohna-Bartholdy’ego, „Papillons” op. 2 R. Schumana i 2 utwory F. Chopina — Impromptu Fis-dur op. 36 i Polonez Es-dur op. 22.

Komunikat o recitalu pojawił się już na dwa tygodnie przed występem, przy czym, co ciekawe, w pierw w zapowiedziano koncert 13-latką, który „z cudownego dziecka w wieku młodzieńczym wyrobił się już na poważnego muzyka”, później pisano o pianście 14-letnim, by wreszcie tuż przed imprezą przyznać, że Rubinstein ma lat 15. By przyciągnąć do sali koncertowej jak najliczniejszą publiczność eksponowano w anonsach dwa elementy jego biografii artystycznej. Przede wszystkim podkreślano bardzo udane występy w kraju i zagranicą, cytując przy tym fragmenty recenzji znanych krytyków muzycznych, zwłaszcza niemieckich. Bardzo mocno też podkreślano łódzki rodowód pianisty licząc się zapewne z rozbudzeniem lokalnego patriotyzmu wśród miejscowych miłośników muzyki.

Po wcześniejszym (1 IV 1902 r.) występie Rubinsteina w filharmonii warszawskiej łódzki „Rozwój” nie omieszkał przytoczyć obszerniejszych fragmentów bardzo pochlebnej opinii wydanej przez cenionego krytyka Aleksandra Polińskiego. Oto urywek tej recenzji: „Mimo wiek młodociany, nie można go już dłużej uważać za „dziecko cudowne”, w grze jego bowiem jaknajwyraźniej odzwierciedlają się



ARTUR RUBINSTEIN

ze zbiorów MHML

wszystkie znamiona zupełnej dojrzałości artystycznej, a głównie niepospolita siła tonu, temperament oraz wydatne przejawy uczucia i samodzielności. Poza tem posiada technikę wyrobioną doskonale, nadzwyczajne poczucie rytmiki i stylu, niemniej zdolność uwydatniania nastroju kompozycji i posilkowania się efektami dynamiki fortepianowej. Co go wszakże wyróżnia nietylko już z grona dzieci cudownych, lecz całego zastępu pianistów dzisiejszych, to wyjątkowej piękności ton, pełny w brzmieniu, bujny, nadzwyczaj śpiewny, iście „aksamitny”, przenikający do głębi duszy słuchacza, ogromnie podatny do wypuklania wszystkich odcieni dynamicznych i efektów kolorystycznych”.

Z kolei „Lodzer Zeitung” podparł się recenzją zamieszczoną w „Dresdener Zeitung” (z 7 XII 1901 r.) a dotyczącą występu pianisty na koncercie zorganizowanym w Dreźnie w setną rocznicę śmierci W. A. Mozarta. Ciepło wspomina to wydarzenie muzyczne również sam Rubinstein (s. 66—67).

Recital łódzki odbył się niemal przy komplecie publiczności, dla której jak podkreślono stał się prawdziwą ucztą artystyczną. Jeden ze sprawozdawców muzycznych nie powstrzymał się natomiast od kilku uszczypliwych uwag pod adresem części miejscowych „melomanów” przybyłych na recital. Szczególnie nieprzyjemne wrażenie wywarła na nim pewna dama, która w trakcie koncertu wielokrotnie wstawiała po chwili znowu siadając. Siedzącym dalej zachowanie takie wydawało się bardzo dziwne, natomiast bliżsi sąsiedzi okazywali źle skrywane rozweselenie, bowiem dama ta najzwyczajniej w świecie sięgała po położone na jednym z wolnych foteli kanapki z szynką. Niejako oczywistym następstwem tej konsumpcji był późniejszy głośny szelest chustki, chociaż jak recenzent sprawiedliwie dodaje, w tym akurat względzie owa „melomanka” miała jeszcze większe konkurentki, używające chustek nawet przy pianissimo. Do galerii „specjalnych” efektów dźwiękowych przeskaka-



BUDYNEK SALI KONCERTOWEJ VOGLA, ul. Dzielna 18

ze zbiorów MHML

dzających w odbiorze koncertu autor artykułu dorzucił jeszcze dzwonki tramwajowe, których głos docierał na salę z ulicy.

Następną wizytę artystyczną w rodzinnym mieście złożył Artur Rubinstein w 1904 roku. Jak sam pisze pomysł występów w Łodzi narodził się dosyć nagle, a o pomoc w ich zorganizowaniu zwrócił się do swojego brata Stasia (Szlamy), który, gdyby sprzedaż biletów wypadła obiecująco, miał zapowiedzieć dodatkowy występ. Cytuje zresztą telegram brata: „Zainteresowanie ogromne stop zapowiedziałem dwa recitale” (s. 176). W konfrontacji z ówczesną prasą łódzką sprawy recitali Rubinsteina wydają się wyglądać nieco inaczej.

Pierwszy anons pojawił się już 21 lutego w „Lodzer Zeitung”, w którym zapowiedziano

koncert pianisty na niedzielę 28 lutego. Z nieznanых jednak przyczyn recital ten nie doszedł do skutku, co potwierdza chociażby fakt, że właśnie w tym dniu ukazało się ogłoszenie w tejże gazecie anonsujące koncert Rubinsteina w dniu 5 marca. Nigdy, nawet gdy koncerty odbywały się w odstępie zaledwie kilku dni, gazety nie dawały ogłoszenia o drugim występie w dniu odbywania pierwszego. Potwierdza to przypuszczenie o jednym koncercie także fakt braku recenzji z dwóch recitali lecz tylko z jednego. Być może termin wcześniejszy przesunięto o tydzień, bowiem w tym samym czasie (1 marca) w miejscowym Teatrze Wielkim dał recital sławny wirtuoz skrzypiec Willy Burmester. W każdym razie słowa Rubinsteina: „Wszystko skończyło się dobrze



TABLICA NA BUDYNKU PRZY UL. PIOTRKOWSKIEJ

fol. B. Bazyliński

— na koncert zdążyłem i grałem przy wyprzedanej sali (...) Także drugi koncert był prawie całkowicie wyprzedany...” (s. 177), nie wydają się odpowiadać prawdzie. Być może zawiodła doskonała pamięć, a może wspomnienie drugiego koncertu dotyczyło występu w Warszawie ponad miesiąc później (12 kwietnia) z udziałem Juliusza Wertheima?

Na program wieczoru (5 III 1904 r.) złożyły się utwory J. S. Bacha w transkrypcji F. Liszta, L. van Beethovena, J. Brahmsa, E. Griega, F. Chopina i R. Schumanna. Według sprawozdawcy muzycznego „Rozwoju” koncert Rubinsteina sprowadził do sali przy ul. Dzielnej mniej publiczności niż się spodziewano. Trudno dziś osądzić co miało wpływ decydujący na słabszą frekwencję. Z pewnością 17-letni pianista nie był już dla miejscowych snobów owym „cudownym dzieckiem”, sam zaś recital przygotowany z pewnym pośpiechem przesuwając jego pierwszy termin. Zapewne też pewien wpływ na zapełnienie widowni miały konkurencyjne wydarzenia kulturalne. Łodzianin miał w ową sobotę do wyboru jeszcze np. szekspirowskiego „Hamleta” wystawianego w Teatrze „Thalia”, wielki koncert na benefis popularnego w tym mieście Zygmunta Noskowskiego (w Teatrze Wielkim), czy chociażby

obejrzenie najnowszych doniesień z frontu wojny rosyjsko-japońskiej wyświetlanych przez kinematograf przy ul. Piotrkowskiej 17.

Pierwszy kwartał 1904 roku był dosyć bogaty w wydarzenia muzyczne z udziałem artystów formatu światowego. Występowali wówczas w Łodzi m.in.: Jan Ignacy Paderewski (grał utwory R. Schumanna, L. van Beethovena, J. Brahmsa, F. Chopina, F. Liszta i własne kompozycje) i słynni już wówczas wirtuozi skrzypiec — Jan Kubelik, Willy Burmester oraz 60-letni Pablo Sarasate (tydzień po A. Rubinsteinie).

Kompletu na widowni mogli wówczas oczekiwać przede wszystkim artyści o uznanej sławie i to umiejętnie zareklamowani przez swoich impresariów. Odwoływanie koncertów z powodu niskiej frekwencji wcale nie należało wtedy do rzadkości. Autentycznych miłośników muzyki poważnej było w tym mieście niezbyt wielu, niekiedy więc występom nadawano posmak jakiegoś skandalu, wydobywano z ukrycia lub częściej wymyślano pikantne szczegóły z życia artysty. Na dłuższy pobyt w Łodzi mogli liczyć właściwie tylko muzycy poruszający się w kręgu muzyki łatwej, rozrywkowej. Recenzent koncertu Burmestra, skrzypka posiadającego owo „rozgłośne imię” pisał

o bywalcach łódzkich sal koncertowych: „Nasza publiczność nie lubi wgłębiać się odpowiednio i wyszukiwać tematów w danej kompozycji; to co płynie szeroką kantileną, gdzie śpiew gra najważniejszą rolę, tego rodzaju utwory, choćby najłatwiejsze, podobają się i są oklaskiwane. Nasza publiczność jeszcze nie doszła do tego, aby mogła z zadowoleniem słuchać utworów harmonijnie i kontrapunktycznie skomplikowanych. Nasza umuzykalniona Łódź jest co prawda na dobrej drodze, ale wszystko musi postępować powoli”.

Przyjazd Artura Rubinsteina do Łodzi jesienią 1906 roku poprzedzał rozgłos jaki przyniosły pianście koncerty zagraniczne. „Część polskich gazet — pisze Rubinstein — zamieściła przychylne relacje o moich „sukcesach” we Francji i w Ameryce, wskutek czego stałem się teraz „sławnym polskim pianistą” (s. 243). Jak dodaje dalej, zaowocowało to propozycjami występów w Warszawie (3 koncerty) i Łodzi (2 recitale).

Jeszcze z początkiem tego roku poczytne czasopismo „Świat” reklamowało artystę: „Wszyscy melomani pamiętają dobrze młodego fortepianistę Artura Rubinsteina, który w zaprzeszyłym roku występował w Filharmonii i pochwalnie zbierał krytyki. Możliwość świetnej kariery artystycznej otwierała się przed nim szeroko i to co wówczas pozostawało w krainie przypuszczeń lub nadziei obecnie z biegiem krótkiego czasu coraz wyraźniej przechodzi w rzeczywistość. Już przeszłego roku w Paryżu istnienie Rubinsteina, nie Antoniego, lecz Artura stało się powszechnie wiadomem dzięki niezwykłemu powodzeniu jego koncertów, które w prasie wielką wywołały wrzawę (...) 8 stycznia rb. Artur Rubinstein dał się słyszeć w New-Yorku, w Carnegie-Hall, a nazajutrz większość poważnej prasy amerykańskiej rozgłasza jego tryumf. Ze znacznej ilości sprawozdań jakie mamy przed sobą, okazuje się, że stanowisko Artura Rubinsteina, jako pierwszorzędnego pianisty, jest w Ameryce zapewnione”.

Pierwszy z dwóch recitali łódzkich zaplanowany został „na ożywienie” sezonu koncertowego 13 października. Nie udało się niestety odszukać recenzji z tego występu, nie znamy więc ani programu wieczoru, ani też reakcji łódzkich melomanów. Drugi z recitali odbył się w sali koncertowej przy ul. Dzielnej 1 listopada, a połowa honorarium za ten występ przeznaczona została na dochód łódzkiego Pogotowia Ratunkowego. Jak się jednak okazało nawet tak zaszczytny cel nie był w stanie zapełnić widowni sali koncertowej. Burzliwe czasy rewolucji 1905—1907 roku nie sprzyjały

tego typu wydarzeniom kulturalnym, trwający stan wojenny odstraszał od przyjazdu do Królestwa Polskiego artystów zagranicznych, a ci którzy się w Łodzi pojawili spotykali się z mniejszym zainteresowaniem niż w innych latach.

Na program koncertu Artura Rubinsteina złożyły się utwory w większości prezentowane miejscowej publiczności przy poprzednich wizytach (Schumann, van Beethoven, Brahms, Chopin). Występ przyjęty został bardzo gorąco — „publiczność przyjmowała koncertanta z wielkim zapalem, darząc po każdym wykonanym numerze burzą oklasków”. Większość ówczesnych recenzji wyrażała się o grze łodzianina wręcz entuzjastycznie, zdarzały jednak i opinie krytyczne. Po serii koncertów warszawskich jesienią 1906 roku H. Opieński pisał: „... to co daje dzisiaj — może się często bardzo podobać — czasem nawet zaimponuje — nawet porwie, lecz naogół jest dopiero zapowiedzią. Młody artysta powinien rozbudzić w sobie — poetę — i nie powierzchowne, często zmysłowe, lecz z głębi duszy płynące uczucie i wtedy dopiero gra jego będzie mogła dać pełne artystyczne wrażenie. Braki te — w pospolitem określeniu suchości robiące wrażenie dały się czuć tak w koncercie d-moll Rubinsteina (zwłaszcza w części II-ej), w sonacie Beethovena — jak i w utworze Debussy’ego itp. Życzymy młodemu artyście serdecznie wywalczenia w sobie tych koniecznych dla wirtuoza—artysty danych”.

W latach 1907—1913 Artur Rubinstein wielokrotnie powracał do kraju odwiedzając rodzinę i przyjaciół oraz dając szereg koncertów w Warszawie i Łodzi. Znaczącym wydarzeniem muzycznym w rodzinnym mieście były dwa recitale Rubinsteina na jesieni 1912 roku. Sam mistrz pisze o nich zdawkowo: „Sezon zacząłem od koncertu w Łodzi, gdzie rodzice i reszta rodziny ciekawi byli mojej relacji z koncertów za granicą” (s. 460) — i tylko tyle, nie wspominając nawet drugiego recitalu. Spotkanie z łódzką publicznością było interesujące, chociażby ze względu na premierę II Sonaty fortepianowej A-dur op. 21 Karola Szymanowskiego w Królestwie.

O utworze wybitnego kompozytora, swojej pracy przy opanowywaniu tego dzieła, jak również o pierwszych jego wykonaniach na koncercie prywatnym i koncertach publicznych w Berlinie, Lipsku, Wiedniu i Krakowie Rubinstein pisze w pamiętniku. Sukcesy artystyczne będące udziałem kompozytora i wykonawców sonaty na występach zagranicznych wywołały wielkie wrażenie w kraju. W zapowiedziach łódzkiego recitalu pojawiły się

więc informacje o utworze Szymanowskiego i o odtwórcy sonaty oparte na relacjach sprawozdawców muzycznych z Krakowa i Lipska. Z dumą przytaczano słowa lipskiego krytyka Waltera Riemanna o Arturze Rubinsteinie jako o pianście, któremu „bije z serca ogień” i o którym zaczyna się mówić „Anton Rubinstein redivivus” (odrodzony Antoni Rubinstein).

Pierwszy z recitali w sali koncertowej Vogla odbył się 26 października, a na jego program złożyły się utwory: Fantazja g-moll J.S. Bacha w opracowaniu F. Liszta, wspomniana sonata K. Szymanowskiego, „Karnawał” op. 9 R. Schumanna, Scherzo cis-moll, 2 Etiudy i Tarantella As-dur F. Chopina oraz XII Rapsodia F. Liszta. Ceny biletów na ten koncert były stosunkowo niskie, wynosiły w zależności od miejsca od 60 kopiejek do 3 rubli i 60 kop. Dla porównania ceny biletów na recital sławnego skrzypka Jacquesa Thibaud w Łodzi wynosiły od 75 kop. (miejsca nienumerowane) do 2 rb 10 kop. — 10 rb 40 kop. (drugie miejsce) i 15 rb 40 kop. (łoża na parterze). Ugruntowana sława artystyczna francuskiego wirtuoza pozwoliła jego impresariom ustalać wyższe honoraria za występ i tym samym podnosiła ceny biletów.

Pierwszy koncert przyjęty został przez szczerze wypełniające widownię audytorium bardzo dobrze, wręcz entuzjastycznie. Rubinstein „ujawnił ponownie, że jako z artysty z bożej łaski, nasze miasto może być dumne”. Drugi koncert w tej samej sali odbył się 1 listopada, a wieczór wypełniły utwory J. Brahmsa, R. Schumanna, F. Chopina i A. Skriabina.

Rok 1913 był dla melomanów łódzkich sezonem bardzo bogatym w wydarzenia o wysokiej randze artystycznej. Występowali tutaj wtedy między innymi znakomici skrzypkowie — Jan Kubelik, Fritz Kreisler, Jacques Thibaud, zaledwie 12-letni Jascha Heifetz, Eugene Ysaye, zachwycali swą grą mistrzowie klawiatury — Juliusz Wertheim, Jan Ignacy Paderewski, Maurycy Rosenthal, Sergiusz Rachmaninow, Józef Smidowicz, grywały także zespoły muzyczne, wśród nich np. francuskie stowarzyszenie muzyki klasycznej wykonywanej na instrumentach historycznych.

Jesienią 1913 roku, po raz ostatni przed wybuchem I wojny światowej, występował w Łodzi również Artur Rubinstein. Dwa jego recitale uznane zostały przez krytyków za ważne wydarzenia muzyczne. Bardzo zróżnicowany program koncertu 5 listopada obejmował: Fantazję i Fugę g-moll J.S. Bacha w transkrypcji F. Liszta, Rapsodię Es-dur op. 119 i Balladę J. Brahmsa, grane po raz pierwszy w Łodzi Wariacje na temat ludowy h-moll op. 10

K. Szymanowskiego, Poloneza — Fantazję As-dur op. 61, cztery Etiudy i Balladę f-moll op. 52 F. Chopina, „El fandango del caudil” — trzeci utwór z cyklu „Goyescas” E. Granadosa, „Soiree dans Grenade” — drugi utwór z cyklu „Les estampes” C. Debussy’ego, parafrazę walców R. Straussa w opracowaniu L. Godowskiego. Na bis Rubinstein zagrał jeszcze którąś z rapsodii Liszta i „Walkürenritt” R. Wagnera.

Recital łódzianina spotkał się z bardzo dobrym przyjęciem zarówno publiczności jak i krytyków. Pisano w tonie wręcz podniosłym: „Wybitny pianista Artur Rubinstein nie tylko w swoim rodzinnym mieście Łodzi, lecz w całym cywilizowanym świecie liczy się jako jeden z największych obecnie artystów, sprawił nam wczoraj znów ucztę artystyczną. Rubinstein wybrał dla swojego wczorajszego koncertu nad wyraz bogaty i interesujący program, w którym do pełnego znaczenia doszły jego podróże artystyczne”. Szczególną uwagę zwróciły utwory „młodego polskiego nowatora” Szymanowskiego i „gorący oddech dusznej hiszpańskiej nocy letniej”, czyli „fandango” Granadosa.

Recital Artura Rubinsteina zaplanowany na 5 listopada zbiegł się z występem innego polskiego pianisty, błyskotliwego wirtuoza Maurycego Rosenthala. Interesujące, że koncert tego sławnego, starszego od Rubinsteina o 25 lat pianisty zaplanowano w tej samej sali przy ul. Dzielnej. Pogodzenie dwóch wieczornych recitali pianistycznych tego samego dnia i w tym samym miejscu było oczywiście niemożliwością, wobec czego jeden z artystów musiał ustąpić i przenieść swój występ gdzie indziej. Trudno dziś zrekonstruować wydarzenia, zwłaszcza że miały one charakter zakulisowy, można przypuszczać tylko, że z nieznanых powodów impresario Rubinsteina Rudolf Eisenbach nie dopełnił wszystkich formalności i salę koncertową zarezerwowano dla Rosenthala. Dopiero na 5 dni przed koncertem w prasie ukazała się notatka, zręcznie zredagowana i schlebająca łódzkim melomanom: „Impreza koncertowa p. Rubinsteina przenisła swe koncerty w tym sezonie do teatru Wielkiego, gdzie akustyka nie jest świetna, ale publiczności jest wygodniej i ... cieplej”. Wzniesiony w 1901 roku z prywatnych funduszy Fryderyka Sellina Teatr Wielki przy ul. Konstantyniowskiej 14 liczył więcej miejsc (1250) i był dosyć często wykorzystywany jako estrada koncertowa.

17 listopada 1913 roku pojawiły się pierwsze ogłoszenia pożegnalnego koncertu Rubinsteina, wyznaczonego na sobotę 22 listopada. Magnesem, który miał przyciągnąć do domu koncertowego komplet publiczności był pro-

20 kwietnia 1990 roku w Muzeum Historii Miasta Łodzi została otwarta Galeria Muzyki im. Artura Rubinsteina, w której znajdują się cenne pamiątki po wielkim pianście przekazane

ne przez żonę Anielę Młynarską Rubinstein. Artykuł o Galerii zamieścimy w następnym numerze.

REDAKCJA

## Krajoznawczość i tożsamość kulturalna

Język ojczysty i ziemia, wspólne doświadczenie historii, bez którego nie ma dnia dzisiejszego i nie ma przyszłości, wspólnota podzielanych przez ludzi wartości, poczucie odrębności — to kategorie życia społecznego, które gruntują w jednostkach i grupach poczucie przynależności do własnej, zbiorowej kultury narodu. Są to zjawiska, których świadomość, w umysłach ludzkich i emocjonalne ich przeżycie są udziałem zarówno Polaków jak i sąsiadów. Wykraczają one poza Europę na inne kontynenty tworząc wielobarwny i wielopoziomowy obraz narodów świata.

Te różne ojczyzny idei, przekonań i przeżyć częstokroć zamykają się w sobie, w poczuciu zagrożenia. Najczęściej pozostają zdolne do wchodzenia w szersze od innych wspólnoty kulturalne, do przekazywania im własnych wartości i pobieranie innych w otwartej wymianie i współdziałaniu. Taką najszerszą wspólnotę od wielu wieków tworzy chrześcijaństwo. Do innego rodzaju integracji zmierzają dziś narody europejskie. Jeszcze inną płaszczyznę określaną też mianem standaryzacji lub uniformizacji obrała kultura masowa, dziś już międzykontynentalna, sięgając swymi atrakcyjnymi i zmiennymi środkami i symbolami do powszechnych potrzeb rozrywki, zaspokojenia ciekawości i pobudliwości społeczeństw doby industrialnej.

Niemniej tożsamość narodów Europy pozostaje dziś i pozostanie w wymiernej przyszłości wartością bardzo wysokiej oceny. Dziedzictwo kultury narodowej wraz z jej bogactwem idei i wytworów w krajobrazie i zabudowie, w myśli i sztuce, w życiu codziennym i od święta, dziedzictwo to stanowi silny motyw przekonań i działań jednostek i grup. Dzięki tej żywej sukcesji stuleci z dominującym udziałem języka, ludzie należą do zbiorowości narodowej, odczuwają ją jako wspólnotę w

najwyższym stopniu niezbędną, aby razem urzeczywistniać swe cele, razem odczuwać i przeżywać swoje wartości. Europa atlantycka i śródziemnomorska, północna i środkowowschodnia, wszystkie kąty naszego subkontynentu pulsują narodami zarówno państwowymi jak tymi, które żyją z innych w ramach wspólnej państwowości jak Katalończycy w Hiszpanii, i tymi, które dążą do suwerenności politycznej, jak trzy sąsiadujące od wschodu z naszym krajem republiki.

Wyobrażenia i realne niebezpieczeństwa wewnętrzne i zewnętrzne na drodze ku afirmacji narodowej powodują jednak również napięcia i konflikty owocujące zatrutym nacjonalizmem. W sferze kultury wyraża się to jej zamykaniem przed sąsiadami, samozadowoleniem, jeżeli nie megalomanią, przywłaszczaniem i ekskluzywnością, czynną nietolerancją wobec obcych.

Kulturę narodową otwartą — kultura polska nosiła i nosi tę cechę, choć i w jej obrębie zdarzały się negatywne zjawiska — kulturę otwartą cechuje natomiast ciekawość wobec sąsiadów i świata, umiejętność wzbogacania się i przekazywania na zewnątrz, komunikatywność i atrakcyjność dla innych nie bez poczucia wartości własnej jak i przynależności do kultury uniwersalnej.

Takie wartości miały i mają nasza literatura dawna i nam współczesna, muzyka, teatr i film, architektura i sztuki piękne. Czerpią one korzeniami swoimi z dawnej i niedawnej przeszłości, ożywiają ją i tworzą to co nowe. Takim też działaniem nie bez cech twórczości w strefie kultury jest krajoznawstwo.

Od początków stawiało u nas ono sobie zadanie tworzenia bezpośredniego kontaktu, a przez to komunikacji w wymiarze przestrzeni i czasu dziedzictwa kultury narodowej, Polskiej w pierwszym rzędzie, z całym jej bogactwem

gram oparty wyłącznie na repertuarze chopinowskim. Program taki Rubinstein prezentował po raz pierwszy na początku owego sezonu koncertowego we Lwowie. Prawdopodobnie jako pierwsi w zaborze rosyjskim zapoznali się z nową propozycją mistrza właśnie łodzianie.

Wbrew wcześniejszym zapowiedziom ostatni w tym sezonie koncert w kraju ojczystym, mimo wielkiego — jak podkreślano — sukcesu w pierwszym występie, zgromadził nieliczne audytorium. Co więcej recital Rubinsteina nie wywołał wielkiego entuzjazmu. Sprawozdawca muzyczny „Lodzer Zeitung” pisał w recenzji: „Niestety, zdaje się że tym razem Artur Rubinstein był mocno niedysponowany i dostarczył słuchaczom, którzy przyzwyczaili się do słuchania tego nadzwyczajnego artysty, pewne rozczarowanie”. Krytyk odniósł wrażenie, iż pianista nie do końca wywiązał się ze swojego zadania i nie wy dobył z dzieł Chopina całej poetyckiej zawartości, niektóre utwory ucierpiały wskutek utrzymania niewłaściwego tempa a rytm chopinowski często był traktowany przez pianistę w „anarchistycznym stylu”. Najlepsze wrażenie zrobiły odegrane na zakończenie recitalu mazurki i preludia. Początek koncertu przyjęty został rzekomo przez audytorium bardzo chłodno, dopiero partie końcowe programu wywołały żywszą reakcję i publiczność nagrodziła Rubinsteina rześistymi brawami.

W okresie międzywojennym i już po II wojnie światowej Artur Rubinstein odwiedzał kraj i rodzinne miasto jeszcze wielokrotnie. Podczas jednego z pobytów powiedział: „Łódź pamiętam doskonale, poznaję poszczególne domy i ulice. Pamięć mam zresztą doskonałą. Teraz piszę książkę, pamiętniki” („Głos Robotniczy”, 16 IX 1966 r.). I rzeczywiście 2 tomy Jego pamiętników — „Moje młode lata” i „Moje długie życie” — są przebogatą skarbnicą wiedzy o życiu, nie tylko artystycznym, mistrza. Warto też zapoznać się z wydawnictwami Galerii Muzyki im. Artura Rubinsteina w Muzeum Historii Miasta Łodzi — albumem „Artur Rubinstein 1887—1982” i opracowaniem Iwony Żukowskiej „Pamięci Artura Rubinsteina” — bogatymi faktograficznie i ilustracyjnie.

MIROSŁAW JASKULSKI

W dniach 7—9 września 1990 r. obradował w Opolu IV Kongres Krajoznawstwa Polskiego, którego organizatorem był Zarząd Główny PTTK.

Komitetowi Honorowemu Kongresu przewodniczył prof. dr hab. Andrzej Stelmachowski — Marszałek Senatu Rzeczypospolitej Polskiej, natomiast obrady plenarne odbywały się pod przewodnictwem Kolegi Adama Chyżewskiego — wiceprezesa ZG PTTK, który również kierował przygotowaniem do Kongresu.

W obradach uczestniczyli, obok rzeszy blisko 400 krajoznawców z całej Polski, przedstawiciele Ministerstwa Edukacji Narodowej, Ministerstwa Ochrony Środowiska, Ministerstwa Kultury i Sztuki, pracownicy nauki i reprezentanci różnych instytucji i stowarzyszeń zajmujących się krajoznawstwem.

Obrady prowadzone były w pięciu zespołach problemowych:

**Zespół I** — „Krajoznawstwo wobec zagrożeń społecznych” pracował pod kierunkiem: prof. dr hab. Andrzeja Tomczaka, mgr. Tadeusza Sobieszka i mgr. Krzysztofa Wolframa.

**Zespół II** — „Krajoznawstwo i tożsamość kulturalna” pracował pod kierunkiem: prof. dr hab. Aleksandra Gieysztora, doc. dr hab. Krzysztofa Mazurskiego, dr Franciszka Midury.

**Zespół III** — „Kryteria krajoznawcze w przestrzennym zagospodarowaniu kraju” pracował pod kierunkiem: dr inż. arch. Romany Przybyszewskiej-Gudelis, dr Adama Chyżewskiego, mgr. Andrzeja Matuszczyka.

**Zespół IV** — „Współczesne formy i metody krajoznawcze” pracował pod kierunkiem: doc. dr Teofili Jarowieckiej, dr inż. Włodzimierza Łęckiego, mgr. Jerzego Raczka.

**Zespół V** — „Krajoznawcze przygotowanie do życia” pracował pod kierunkiem: prof. dr hab. Krzysztofa Przeclawskiego, dr Ryszarda Harajdy, mgr. Tadeusza Ryckerskiego.

Podsumowaniem dyskusji podejmowanych zarówno w zespołach problemowych, jak i w czasie obrad plenarnych było przyjęcie przez uczestników IV Kongresu Krajoznawstwa Polskiego tekstu rezolucji.

Poniżej drukujemy (za zgodą Autora) tekst referatu prof. dr hab. Aleksandra Gieysztora — Prezesa Polskiej Akademii Nauk.

REDAKCJA

twem regionalnym, ale także z dorobkiem innych kultur współżyjących na obszarze Rzeczypospolitej dawnej i drugiej Rzeczypospolitej. Znakomite — i do dziś nieprześcignione w koncepcji i w informacji — przewodniki Mieczysława Orłowicza otwierały oczy tym co po objętych nimi ziemiach chodzili, na uroki przyrody i na świadectwa kultury mieszkańców z pełnym ich prawem obywatelstwa, z zacięciem i twórczością. Od kościołów i cerkwi, od zborów wyznań ewangelickich i bożnic żydowskich, przez kulturę ludową Wielkopolski i Pomorza po zakątki huculskie wiodły nieśpieszne, bo uważne trasy i zwiady odbiorców różnorodności kultury; pobierano ją oglądem i rozmową, a przez to także podtrzymywano ją jako wartość dla siebie i dla tego co można by nazwać jednym z wiązań zróżnicowanego społeczeństwa obywatelskiego.

Przekształcenia terytorialne i narodowościowe Rzeczypospolitej naszego czasu niejedno zmieniły również w tym krajoznawstwie otwartym. Kulturalne zagospodarowanie ziem północnych i zachodnich włączonych w obręb państwowy wydobywało ich związki, czasem dawno przerwane z trzonem ziem polskich. Wydobywano korzenie, z których mieli czerpać poczucie swojskości przybysze z innych krajoznawców kultury. Prawie, że półwiecze toczących się tu losów ludzkich doprowadziło do bilansu, gdzie obok trwałych przysporzeń nie obywało się bez dotkliwych strat zarówno w mieniu zażytkowym jak w świadomości społecznej. Niemniej trzeba, choć z koniecznymi omówieniami, uznać, że pozostaliśmy otwarci na dziedzictwo zastane, świadomi jak w Małborku europejskiego jego rozmiaru i znaczenia.

Z dużym opóźnieniem przystąpiono do ochrony i odtworzenia zamarych miejsc przysłanego u nas poważnego — jak pisał Norwid żydowskiego narodu. Swoistość narodowa litewska, białoruska i ukraińska w zasobie zażytków i nowych ich przysporzeń — wspomnijmy świetną architekturę sakralną w Hajnówce — doczekały się szacunku i uznania, które powinny znamionować podobnie jak poczucie godności własnej, nadal najgłębszy nurt kultury polskiej.

Jego obecność w krajoznawstwie to potrzeba kultury polskiej, ale też kultury naszych współobywateli, a także naszych sąsiadów od wschodu, północnego wschodu, zachodu i południa. Rzetelne krajoznawstwo objąć też musi obszary poza granicami państwa, aby tam chłonąć kulturę polską i inną, wcale nie tak obcą, bo sąsiadką.

Krajoznawstwo polskie służyło i zasłużyło się naszej ojczyźnie idei i kultury symbolicznej. Kultury, która pomaga myśleć i przeżywać Polskę mając z nią do czynienia przez pośrednictwo krajoznawstwa kulturalnego, regionu i całej Rzeczypospolitej. Obok patriotyzmu narodowego — nie lekajmy się tych słów, byle niosły zawsze pogłębioną treść — jest miejsce na patriotyzm regionalny i lokalny. Patriotyzm kształtowany tradycją której nośniki to dzieje i ziemia, a więc historiografia i geografia, a więc krajoznawstwo ciekawe miejsc, ludzi i wiedzy. Jak z kulturą otwartą na inne narody, tak też krajoznawstwo to otwiera się na inne polskie małe ojczyzny, regionalne, wiejskie i miejskie, na ich własny wyraz przyrodniczy, kulturalny, językowy, na ich cenne uczestnictwo w tradycji narodowej.

Wspólnota Polaków to także rozsiani po świecie wychodźcy od wielu lub kilku pokoleń lub też wychodźcy całkiem niedawni. To także Polacy rodzimi na obszarze wschodnim i południowo-zachodnim. Dla nich krajoznawstwo Rzeczypospolitej Polskiej jest szczególną sposobnością poznawania i przeżywania znaków ojczyzny i dotyku do trzonu polskości. Ale też dla mieszkańców ziem dziś polskich Kaszuby kanadyjskie, zgrupowania polskie francuskiego Nordu, polski Londyn, Wilno, Grodno, Lwów i Winnica to także krajoznawstwo szczególne, potrzebne jako bezpośredni kontakt Polaków zarówno dla polskiej diaspory jak dla całej zbiorowości narodowej, jeśli jej członkowie swoją tożsamość kultury przyjmują jako wartość godną świadomej uprawy.

Krajoznawstwo dziś nie tylko „tłumaczy dlaczego jesteśmy zrośnięci z ziemią polską”, ale i przede wszystkim — z kulturą polską gdziekolwiek i w jakiejkolwiek postaci ją się wytropi.

Aleksander Gieysztor

## Jak odbudowano kapliczkę na Bukowej Górze



DAWNA KAPLICZKA NA BUKOWEJ GÓRZE

fol. L. Fularski

Ze schroniska w Świętej Katarzynie wyszedłem wcześniej rano. Był wrzesień 1989 roku. Trwał XXXI Ogólnopolski Rajd w Górach Świętokrzyskich — Łysogóry Jesień 89. Przy pierwszych zabudowaniach Kraina Zagórze II obrałem kierunek na Ciekoty.

Zdumiałem się przy niszczącym ogrodzeniu tego miejsca, na którym kiedyś stał dworek dzierzawiony przez ojca Stefana Że-

romskiego. Pamiętam, że jakieś 20 lat temu były jeszcze resztki ruin tego dworku. Teraz poza kamieniem z tablicą i kilkoma drzewami nie było niczego. Piewca piękna Gór Świętokrzyskich opisywał to miejsce wielokrotnie. Wspominał np. w „Urodzie życia”, że: „miejsce to było nad wyraz piękne — obraz cichości i spokoju... Przed oknami i w tyle domu mnóstwo kwiatów, nagietek, bratków, balsamin,



PRACE PRZY BUDOWIE KAPLICZKI

fol. L. Fularski

lewkonij... W głębi ogrodu, na dole stał samotny, wielki modrzew...”

Zobaczyłem w swej wyobraźni, oglądaną kiedyś podczas jednego z łódzkich rajdów, Panią Irenę Szwałm witającą tu każdą drużynę szkolną i opowiadającą o dziecięcych i młodzieńczych latach Żeromskiego. Myślałem o „szklanych domach” Wielkiego Syna tej ziemi i o wielu późniejszych projektach zagospodarowania tego miejsca i obecnym zupełnym zapomnieniu o nim.

Patrzyłem na długi zalesiony grzbiet Bukowej Góry, którą utrwalił ten wielki pisarz w „Echach leśnych”. Zacząłem, któryś tam już

raz w ciągu tych wielu lat wędrowania, wyobrazić sobie, jak młody Stefan szedł do szkoły w Psarach Starej Wsi, przez piękną Dolinę Wilkowską w kierunku tej góry.

Szedłem i ja przez tę dolinę aż do Klonowa i dalej żółtym już szlakiem wszedłem na Bukową Górę. Doszedłem do skałek piaskowcowych i dalej zielonym szlakiem w kierunku wschodnim.

Wiedziałem, że po kilku minutach dojdę do drewnianej kapliczki, przy której były podobno mogiły powstańca z 1863 roku i partyzanta AK z 1943 roku.



ODBUDOWANA KAPLICZKA NA BUKOWEJ GÓRZE

fol. L. Fularski

Młodzież łódzka nie raz składała tu kwiaty podczas Ogólnopolskich Rajdów w Górach Świętokrzyskich — Łysogóry Wiosna organizowanych od 1956 roku przez Komisję Turystyki Górskiej Łódzkiego Oddziału PTTK oraz Łysogóry Jesień organizowanych od 1959 roku przez Klub Turystów Górskich „Kosówka” tego Oddziału.

Nie byłem w tym miejscu już kilka lat. Przy pięknej słonecznej pogodzie wędrowałem samotnie tylko z myślami o Żeromskim i o bitwie w 1863 roku opisaną przez niego w „Echach leśnych”. Szedłem przez piękny bukowy las i na małej polanie zobaczyłem bar-

dzo zniszczoną, prawie walącą się kapliczkę. Zatrzymałem się zaskoczony tym widokiem. Wtedy to zawitała do mnie myśl, że trzeba odbudować tę ulubioną przeze mnie kapliczkę. Nadarzyła się przecież okazja, by łódzcy turyści, chroniąc dobro kultury ludowej utrwalili jeden z elementów Krajobrazu Świętokrzyskiego. Budowę przeprowadziliby „łódzcy górale”, którzy udostępniili Góry Świętokrzyskie już więcej niż 80-ciu tysiącom turystów, przy czym, w tym było 80% młodzieży.

Przez Psary Podlesie, Psary Kąty i Grabową doszedłem do schroniska w św. Katarzynie. Tu podzieliłem się moimi myślami z kolegami



MARYJA KRÓLOWA GÓR ŚWIĘTOKRZYSKICH  
— RZEZBA W KAPLICZCE

fol. L. Fularski

i kierownictwem Rajdu. Pomysł naturalnie został „kupiony”.

Następnego dnia powędrowaliśmy powtórnie na Bukową Górę z Edmundem Witkowskim — przewodniczącym Komisji Turystyki Górskiej Łódzkiego Oddziału PTTK oraz Zygmuntem Stachowiczem przewodniczącym Terenowego Referatu Weryfikacyjnego GOT. Pomierzona została waląca się kapliczka i wykonany jej szkic inwentaryzacyjny. Pierwszy krok do

odbudowy był już za nami. Ustaliliśmy wtedy, że odsłonięcie i poświęcenie kapliczki odbędzie się za rok, we wrześniu, podczas Rajdu Łysogóry Jesień 90.

Wszyscy byliśmy ciekawi historii kapliczki. W Przewodniku z 1977 r. Tymoteusza Wróblewskiego znaleźliśmy o niej lakoniczną wzmiankę: „Tworzy ją stary interesujący słup dębowy z niewyraźnym napisem, pokryty dąszkiem, u stóp kapliczki mogiła partyzancka z

1943 r. Mundek Witkowski i Romek Zieliński wyruszyli więc, każdy do innych Psar, wsi leżących na zboczach Bukowej Góry. Podczas rozmów z ich mieszkańcami ustalono, że polanka, na której stoi kapliczka nazywa się „Obrazik”. Niedaleko tego miejsca jeszcze w 1943 roku rosła wspaniała, olbrzymia jodła wychodząca ponad wierzchołki otaczających ją drzew. Nazywano ją „Matką Bukowej Góry”. Na tym drzewie powieszona była mała kapliczka z datą 1918 r. Pewien sędziwy mieszkaniec wsi Psary Podlesie wspomina, że: „Jeszcze jako chłopiec wdrapywał się na tę jodłę po jaja jastrzębi, które gnieździły się na niej. Na gałęziach wisiały suche żmije, które jastrzębie zносиły młodym. Z wierzchołka jodły widać było całą okolicę, przy dobrej zaś pogodzie, nawet Warszawę”. Były to pewno Kielce, które młodzieńcza wyobraźnia zmieniła w stolicę Polski. W latach wojny partyzanci mieli tu swój punkt obserwacyjny a jednocześnie jodła widziana z daleka była dla nich drogowskazem.

Jakie wielkie było wzburzenie i zdziwienie wszystkich, gdy w 1943 roku jodła zginęła z horyzontu. Okazało się, że ściął ją na własny użytek mieszkaniec jednej z okolicznych wsi. Wtedy to partyzanci kazali mu zapłacić wysoką grzywnę, na którą musiał sprzedać kawał pola oraz polecili mu też wybudować kapliczkę na polanie Obrazik.

Mieszkańcy Psar wspominali też, że w tym miejscu była mogiła powstańca z 1863 roku a później też mogiła przybysza z Warszawy — partyzanta. Po wojnie szczątki partyzanta przeniesiono podobno na cmentarz.

Później ustaliłem, że poza wydarzeniami spisany w „Echach leśnych” wiąże się legenda „O żołnierzu Napoleona co na Górze Bukowej spoczywa” i „O buku, co go ściął Łakomiec z Klonowa”.

Z noweli Żeromskiego dowiedzieliśmy się, że bratanek rosyjskiego generała Rozłuckiego, kpt. Jan Rozłucki „Rymwid” był wzięty do niewoli podczas bitwy na Bukowej Górze. Był on następnie sądzony i skazany przez stryja na rozstrzelanie we wsi Występa leżącej na zachód od Bukowej Góry. We wsi tej na kamieniu pod krzyżem czytamy jeszcze dzisiaj napis: „1863 — 1933 powstańcowi 1863 r. — bohaterowi „Ech leśnych” St. Żeromskiego — obywatelu Wolnej Polski”.

W legendach zaś opisywane są mogiły i kapliczki na Bukowej Górze, które mogły być poprzedniczkami kapliczki obecnie tam stojącej. W jednej z tych kapliczek znaleziony został obrazek święty schowany tam przez powstańca z 1863 r. Może właśnie od tego obraz-

ka wywodzi się obecna ludowa nazwa polanki „Obrazik”.

Przez wieś Występa przechodził też w nocy 14 listopada 1944 roku p.por. Marian Świdzki „Dzik” d-ca 2 Kompanii 1 Batalionu II pp. Legionów Armii Krajowej, Świętokrzyskiego Zgrupowania Partyzanckiego AK dowodzonego przez por. Jana Piwnika „Ponurego”. „Dzik” prowadził wtedy oddział wychodzący z oblawy, wszedł na Bukową Górę i obozował prawie w tym samym miejscu, gdzie odbył się bój w 1863 roku.

Te swoje rozważania przedstawiłem dopiero później w broszurce napisanej w związku z poświęceniem kapliczki. Skład komputerowy tej broszurki wykonał mój syn Tomasz Fularski.

Tym czasem jednak, we wrześniu 1989 roku, po powrocie z Rajdu Łysogóry Jesień 89 do Łodzi, zaczęliśmy działać już oficjalnie. Propozycję odbudowy kapliczki zaaprobował bowiem Zarząd Klubu „Kosówka” a następnie zatwierdził Zarząd Łódzkiego Oddziału PTTK. Spotkała się ona też z przychylnym stanowiskiem ze strony Prezydium Zarządu Wojewódzkiego w Łodzi. Prezes PTTK w Kielcach stwierdził zaś w swym piśmie, że: „W odpowiedzi na Kolegów pismo z dnia 06.11.89 r. w sprawie odbudowy kapliczki na Bukowej Górze, z wielką satysfakcją i zadowoleniem przyjąłem Waszą Inicjatywę”.

Prowadzenie całości spraw związanych z odbudową powierzono Klubowi Turystów Górskich „Kosówka”.

Teraz jedną z ważniejszych kwestii było uzyskanie funduszy na to przedsięwzięcie. Organizatorzy liczyli przede wszystkim na zebranie dobrowolnych składek od turystów łódzkich oraz na wykonanie przez nich części prac społecznie. Naturalnie nie zawiedli się.

Pierwsze składki wpłaciła młodzież uczestnicząca w jubileuszowym XXXV Rajdzie Łysogóry Wiosna 90 oraz biorący udział jako goście, kierownicy poprzednich rajdów.

Wszyscy ofiarodawcy otrzymali okolicznościową grafikę kapliczki „pro memoria odbudowy”. Grafikę wykonał architekt Włodzimierz Witkowski „junior”.

Dobrowolne składki wpłacili członkowie Klubu „Kosówka” zaprzyjaźnionego Klubu Górskiego „Świstak” Oddziału PTTK Łódź-Polesie oraz członkowie innych klubów i kół Łódzkiego Oddziału PTTK.

Kolega Zdzisław Hibszer, członek „Kosówki” i wieloletni działacz turystyki górskiej wykonał z własnej inicjatywy, piękny model kapliczki w skali 1 : 10. Model ten prezentowany był w Warszawie w czerwcu 1990 roku podczas II tury XII Zjazdu Krajowego PTTK oraz

we wrześniu w Opolu w trakcie IV Kongresu Krajoznawczego. Przyczyniło się to do zebrania dalszych składek.

Dzięki bardzo przychylnemu stosunkowi do przedsięwzięcia okazanemu przez prezesa Zarządu Głównego PTTK Kol. Andrzeja Gordona oraz V-cę prezesa Kol. Adama Chyżewskiego, część funduszy na odbudowę otrzymali organizatorzy z funduszu promocji programowej Zarządu Głównego PTTK.

Prace fizyczne związane z odbudową kapliczki ruszyły w maju 1990 roku. Jako prowadzący odbudowę już w marcu wspólnie z Przemkiem Wojciechowskim rozpocząłem rozmowy w Nadleśnictwie w Zagnańsku. Skontaktowano nas z Kierownikiem Działu Technicznego inż. Lucjanem Wesołowskim. Okazało się, że był On przez szereg lat leśniczym w Klonowie, któremu podlegają lasy Bukowej Góry. Inż. Wesołowski ucieszył się bardzo, że wreszcie znalazły się osoby, które chcą zająć się kapliczką, bo jego propozycje w tej sprawie trafiały do tej pory w próżnię. Był to naprawdę szczęśliwy zbieg okoliczności, dzięki któremu właśnie w maju zakupiono drewno oraz nawiązano kontakt z cieślą w Klonowie. Duże zrozumienie i pomoc otrzymali też organizatorzy od Nadleśniczego inż. Stanisława Krochmala. Nadleśnictwo ufundowało ławki przy kapliczce, co zrealizował i pomagał też przy wyborze drewna na kapliczkę, obecny leśniczy w Klonowie — Dariusz Zbroszczyk. Wspólnie z cieślą Zygmuntem Zychem wybrali np. na gonty i przetransportowali, przeznaczoną do wyrębu jodłę aż spod Łysicy.

Zygmunt Zych okazał się partyzantem, który przed laty uporządkował w swojej wsi mogiłę i wznosił obelisk ku pamięci 16 mieszkańców Klonowa rozstrzelanych przez hitlerowców 2 lipca 1943 roku. Teraz, pracując ze swym synem Andrzejem oraz kolegami z Klonowa, cieśla ten wykonywał części do kapliczki oraz gonty w maju i czerwcu 1990 r. Przyjeżdżaliśmy z Andrzejem Wielgopolanem w tym czasie do Klonowa, uzgadniając sprawy techniczne i transportując z Łodzi materiały impregnacyjne, farby i narzędzia. Montaż kapliczki na polanie Obrazik zakończony został 12 lipca. W dniu 17 lipca, bardzo wzruszeni, zobaczyliśmy z Andrzejem pierwszy raz nową kapliczkę a na niej „wiechę”. Padliśmy sobie w ramiona a mnie zakreśliły się łzy w oczach.

Tego dnia i następnego pracując po 12 godzin dziennie zakonserwowaliśmy kapliczkę i pomalowali ją pierwszą warstwą. W dniach 31 lipca i 1 sierpnia Zdzisław Hibszer osadził rzeźby w głównym słupie a Jurek Wojnarowski wraz ze mną pomalował kapliczkę dru-

gą warstwą. Główne prace zostały więc wykonane w ciągu dwóch i pół miesiąca a zakończone w 46 rocznicę Wybuchu Powstania Warszawskiego.

Ze starej kapliczki pozostał kuty krzyż, który jest osadzony na szczycie dachu nowej. W zagrodzie Zygmunta Zycha w Klonowie przechowywany jest też stary słup kapliczki i czeka na zgłoszenie się instytucji, która zachowa go dla potomności. Zdjęty z tego słupa obrazek z Matką Boską, zawieszony tam przez nieznanego ofiarodawcę, przymocowany został do nowego słupa. Był tam do czasu osadzenia nowej rzeźby i został przekazany ks. Proboszczowi Ryszardowi Zaborkowi w Psarach Starej Wsi.

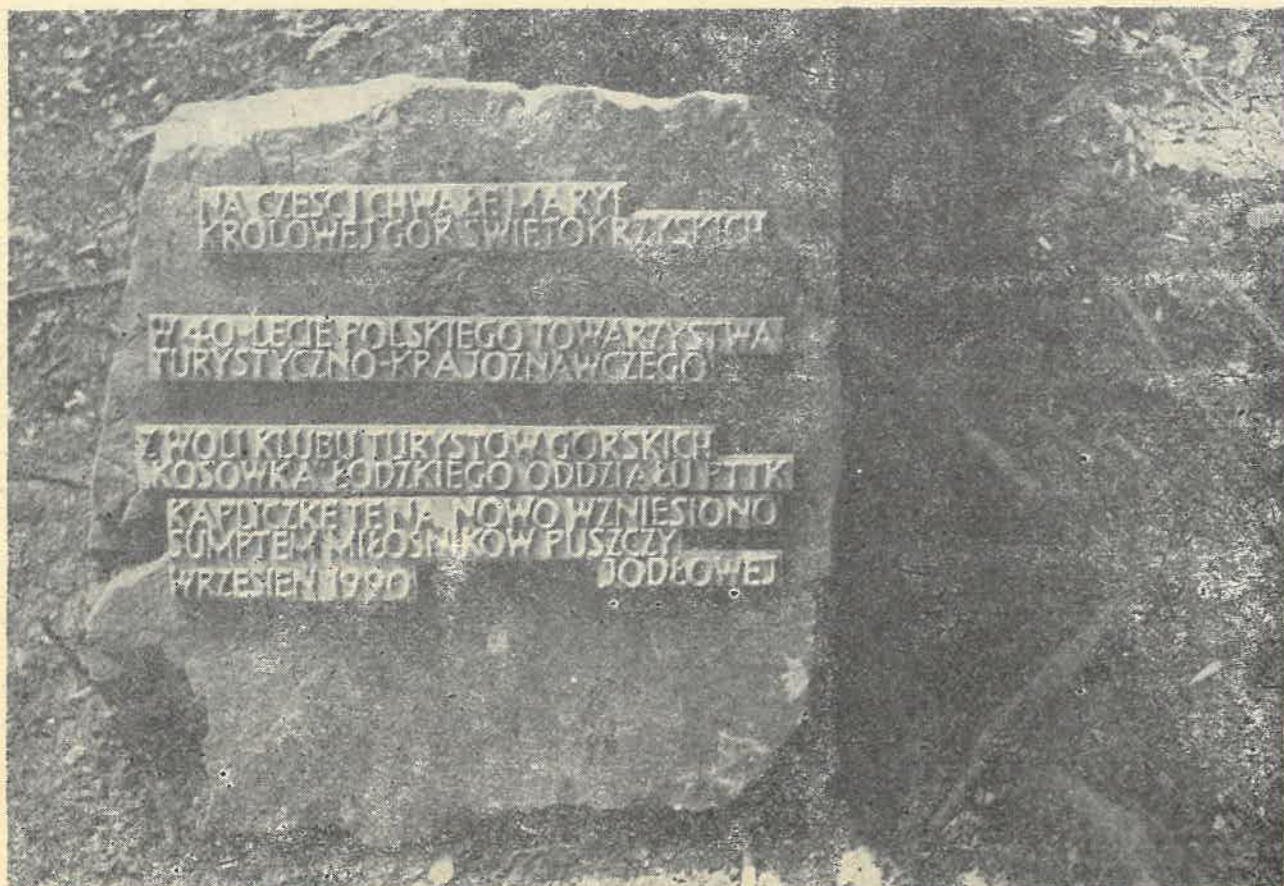
W starym słupie były różne wgłębienia, nikt jednak nie pamiętał co w nich było. Zdecydowaliśmy umieścić w nich rzeźby. Rzeźby te według moich projektów, są dziełem ludowego rzeźbiarza z Bodzentyna — Henryka Dyka. Ułożona rzeźba przedstawia replikę mozaiki Matki Boskiej z kapliczki na Wykusie, wybudowanej w miejscu, gdzie stał namiot „Ponurego”. Pod rzeźbą umieszczona jest data 1990. Na bokach słupa znajdują się rzeźby — symbole dwóch zdarzeń związanych z Bukową Górą tj. z powstaniem styczniowym 1863 r. i partyzantami AK z 1944 r. Z tyłu słupa nad osadzonym tam krzyżem jest wyrzeźbiony herb Łodzi i litery PTTK.

Kapliczkę stanowi słup drewniany o wysokości ok. 2,5 m. Gontowy daszek opiera się na czterech słupach rozstawionych w kwadracie o bokach 2,5 m. Wysokość kapliczki wraz z daszkiem 3,7 m. Całość otoczona jest płotkiem o wysokości 0,75 m., w którym z boku znajduje się furtka. Od jej strony umieszczone są, wykonane z okrągłaków ławeczki.

Obok kapliczki, pod bukiem, ustawiony jest kamień sprowadzony tu z południowego stoku Bukowej Góry. Wygląda jednak tak, jakby się „tu urodził”.

W dniu 28 sierpnia Zdzisław Hibszer i Janek Chlebowski przytwierdzili do niego tabliczki z następującymi napisami: „Na cześć i chwałę Maryi Królowej Gór Świętokrzyskich, w 40-lecie Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego z woli Klubu Turystów Górskich „Kosówka” Łódzkiego Oddziału PTTK kapliczkę tę na nowo wzniesiono sumptem miłośników Puszczy Jodłowej — wrzesień 1990”. Model tabliczek wykonał arch. Wojciech Sergiel a odlew Spółdzielnia „Armatura” w Łodzi.

Tak więc, w dniu 28 sierpnia 1990 roku praca nasza związana z odbudową kapliczki została zakończona.



NAPIS NA KAMIENIU OBOK KAPLICZKI

fol. L. Fularski

Wracając samochodem do domu zacząłem podsumowywać po raz pierwszy wkład swoich koleżanek i kolegów z „Kosówki” i Zarządu Łódzkiego Oddziału PTTK. Podczas kilkunastu dni pobytu na Bukowej Górze i jej okolicy wykonywaliśmy prace organizacyjne i fizyczne. Nie ominęło nas też sprzątanie terenu, grabienie i wiele prac pomocniczych. Kilkadziesiąt godzin zajęło nam też w Łodzi załatwianie zamówień, zakupy, pisanie, powielanie itd. Wiele godzin poświęcił Zarząd „Kosówki” i Prezydium Zarządu Oddziału na omawianie spraw organizacyjnych. Wśród wielu nazwisk należy wymienić nazwiska najaktywniejszych. Są to: Jan Chlebowski, Lechosław Fularski, Zdzisław Hibszer, Ryszard Mamenas, Adam Sulikowski, Andrzej Wielgopola, Jerzy Wojnarowski, Przemysław Wojciechowski i Zofia Zielińska.

Praca ta dała nam na pewno nie tylko poczucie dobrze spełnionego obowiązku ale i dużo satysfakcji i nawet wrzuseń.

Pozostały jeszcze uroczystości związane z odsłonięciem i poświęceniem kapliczki, zgodnie z naszym zamiarem, w dniach od 20 do 23 września w ramach Rajdu Łysogóry Jesień 90. O przygotowaniach do tych uroczystości myśleliśmy już dużo wcześniej. Jeszcze we wrześniu 1989 roku nawiązany został kontakt z pro-

boszczem najbliższej Bukowej Góry położonej parafii w Psarach Starej Wsi. Ksiądz Ryszard Zaberek okazał się też turystą, który dużo wędrował po górach, szczególnie zaś upodobał sobie Bieszczady. Przyznał się, że nie zna jednak kapliczki na Bukowej Górze. Przy następnej naszej wizycie na plebanii dowiedzieliśmy się, że ks. proboszcz dotarł zielonym szlakiem do kapliczki i ubolewał nad jej żalonym stanem. Znaleźliśmy więc następnego sprzymierzeńca, który nie tylko poświęcił kapliczkę, ale wytworzył bardzo przychylną atmosferę dla naszej akcji wśród mieszkańców Psar, w Bodzentynie i w Kielcach.

Psary Stara Wieś jest wsią, jak wiemy, gdzie była szkoła, do której chodził Stefan Żeromski. Pozostała niezabudowana parcela po tej szkole. Jest też stary drewniany budynek następnej szkoły, już nie pełniący tej funkcji. Niedaleko niej zlokalizowano piękny murek nowy budynek nowej, funkcjonującej od czterech lat. Dowiedziałem się od mieszkańców wsi, że wiele energii, zapału i zdrowia włożył w jej budowę dyrektor Bogdan Wójcik. W marzeniach Dyrektora są projekty zagospodarowania działki szkoły „Żeromskiego”. Zwierzył mi się sam z tego, lecz skąd wziąć na to siły, czas i fundusze?

Jesteśmy więc przekonani, że pod kierownictwem takiego pedagoga, młodzież ze Szkoły Podstawowej w Psarach Starej Wsi, będzie dobrze opiekowała się nową kapliczką. O to bowiem poprosiliśmy Dyrektora.

Jesteśmy też pewni, że ta młodzież, jak i młodzież szkół łódzkich uczestnicząca w Rajdach Świętokrzyskich, wiele wiadomości o swym kraju zaczerpnie poprzez turystykę i krajoznawstwo.

Pięknie o tym pisze Prezes ZG PTTK Andrzej Gordon w „Przedmowie” do broszurki o kapliczce na Bukowej Górze: „Dla prawdziwych turystów krajoznawców nie ma cudowniejszego podręcznika niż nasza ojczysta ziemia. Ta polska ziemia w przedziwny sposób uczy nas miłości to Ona wiąże z tradycją, ze współczesnością, przenosi w przyszłość.

Każdy z nas ma swoje ulubione fragmenty Ojczystego Krajobrazu. Są ich tysiące, miliony. Jednak w świadomości narodu jako całości zapisały się nieliczne. Z pewnością należą do nich Góry Świętokrzyskie. Każdy kto choćby tylko raz się nimi zauroczył wraca do nich, otacza serdeczną troską, pamięta.

Co więcej pragnienie aby zachować wartości tych krajobrazów łączy ludzi w myśli i w czynie. Najstarszy Klub Turystów Górskich PTTK „Kosówka” z Łodzi dał temu wyraz odbudowując na polanie Obrazik kapliczkę.

Przez całe lata będą koło niej wędrować ludzie. Zatrzymają się przy niej z potrzeby serca. Chwile refleksji, modlitwy i zadumy będą wiązały ich z piękną tradycją Jodłowej Puszczy”.

Lechosław Fularski

## Urzeczeni Górami Świętokrzyskimi



MŁODZIEŻ SZKOLNA SADZI DRZEWKA

fol. L. Fularski

„Objąłem okiem całą moją dolinę(...) Łańcuch gór: Masłów, Kamień, Radostowa, Wilków, Łysica — dzieli tę dolinę od świata niejako. Z przeciwnej strony zatacza widnokrąg olbrzymi łań lasów: Gózd, Klonów, Bukowa Góra, Psary, Strawczana Góra. Środkiem płynie moja rzeka, rozlewając się w staw Ciekot i drugi Międzyrzecz; — dalej rzuca się w precudowny wąwóz między górami Radostową i Kamieniem, płynąc ku Leszczynom i aż w Nidzie znika. (...) Na całym tym widnokregu dominują dwa dwory mój i Wilków. Z lasu wychyla się klasztor Świętej Katarzyny. (...) Tu i ówdzie widnieje mała chatyna czarna, bo tu chat nie białą, w kępę drzew wsunięta, niema. (...) Las jodłowy niebieści się wszędzie”:

Stefan Żeromski

Góry Świętokrzyskie, tak bardzo bliskie Stefanowi Żeromskiemu, które z wielką miłością opisywał w swoich książkach, są również drogą i bliską łódzkim turystom zrzeszonym w Klubie Turystów Górskich „Kosówka”, działającym przy Oddziale Łódzkim Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego.

Od 35 lat organizują oni co roku wiosenne i jesienne rajdy w Łysogóry. Uczestniczyło w nich już około 80 tysięcy uczestników, z czego około 70 tysięcy stanowiła młodzież szkolna.

Podczas każdego z rajdów na kilku trasach młodzież pod opieką nauczycieli, drużyny harcerskiej, a także turyści dorośli poznają piękno Gór Świętokrzyskich, ich przyrodę, historię, spotykają się z gościnnymi gospodarzami wiosek, w których znajdują się bazy noclegowe. Dzięki wielkiej pasji, umiłowaniu tych gór i wielodniowym przygotowaniom każdej imprezy przez łódzkich „górali” z „Kosówki” młodzie (i nie tylko) turyści mają okazję przekonać się jak wielką przyjemnością jest uprawianie turystyki.

W tym roku jesienią odbył się 32 rajd jesienny „Łysogóry — Jesień 90”. Był to rajd wyjątkowy i szczególny, ponieważ w czasie jego trwania miały miejsce uroczystości związane z odsłonięciem i poświęceniem kapliczki na Bukowej Górze. (Dokładny opis kapliczki i przywrócenia jej górom zamieszczony jest przed moim artykułem).

20 września punktualnie o 7.45 wyruszyliśmy z Łodzi rajdowym pociągiem, wiozącym w Góry Świętokrzyskie ponad 600 turystów 32 jesiennego rajdu na czterodniową przygodę. Maszynista czując widocznie naszą niecierpli-

wość przyjechał do Kielc kilka minut wcześniej, niż było to zaplanowane.

Uczestnicy rajdu wyruszyli na 8 tras, z których część rozpoczynała się już w Skarżysku Kamiennej i Zagnańsku, a pozostała w Kielcach. 21 września o godz. 10-tej spotkali się w Ciekotach, gdzie w latach 1867—1883 przeżył swe lata dziecięce i młodzieńcze Stefan Żeromski, ci którzy wędrowali pierwszą trasą noszącą imię wybitnego pisarza z organizatorami rajdu. Na turystyczne spotkanie przybyli również mili goście: pani Elżbieta Moskał z Urzędu Gminy w Masłowie, pan Mirosław Wiśniewski — leśniczy Świętokrzyskiego Parku Narodowego oraz pan Andrzej Wąsikowski — inspektor Wojewódzkiej Straży Ochrony Przyrody. Wokół obelisku z cytatem zaczerpniętym z „Puszczy Jodłowej” Stefana Żeromskiego:

„... Każda trudna duża i ciężka praca mierzy się w mej wyobraźni na wysokości Gór Radostowej. Jestem oto u jej podnóża. Widzę już mój kres, mój cel, rodzinny dom...”.

zasadzono 12 cisów, które będą przypominały o wielkim urzeczeniu tymi górami przez łodzian. Pierwsze dwa cisy zasadzili jedni z najwytrwalszych organizatorów rajdów świętokrzyskich Zdzisław Hibszer i najmłodszy uczestnik 32 rajdu 4-letni Adaś Fularski. Drzewka zasadzili również: pani Elżbieta Moskał, uczniowie ze Szkoły Podstawowej Nr 137 im. A. Kamińskiego z Łodzi, Szkoły Podstawowej nr 173 w Łodzi oraz z Zespołu Szkół Architektoniczno-Budowlanych z Warszawy (będący na wycieczce).

Wieczorem do szkoły podstawowej w Psarach Starej Wsi zostali zaproszeni przez gospodarzy uczestnicy trasy im. Stefana Żeromskiego oraz organizatorzy rajdu. Po ciekawym regionalnym programie przygotowanym przez gościnną młodzież z Psar krótkie programy spontanicznie zaprezentowała młodzież z klasy VIIe ze Szkoły Podstawowej 137 w Łodzi oraz ze Szkoły Podstawowej nr 25 im. Komisji Edukacji Narodowej z Warszawy. Wędrownicy z Warszawy przekazali swoim kolegom z Psar 42 ciekawe książki do biblioteki szkolnej. W czasie ogniska prezes OŁ PTTK Ryszard Mamenas opowiedział o tradycjach rajdów świętokrzyskich i ich roli w wychowaniu młodych turystów, a Lechosław Fularski — honorowy prezes OŁ PTTK i inicjator odbudowania kapliczki na Bukowej Górze powiedział jak i dzięki komu doszło od pomysłu do jego imponującej realizacji. Pan dyrektor szkoły w



ZDZISŁAW HIBSZER POMAGA ADASIOWI POSADZIĆ DRZEWKO

fol. L. Fularski

Psarach Bogdan Wójcik zobowiązał się w imieniu swoim i młodzieży do opiekowania kapliczką (o czym informuje przybita po poświęceniu specjalna tabliczka).

Ognisko w szkole niedaleko Bukowej Góry na pewno pozostanie na długo w pamięci jego uczestników, ponieważ spotkali się na nim ci, którym Łysogóry są bliskie bez względu na miejsce zamieszkania.

Żegnając się z miłymi gospodarzami uczestnicy rajdu umówili się z nimi na następny dzień na Bukowej Górze. Tam bowiem, 22 września 1990 roku, w samo południe odbyła się główna uroczystość 32 rajdu — odsłonięcie i poświęcenie kapliczki. Ze wszystkich niemal tras nadciągnęli uczestnicy rajdu na Bukową Górę. Przyjechało wielu znanych gości, którzy swoją obecnością podkreślili, że doceniają i popierają piękny pomysł, który „łódzcy górale” w czyn obrócić potrafili. Byli wśród nich: przedstawiciel wojewody łódzkiego dyrektor Wydziału Infrastruktury Społecznej Urzędu Wojewódzkiego — Jacek Danowski, prezes ZG PTTK — Andrzej Gordon, wiceprezes ZW PTTK w Łodzi — Alicja Tomsa, Kierownik biura ZW PTTK w Łodzi — Andrzej Danowski, przedstawiciel ZW PTTK w Kielcach — Andrzej Rembalski, przedstawiciel Ministerstwa Obro-

ny Narodowej Bogdan Wilczyński, dyrektor szkoły podstawowej w Psarach — Bogdan Wójcik oraz proboszcz parafii w Psarach Starej Wsi — Ireneusz Zych. Byli niemal wszyscy twórcy i wykonawcy kapliczki, która została poświęcona nietypowym kropidłem (którego ksiądz zapomniał zabrać) zrobionym specjalnie na tę okazję z gałązek jodły.

Przy kapliczce głos zabierali zaproszeni goście, którzy następnie wpisali się do księgi pamiątkowej. Wpisywali się do niej również licznie przybyli na Bukową Górę turyści łódzcy.

Wokół kapliczki posadzono 6 jodeł.

Stojąc z wielkim wzruszeniem przed odsłoniętą kapliczką i patrząc na skromnie obok stojących kolegów z „Kosówki”, dzięki którym spotkaliśmy się na Bukowej Górze, byłam pełna dla nich podziwu i szacunku oraz dumna, że mogę w tej uroczystości uczestniczyć. Udowodnili oni bowiem sobie i nam wszystkim, że chcieć to znaczy móc i jak bardzo silny jest człowiek, który czegoś naprawdę pragnie. Bo wiele potrzeba było siły, swojego wolnego czasu, samozaparca by jak powiedział Cyprian Kamil Norwid — „Dodać coś od siebie do tego co się zastało”. Wieczorem spotkali się na wieczornicy organizatorzy rajdu i zaproszeni przez nich goście, by móc porozmawiać o turystyce, jej roli dawniejszej i niepewnej przyszłości.

W niedzielę rano 23 września w kościele w Psarach Starej Wsi odbyła się Msza Święta w intencji turystów łódzkich i mieszkańców Gór Świętokrzyskich.

Z wielką radością dowiedziałam się, że z okazji Światowego Dnia Turystyki 27 września 1990 roku na spotkaniu w Warszawie zespół z OŁ PTTK w składzie: Lechosław Fularski — przewodniczący i członkowie: Zdzisław Hibszer, Ryszard Mamenas i Andrzej Wielgopolan otrzymała pieniężną nagrodę Komitetu do Spraw Młodzieży i Kultury Fizycznej za szczególne osiągnięcia w działalności na rzecz turystyki. W uzasadnieniu podkreślono inicjatywę, zaprojektowanie i wybudowanie kaplicz-

## Dawny Teatr Wielki przy ul. Konstantinowskiej w Łodzi

Dawny teatr został wybudowany w 1901 roku przy ulicy Konstantinowskiej nr 14—16 (obecnie ul. Obrońców Stalingradu) z własnych funduszy Fryderyka Sellina, bardzo zamożnego obywatela m. Łodzi, wielkiego miłośnika i mecenas sztuki teatralnej. Teatr był wzniesiony w/g planów architekta Zeligsona. Z zewnętrznej, czołowej fasady wyglądał na budynek dwupiętrowy z dość znacznym trzydrzwiowym gankiem. Na I piętrze ganku był obszerny balkon z 4 kolumnami, wspierającymi na II piętrze taras okolony balustradą. Teatr, jak na owe czasy był wspaniale wyposażony. Tworzył obszerną widownię oraz trzy kondygnacje balkonów, przechodzących w środkowej części, na wprost sceny w głębokie amfiteatry. Na parterze i na I piętrze były wygodne, dość głębokie łóża. Fotele i krzesła na widowni były obite amarantowym pluszem, miłym dla oka. Teatr był wyposażony w oświetlenie elektryczne i w centralne ogrzewanie. W czterech rogach obszernego, pięknego sufitu zwisały złoczone, pełne kryształów, gustowne żyrandole, a balkony świeciły zdobnymi, kryształowymi kinkietami. W oświetleniu tym mieniły się i błyszcząły złocenia i kryształy tych żyrandoli i kinkietów. Na trzeciej kondygnacji z prawej i lewej strony nad balkonami znajdowały

ki na Bukowej Górze. Swoją nagrodę koledzy przeznaczyci na fundusz konserwacji kapliczki na Bukowej Górze.

W imieniu Redakcji „Wędrownika” szczerze gratuluję Kolegom pomysłu i wykonania imponującej kapliczki na Bukowej Górze oraz zasłużonej nagrody i pięknego gestu przekazania jej na rzecz dzieła, które stworzyli. Życzymy Kolegom następnych również ciekawych pomysłów, które mimo wielu trudności przy ich realizacji, wzbogacają nasze codzienne życie i pozostawiają po sobie ślady.

Anna Pilarska

się tzw. wówczas „Jaskółki” — galerie, tłumnie odwiedzane przez młodzież (sam byłem ich częstym gościem). Widownia „Teatru Wielkiego” w Łodzi miała 1250 miejsc siedzących. Fotografii wnętrza i zewnętrznej fasady budynku „Teatru” z krótką wzmianką umieścił „Tygodnik Ilustrowany” z 1901 roku nr 39 na stronie 773. Otwarcie i oddanie „Teatru Wielkiego” do użytku odbyło się 28 września 1901 roku. Otwarcie teatru zaszczycił Henryk Sienkiewicz i Henryk Siemiradzki. W eksploatacji teatr świecił pustkami. Dyrektor Grubiński był zmuszony przenieść się do „Teatru Wiktorii” o połowę mniejszego, przy ul. Piotrkowskiej. W 1903 roku nowy dyrektor M. Gawulewicz — publicysta i dramaturg wytworzył sytuację, że w grudniu 1903 roku powstało „Łódzkie Towarzystwo Teatralne”, które stało się opiekunem „Teatru Wielkiego”. Okres rewolucji 1905 roku był dla teatru bardzo trudny, ale były też i sukcesy. Dawał on wtedy popularne widowiska w niedziele i święta dla publiczności robotniczej z repertuarem patriotycznym i społecznym. W 1908 roku dyrekcję teatru objął Cz. Janowski. Dawał on farsy, operetki, komedie. Podniosły się dochody teatru, a jednak ten okres nazywano „jałowym”. Na domiar złego zjawił się poważny konkurent teatru —

„kino”, które dotarło do Łodzi w 1899 roku. Założycielami kina w Łodzi byli bracia Władysław i Antoni Krzemińscy. Było to pierwsze kino w Polsce przy ul. Piotrkowskiej 120. Cieszyło się ono powodzeniem. Seanse trwały 50 minut. Śmietanka łódzka nazywała ten rodzaj sztuki „rozrywką jarmarczną”. Po Janowskim gościł trzy razy w „Teatrze Wielkim” Zelwerowicz (1908—1911 rok). Jego działalność była imponująca. Dawał on przedstawienia po bardzo niskich cenach dla młodzieży szkolnej. Popularyzował sztukę teatralną. Dawał odczyty, prelekcje, pogadanki na tematy literatury polskiej i światowej. Wystawiał sztuki jak: „Wesele”, „Dziady”, „Srebrny sen Salomei”, „Samuela Zborowskiego”, „Irydion”, „Klątwę”. Zelwerowicz zaglądał też do Łodzi podczas I Wojny Światowej. Wystawiał przeważnie sztuki patriotyczne cieszące się frekwencją. Dawał takie sztuki jak: „Kościuszko pod Racławicami”, „Kościuszko w Petersburgu”, „Gwiazdę Syberii”, „Księża Marka”, „Warszawiankę”.

W 1914 roku, podczas I Wojny Światowej pod Łodzią toczyła się wielka bitwa. Łódź była oblegana przez armię niemiecką. Teatr Wielki był w tym czasie wykorzystany na rosyjski „Szpital Ewakuacyjny”. Zwożono i znoszono tu rannych z pozycji tuż za miastem. W łóżach, w przejściach leżeli pokotem ranni. Łżej ranni zajmowali wprost na podłodze korytarze i przejścia na parterze i na piętrach. Na widowni, na parterze stały stoły, przy których udzielano lżejszych zabiegów i opatrunków. Ciężkie operacje odbywały się na scenie za kurtyną. Odbywały się one przy pomocy prymitywnych narzędzi i z braku środków znieczulających, nasennych wprost „na żywca”. Często w jednym czasie odbywało się kilka operacji rąk czy nóg. Zabiegom tym towarzyszyły ciągle jęki, krzyki. (Byłem tego świad-

kiem jako 13 letni chłopiec — siostra moja była w tym szpitalu pielęgniarką). Brak było środków opatrunkowych, dezynfekcyjnych, toteż infekcja zbierała plony. Nawet łżej ranni umierali często na zakażenie krwi. Szpital nie był zaopatrywany w żywność. Ludność miasta, a zwłaszcza mieszkająca bliżej szpitala dokarmiała rannych z całym poświęceniem, warząc strawę w swych domach. Bardzo szczupły personel lekarski upadał ze zmęczenia. Lekarze „uwijali” się w zakrwawionych kitlach, często nie ogoleni, brudni. Nie było też personelu medyczno-pomocniczego. Czynności pielęgniarerek sprawowały na prędcę przyuczone kobiety. W gmachu był zaduch, brud toteż śmierć zbierała obfite plony. Zmarłych wynoszono do stojącego w głębi posesji „Teatru Popularnego”. Temu wszystkiemu towarzyszyła sroga, dotkliwa zima, która tego roku nawiedziła nasz kraj niespodziewanie wcześniej. Należy zaznaczyć, że między rannymi można było spotkać Polaków. Łodzianie z wielkim poświęceniem wynosili ich z tego makabrycznego szpitala i umieszczali ich w szpitalach miejskich lub wprost zabierali do swych domów. Nikt na to nie reagował, gdyż szpital nie prowadził ewidencji rannych. Dopiero po bitwie pod Łodzią w końcu lutego 1915 roku pochowano zmarłych żołnierzy w zbiorowych mogiłach na „Cmentarzu Prawosławnym na Dołach”. „Teatr Wielki” doprowadzono do pierwotnego stanu. W latach 1915 do 1918 przebywał tu na gościnnych występach Zelwerowicz i Stefan Jaracz. W dniu 20 października 1920 roku „Teatr Wielki” przy ul. Konstantinowskiej nr 14—16 z niewiadomych przyczyn spłonął.

Stefan Dryll

## Cegielnia miejska w Łodzi

Niezwykle istotną część szerokiego, wysuniętego przez rząd Królestwa Polskiego, programu tworzenia krajowego przemysłu i rozwoju miast, stanowiła świadoma i wielokierunkowa polityka budowlana. Wszystkie budynki mieszkalne dla „fabrykantów” i budynki rzemieślniczo-przemysłowe (wiele obiektów pełniło obie te funkcje) a także budowle municipalne, miały we wznoszonych osadach fabrycznych odpowiadać ściśle określonym przepisom o charakterze prawa budowlanego. Wiele uwagi poświęcono nie tylko funkcjonalności obiektów, lecz także ich trwałości pozwalającej na rzadsze wykonywanie remontów i napraw, estetyce elewacji — zwłaszcza domów wznoszonych w reprezentacyjnych częściach osad (w rynkach, przy głównych ciągach komunikacyjnych) — oraz bezpieczeństwu przeciwpożarowemu.

Jednocześnie trudna sytuacja ekonomiczna kraju zmuszała ówczesnych planistów do kierowania uwagi budowniczych na te surowce, które umożliwiłyby obniżenie kosztów, finansowanej przecież w znacznym stopniu przez administrację rządową, akcji budownictwa osadniczego. Proponowano w związku z tym przede wszystkim najtańsze i równocześnie najłatwiej dostępne materiały budowlane, tzn. tanie lub bezpłatne drewno z lasów rządowych, wapno, kamień polny oraz cegłę i dachówkę z cegielni miejskich, sprzedawaną po kosztach produkcji.

Głównym aktem prawnym w dziedzinie ochrony przeciwpożarowej były tzw. „Przepisy” wydane przez ministra policji jeszcze w czasach Księstwa Warszawskiego — 1 maja 1810 roku. Obowiązywały one powszechnie zarówno naczelnie władze administracyjne, wszelkie urzędy i instytucje terenowe ze sferą budownictwa związane, jak również wszystkich obywateli.

W pierwszej części „Przepisów” omawiającej „sposoby pożarom zapobiec mogące” regulowano m.in. sprawy budownictwa domów mieszkalnych i gmachów przemysłowych. I tak dla przykładu obiekty przemysłowe, gdzie stosowano w procesach technologicznych „ogień otwarty” (olejarnie, gorzelnie, browary, mydlarnie itp.), musiały być całkowicie murowane, kryte dachówką a następnie blachą i wolno je było wznosić tylko w znacznym oddaleniu od innych zabudowań miejskich.

Istotne znaczenie miało też postanowienie zniesienia w miastach wszystkich kominów drewnianych wylepianych gliną, w miejsce

których nakazano stawiać kominy z cegły, przy czym przewody kominowe musiały być wznieszone dla każdego ognia oddzielnie i wyprowadzane ponad poziom dachu. Tu wreszcie znalazło się postanowienie, by w domach stawianych rzędem w bezpośredniej bliskości budować ścianę przedziałową z cegły (tzw. „brandmur”) o grubości około 0,5 metra. Cały ten system prawa budowlanego stworzony w 1810 roku przetrwał samo Księstwo i obowiązywał nadal w okresie Królestwa Polskiego.

Wydane dziesięć lat później przepisy policji budowniczej stanowiły m.in., że nowo wznoszone w miastach obiekty mieszkalne i przemysłowe, na które miała być udzielona pożyczka rządowa, mogły być budowane wyłącznie z cegły lub innego materiału niepalnego i należało je kryć dachówką. Wszelkie istniejące już budynki drewniane miały być stopniowo likwidowane, a w każdym razie nie wolno ich było naprawiać. Właścicielom wszystkich obiektów nakazywano tynkować elewacje, zwłaszcza od strony ulicy, co było wyrazem dbałości władz o estetykę miast a jednocześnie stanowiło realną ocenę możliwości wykonania tego nakazu przez wszystkich właścicieli. Niewątpliwie ówczesne prawodawstwo budowlane, uwzględniające różnorodne i wzajemnie się przenikające zagadnienia funkcjonalne, techniczne, technologiczne, estetyczne i społeczne, miało bardzo istotny wpływ na wygląd architektoniczny osad fabrycznych, a decydujący w przypadku materiałów budowlanych będących w powszechnym stosowaniu.

W czasach Księstwa Warszawskiego, w umowie zawartej w 1807 roku między właścicielem dóbr Strzeblewa i Ozorkowa Ignacym Starzyńskim a sukiennikami pragnącymi się osiedlić w Ozorkowie, zobowiązano tych ostatnich do budowy domów drewnianych pokrytych gontami lub dachówką z murowanym kominem. Już wówczas jednak osadnicy otrzymali, lub raczej sam właściciel dóbr wymusił, przywilej ułatwiający im budowę domów murowanych: „cegły, ile tej kontraktujący, czyli obejmujący grunta fabrykanci do zabudowań własnych do pierwszego wybudowania się potrzebować będą, na te gliny i cegielni swojej do wypalania w(ielmożny) dziedzie im dozwala, niemniej drzewa do wypalania potrzebnego udzieli”. Fakt ten nabiera większego znaczenia, gdy weźmie się pod uwagę, że umowa ozorkowska, pierwsza tego rodzaju w okręgu łódzkim, stanowiła wzór dla wszystkich późniejszych zawieranych w tym okręgu, w tym także dla umowy zgierskiej.

Inicjatywy te wsparła administracja rządowa rozporządzeniem z 18 sierpnia 1818 roku, gdzie postanowiono m.in., że: „1. każdy mający zamiar wystawienie cegielni na gruncie miejskim, w której by przynajmniej 500 000 cegły wypalać rocznie można, uzyskać może zapomogi 2 000 złp. 2. Budujący dom murowany, dachówką kryty o jednym piętrze i najmniej 5 frontowych oknach — 3 000 złp. 3. Dom murowany o jedno piętro wyżej lub o 9 oknach frontowych — 4 500 złp. 4. Zapomogi te udzielane będą sposobem pożyczki w tym sposobie, iż zyskujący one w pierwszych 3 latach żadnego procentu opłacać nie będzie. W następnych 3 latach pożyczoną sumę wraz z procentami po 5 od sta wrócić będzie obowiązany”.

Władze Królestwa Polskiego problem budownictwa murowanego w osadach rządowych akcentowały jeszcze silniej. W myśl dekretu namiestnika Królestwa z 18 września 1820 roku we wszystkich projektowanych osadach przemysłowych zalecano jako jedno z pierwszych posunięć gospodarczych budowę cegielni. Wznoszenie zakładów produkujących materiały budowlane bardzo często, z różnych przyczyn, przeciągało się w czasie, stąd też w pierwszym etapie organizowania osad przemysłowych dominowała jednak architektura drewniana.

W tzw. umowie zgierskiej z 30 marca 1821 roku w punkcie 10 znajdujemy zalecenie: „budowle na teraz dla braku materiałów cegielnianych stawiane być mogą z drzewa, lecz zawsze na podmurówku i pod dachówką, później skoro cegielnia miejska ukończoną zostanie, budowle przynajmniej w pryncypialniejszych ulicach murowane być muszą”. Ale i takie postanowienia były często przez mieszczan — zwłaszcza z powodów finansowych — omijane. Osadnicy omijając prawo pokrywali dachy swoich domostw słomą lub też niekiedy kładli dachówkę lecz tylko od strony frontowej.

Tereny pod budowę cegielni miejskiej w Łodzi (tzn. zbudowanej i dzierżawionej przez kasę miejską) wyznaczył z początkiem 1821 roku („w czasie trwających mrozów”), adiunkt dozorca miast obwodu łęczyckiego Józef Zawadzki. Miejsce to uwidocznione zostało na „planie sytuacyjnym uregulowanych ogrodów sukienniczych w mieście Łodzi” Filipa de Viebiga z 1823 roku. „Grunt przeznaczony do cegielni rządowej” (parcela nr 203) usytuowany był pośród działek ogrodowych w południowej części osady sukienniczej Nowe Miasto w obrębie dawnego folwarku rządowego Stara Wieś, częściowo zaś na gruntach proboszcza, granicząc od południa z lasem Karkoszka.

W połowie czerwca 1821 roku adiunkt Józef Zawadzki, burmistrz Łodzi Antoni Czarowski, ksiądz Franciszek Zengteller, nadleśniczy lasów rządowych obrębu Łaznów Napoleon Libiszewski oraz strycharz (robotnik wyrabiający cegły) ze Zgierza Bogumił Cichocki udali się na miejsce budowy przyszłej cegielni celem dokładnego wymierzenia gruntu oraz przekonania się czy w wyznaczonym miejscu znajdują się przydatne do wyrobu cegieł i dachówki pokłady gliny. Ocena pokładów surowca wystawiona jeszcze zimą potwierdziła się, niemniej pojawiły się pewne zastrzeżenia, które zmusiły zainteresowanych do przeprowadzenia korekty projektu. I tak stwierdzono: „1. Że łąka i bór na wystawienie cegielni obecnie obrane, lubo posiadają dobrą glinę, i wówczas o użyciu onej w każdym czasie należało być pewnym, gdy jednak w porze dzisiejszej miejsce to wydaje podskórnią wodę (a która w czasie mrozów nie mogła być uznana za szkodliwą i trwałą) i ta w wyrabianiu cegielnianych materiałów przyniosłaby widoczną stratę czasu oraz koszt próżny, 2. Że wyżej łąki ku folwarkowi znajdujący się ugor folwarczny, miejscami tylko i to niedokładną okazuje glinę, 3. Iż podług skutecznego już planu Nowego Miasta od traktu bitego droga mała idąca do boru, przez zbliżenie miejsca, w położeniu dalszym gruntów zdolnych na wystawienie cegielni najpomyślniejszym będzie skutkiem dla budujących się fabrykantów sprowadzenia materiałów cegielnianych, 4. W końcu, że role również folwarczne Stara Wieś obok pierwszego planu położone, lubo byłyby dostatecznymi na ustanowienie cegielni, zasiane jednak jęczmieniem i oziminną nie dopuszczają na teraz budowlę cegielni nadto, gdy są trochę niżej położone. Przeto dla usunięcia wszelkich przeszkód i zapewnienia pośpiechu w budowlę cegielni, adiunkt uznał konieczność nieco bliżej do drogi posunąć się”.

Rozpoczęte w 1823 roku roboty budowlane na terenie przyszłej cegielni, opiekujące na sumę 2 180 złp, prowadził przedsiębiorca z Łęczycy, żyd Abram Szwaytzer (Szwajtzer). Zleceniodawca robót, czyli rząd Królestwa Polskiego, czynił później Szwaytzerowi duże przeszkody w odbiorze należnego wynagrodzenia, bowiem tenże zdaniem władz rzekomo „na zwózkę materiałów do budowy cegielni potrzebnych nie ekspensował (wydatkował — przyp. M.J.), lecz prowadzenie takowych na plac budowlany przez dobrą chęć mieszkańców Miasta Starego bez pokwitowania żadnych wynagrodzeń nastąpiło”.

Na zabudowania cegielni składały się: murowany piec do wypalania cegły, drewniana

szopa nad piecem o wymiarach 39,25 łokcia długości, 24,5 łokcia szerokości i 2 łokcie wysokości (tj. w przybliżeniu  $23,3 \times 14,5 \times 1,2$  metra), drewniana, kryta dranicami (cienkimi deskami z drzewa iglastego) szopa do suszenia cegły o wymiarach  $76 \times 27 \times 2,25$  łokci ( $45,2 \times 16 \times 1,3$  metra) oraz drewniany dom mieszkalny dla strycharza kryty gontami o wymiarach  $19,5 \times 11,25 \times 4$  łokcie ( $11,6 \times 6,6 \times 2,4$  metra).

Pierwszym dzierżawcą cegielni miejskiej (jeszcze nieczynnej) w latach 1823—1824 był niejaki Ludwik Szperling, ponieważ jednak budowa tego obiektu przedłużała się, władze miejskie postanowiły rozwiązać z nim kontrakt. Następny kontrakt dzierżawny na okres 1 stycznia 1825 — 31 grudzień 1827 miasto zawarło z poznanym już wcześniej strycharzem zgierskim Bogumiłem Cichockim, który zobowiązał się wносить do kasy miejskiej 300 złp. rocznej opłaty.

Cichocki otrzymawszy zapewnienie uzyskania od rządu pożyczki w wysokości 3 tys. złp. zobowiązał się jak najszybciej wybudować dwie szopy z drewna dostarczonego bezpłatnie z lasów rządowych oraz „dostarczyć tyle materiałów cegielnianych, ile budowlom miejscowe potrzebować będą, a to z poddaniem się egzekucji administracyjnej za każdy zawód i odpowiedzialności wszelkiej dla uniknięcia której, szczególnie co do dostarczenia dachówki, zapewnią urządzać rusztowanie na 25 000 (sztuk), aby tym mocniej nadać popęd wyrobienia ilości odpowiadającej miejscowym fabrykantom”. W latach następnych cegielnia miała produkować rocznie przynajmniej 500 000 sztuk cegły i 200 000 sztuk dachówek, a przy tym na składzie winno się zawsze znajdować 100 000 cegieł i 30 000 sztuk dachówki karpiówki.

„Fabryka cegły i dachówki w Łodzi” rozpoczęła ostatecznie produkcję dopiero w 1827 roku. Jej kolejnymi dzierżawcami po Szperlingu i Cichockim byli: w latach 1828—1830 z licytacji Samuel Rygner (Rigner), następnie ponownie Bogumił Cichocki, w imieniu którego wyrobem materiałów budowlanych zajmował się niejaki Weill, w latach 1832—1834 strycharzem łódzkim był Frydrych Hoffman, następnie Hersz Igielberg (1835—1837), Layzer Berger (1839—1841), a od listopada 1841 roku do 1847 roku Ludwik König, z którym władze miejskie podpisały kontrakt dwukrotnie z rządu.

W 1848 roku magistrat łódzki aż trzykrotnie ogłaszał licytację na dzierżawę cegielni, lecz starania te nie przyniosły pozytywnego skutku — „szczególnie dla braku gliny i zupełnej defekacji zabudowań”. Dopiero na mocy deklaracji z 30 maja 1848 roku tkacz łódzki

August Frentzel (Frencel), posiadający pokłady gliny na własnym, sąsiadującym z cegielnią gruncie, podjął się dzierżawy tego obiektu za opłatą roczną do kasy miejskiej 6 rb i obowiązkiem uiszczenia rocznej składki ogniowej od zabudowań 18 rb i 47,5 kop.

Wiadomo z korespondencji urzędowej, że dla miasta ten niezbyt dogodny kontrakt był w ówczesnej sytuacji koniecznością: „ponieważ korzystniejszej nie było konkurencji, Magistrat aby zapewnić dozór nad zabudowaniami i utensyliami cegielni, oddał takową w posesję Frentzlowi (...), że zaś dotąd nie ma decyzji, Frentzel używa zabudowań cegielnianych, mianowicie pieców, bo szopy dla zdezelowanych dachów nie mogą przynosić osłony (...) administracji takiej podjął się Frentzel do czasu wzniesienia nowej cegielni i sprzedaży obecnych budowli. Co zapewne wkrótce nastąpi — albowiem projekt wzniesienia nowych budowli już budowniczy powiatu ma na ukończeniu”.

W Łodzi i najbliższych okolicach w roku 1845 czynne były tylko trzy cegielnie — omawiana tutaj cegielnia miejska, w której pracowało 19 osób, w tym 2 majstrów, 3 czeladników i 12 „służących” (łącznie 12 mężczyzn i 5 kobiet), poza nią wytwórnia cegły i dachówek w Radogoszczu założona przez dziedzica Strzałkowskiego w 1829 roku (10 pracowników) oraz cegielnia w Bałutach założona późno, bo dopiero w 1845 roku przez dziedziczkę Piwnicką (zatrudniająca 7 robotników).

Cegielnia łódzka produkowała cztery podstawowe rodzaje materiałów budowlanych: cegłę paloną, dachówkę tzw. holenderską, dachówkę karpiówkę oraz gąsior do krycia grzbietu dachów. W myśl rozporządzenia Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Policji z 23 października 1816 roku, począwszy od roku następnego wymienione wyroby musiały posiadać ściśle określone rozmiary. I tak cegła winna mieć 12 cali długości, 6 cali szerokości i 3 cale grubości, dachówka holenderska odpowiednio  $17 \times 9 \times 3/4$  cala, dachówka karpiówka  $13 \times 7 \frac{1}{2} \times 3/4$  cala i gąsior  $12 \times 12 \times 3$  cala. Przepis ten obowiązywał wszystkie wytwórnie aż do 1895 roku.

Ceny tych materiałów ustalone administracyjnie na sztywnym poziomie wynosiły — za 1 000 sztuk cegły palonej 26 złp, za 1 000 sztuk dachówki holenderskiej 65 złp, za 1 000 sztuk dachówki karpiówki 42 złp, za 1 000 sztuk cegły surowej 10 złp i za każdy gąsior 12 groszy. Ceny te, ustalone jeszcze przed uruchomieniem cegielni miejskiej utrzymały się na niezmiennym poziomie aż do chwili likwidacji zakładu. Cennik ten nie dotyczył wytwórni pry-

watnych, które mogły wyznaczać ceny na dowolnym poziomie. W przypadku cegielni miejskiej jedynie przy sprzedaży materiałów budowlanych poza obręb Starego Miasta i nowo utworzonych osad fabrycznych można było ustalać ceny wyższe. Był to bardzo ważny element polityki budowlanej w szerokim programie rozbudowy miast Królestwa Polskiego. Wszelkie przewidywania co do rozmiarów ruchu budowlanego w Łodzi w zderzeniu z rzeczywistością okazały się jednak nietrafne. Zapotrzebowanie na materiały budowlane było tutaj tak duże, że przy klauzuli pierwszeństwa zakupu przez mieszkańców omawianych terenów, możliwości osiągnięcia przez dzierżawców cegielni miejskiej dodatkowych zysków ze sprzedaży poza miasto były raczej znikome.

Koszty wytwarzania rosły z każdym rokiem, bowiem z jednej strony coraz trudniejszy stawał się dostęp do surowca — kończyły się stopniowo pokłady gliny, którą już w latach czterdziestych trzeba było sprowadzać z innych placów — z drugiej zaś strony rosły wydatki związane z wypalaniem gliny. Drewno do palenia w piecu cegielni miejskiej tuższe władze przydzielały bezpłatnie ale musiano je transportować na koszt dzierżawcy z coraz bardziej odległych okolic, gdyż „znakomite poprzednio naokół miasta Łodzi lasy w zupełności prawie zostały wyniszczone”.

Adiunkt budowniczy rządowy Anicet Czaki w wydanym w 1830 roku dziele „Wzory budowli wiejskich...” przy opisie domu tkackiego o wymiarach 28 łokci długości, 15 łokci szerokości i 6 łokci wysokości, a więc o wymiarach zbliżonych do budynków tkaczy wznoszonych w Łodzi, dał szczegółowy wykaz potrzebnych materiałów budowlanych. Do wzniesienia takiego budynku przewidywał on zużycie m.in. 50 000 sztuk cegieł, 7 500 sztuk dachówki karpiówki, 150 korcy wapna, 300 fur piasku, 24 fur gliny i 114 gąsiorów. Porównując te dane z wielkością rocznej produkcji cegielni miejskiej w Łodzi jaką zakładano w kontrakcie z Cichockim, można przyjąć, że wytwórnia ta była w stanie pokryć zapotrzebowanie materiałowe przy wznoszeniu kilku większych lub najwyższej kilkunastu mniejszych budynków murowanych.

Pamiętać jednak jeszcze trzeba, że część tego budulca zużywano przy stawianiu domów drewnianych, które zgodnie z przepisami budowlanymi wznoszono na podmurówce z cegły palonej lub kamienia (ten drugi sposób stosowano w Łodzi rzadko ze względu na brak surowca) łączonych wapnem. Podobna uwaga dotyczy pokrywania dachów domów drewnianych, które zalecano okrywać dachówką,

choć w tym przypadku odstępstwa od przepisów były daleko częstsze.

Już w 1826 roku naczelnik Sekcji Fabrycznej Komisji Województwa Mazowieckiego Benedykt Tykel pisał do burmistrza Łodzi: „Przypominam burmistrzowi miasta Łodzi, iż dachy domów tak w starym mieście jako i w obu osadach stawiających się, jedynie na przypadek wyraźnego braku dachówki czasowo słomą pokrywaniem bydlę mogą, pobijanie zaś tychże dachów gontem w żaden sposób bez szczególnego w tem upoważnienia Komisji Wojewódzkiej dozwalanem być nie ma”. W rzeczywistości, z powodów wyżej wzmiankowanych, słomiane dachy w Łodzi można było spotkać jeszcze w wiele lat później. Niekiedy dach pokrywano od strony frontowej dachówką, z tyłu zaś słomą, co właściciele domów wyjaśniali „że to bynajmniej widocznym nie będzie, kiedy z frontu dachówka położona jest (...) zwłaszcza, iż nawet dom ten nie w pryncypialnej, ale w bocznej ulicy położony jest”.

Dla uzyskania pełniejszego obrazu potrzeb w zakresie materiałów budowlanych należy dodać, że zgodnie z przepisami kominy w budynkach miejskich, niezależnie od ich przeznaczenia i konstrukcji, musiały być wykonane z cegły. Na mocy reskryptu rządowego z 31 grudnia 1842 roku w domach jednopiętrowych i wyższych musiały być chociaż jedne schody kamienne, ceglane lub żelazne (te ostatnie ze względu na koszt stosowano w I połowie XIX stulecia wyjątkowo rzadko). Cegły używano też przy budowie mostków, śluz, kanałów i innych urządzeniach inżynierskich.

Wliczając do potencjału produkcyjnego cegielni miejskiej także wytwórczość mniejszych — jak można sądzić po stanie zatrudnienia — cegielni w Radogoszczu i Bałutach (tej drugiej dopiero od 1845 roku), a być może w mniejszym stopniu również cegielni w Zgierzu, podaż trwałych materiałów budowlanych w Łodzi w tym okresie czasu była z pewnością daleko niewystarczająca. Sprowadzanie budulca z bardziej odległych cegielni niewątpliwie mocno podrażało koszty budowy i mogli się na nie decydować tylko zamożniejsi osadnicy. W piśmie magistratu łódzkiego z 6 sierpnia 1850 roku alarmowano: „kilku mieszkańców zamierzonych wzniesienie budowli murowanych wstrzymać musiało do roku przyszłego bo teraz była tak znaczna konkurencja na cegłę, że mieszkańcy porobiwszy zaliczenie gorącą z pieców zabierali”.

Jak obliczano w połowie ubiegłego wieku zaspokojenie potrzeb mieszkańców Łodzi nastąpiłoby przy produkcji rocznej 2 milionów sztuk cegły i 300 000 sztuk dachówki. Nie wie-

my jak dokładnie w tym czasie przestrzegano przepisów sformułowanych w ukazie carskim z 24 stycznia 1847 roku, gdzie nakazywano strycharzom pozostawianie gliny wyrobionej z domieszkami na wolnym powietrzu od jesieni aż do wiosny następnego roku, sam zaś proces wypalania cegły określano na 2—3 tygodnie. Jest wysoce prawdopodobne, że te procesy technologiczne ulegały znacznemu skróceniu co oczywiście nie mogło pozostać bez wpływu na jakość gotowego wyrobu. Opinię tę zdają się potwierdzać dosyć częste narzekania klientów cegielni na wytrzymałość materiałów budowlanych, dotyczyło to zwłaszcza szybko pękających dachówek.

W 1849 roku magistrat łódzki postanowił urządzić cegielnię miejską w innym miejscu, posiadającym bogatsze pokłady gliny. Jednocześnie postanowiono zagospodarować dotychczasową cegielnię, już wyeksploatowaną, ze zniszczonymi drewnianymi szopami i rozległymi wyrobiskami po wydobytej glinie. Ponieważ znaczna część parceli usytuowana przy ulicach Dzielnej (obecnie ul. G. Narutowicza) i Widzewskiej (ul. Kilińskiego) posiadała już zabudowę, uznano że przeznaczenie terenów po cegielni na pole uprawne „szpeciłoby widok a opustoszałe i nierówne miejsca upsułyby całą iluzję pomienionych ulic”. Władze miejskie zaproponowały więc by całą przestrzeń podzielić na trzynaście parceli budowlanych i wiecześnie je wydzierżawić, „zwłaszcza iż o to zgłaszają się konkurenci, którzy będą w obowiązku płacić za własnym kosztem splanować i zabudować”.

Projekt ten uległ później pewnej, bardzo zresztą dla miasta i jego układu komunikacyjnego korzystnej, modyfikacji. Zdecydowano się mianowicie na przeprowadzenie przez część gruntów byłej cegielni przedłużenia ulicy Widzewskiej na odcinku od ulicy Dzielnej do ulicy Północnej — w tym fragmencie ulicy równoległe do głównej arterii miasta ul. Piotrkowskiej. Część terenu zamierzano przeznaczyć na utworzenie rynku (projekt niezrealizowany), a obok niego wyznaczyć parcele dla „fabrykantów”. „Rys ręczny Miasta Fabrycznego Łodzi” sporządzony przez J. Lenartowskiego w sierpniu 1849 roku (w zbiorach Muzeum Historii Miasta Łodzi) przedłużenia ulicy Widzewskiej jeszcze nie odnotowuje, pojawia się ono natomiast na planie miasta z 1853 roku zamieszczonym w monografii Oskara Flatta. „Zdzelowane” zabudowania cegielni miejskiej zgodnie z poleceniem wydanym przez Rząd Gubernialny Warszawski sprzedano na publicznej licytacji w 1852 roku za cenę 202 rb

późniejszemu właścicielowi Hotelu Krakowskiego Augustowi Dreslerowi.

Już w 1850 roku władze miejskie rozpoczęły usilne starania o uzyskanie zezwolenia władz wyższych na wzniesienie nowej cegielni miejskiej, bowiem ta „przedstawia daleko większe jak dotychczas widoki (i) coraz więcej upowszechnia się pomiędzy mieszkańcami chęć wzniesienia budowli murowanych. Pod budowę nowego zakładu strycharskiego zaproponowano, rozciągnięty na znacznej przestrzeni, teren położony między osadą Kąty a lasem rządowym i posiadający wystarczająco duże pokłady gliny.

Projekt ten trafił do Rządu Gubernialnego Warszawskiego, który z kolei plan wraz z kosztorysem pobudowania nowej cegielni, opiewającym na sumę 2903 rb 39,5 kop. przedstawił do rozpatrzenia Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchowych. Po dokładnym zapoznaniu się z całą dokumentacją KRSWiD wydała decyzję negatywną. Okazało się otóż, że w okresie 25 lat działalności cegielni miejskiej roczny z niej dochód podniósł się w najlepszym roku do sumy zaledwie 61 rb 15 kop., zaś łączny dochód za cały ten okres wyniósł 1183 rb 27 kop. Tymczasem wydatki kasy miejskiej na wzniesienie i utrzymanie cegielni wyniosły aż 3233 rb 97 kop., tak więc musiano dotować działalność tego przedsiębiorstwa z innych dochodów miasta w wysokości ponad 2 000 rb, nie licząc zużytego do budowy bezpłatnego drewna z lasów rządowych.

Stwierdzono ponadto, iż biorąc pod uwagę koszt budowy nowej cegielni i doliczając składki opłaty kwaterunkowej i ogniowej oraz przewidywane koszty przyszłych „reparacji”, dochód kasy miejskiej z tego przedsiębiorstwa powinien wynieść rocznie nie mniej jak 200 rb. Wydzierżawienie cegielni osobie prywatnej za tą sumę wydało się Komisji Rządowej mało prawdopodobnym. Decyzję odmowną umotywowano następująco: „Nie wprowadzając bynajmniej do rachunku dochodów z samego gruntu pod cegielnię między osadą Kąty a lasem rządowym, w znacznej przestrzeni jak plan sytuacyjny przekonywa, wyznaczonego (lecz z przyczyny):

(a) że w mieście Łodzi znajduje się kilka cegielni prywatnych, które miejscowej potrzebie zaradzić mogą i

(b) że wreszcie doświadczenie przekonało, iż kasy miejskie budując własnymi funduszami cegielnie, zamiast spodziewanych korzyści straty w rezultacie odnoszą, z tych przeto powodów, Komisja Rządowa pro-

jekt wybudowania nowej cegielni w m. Łodzi uchyla, a wyrabianie cegły prywatnemu przedsiębiorstwu pozostawia, tym bowiem sposobem kasa miejska nie narażając się na niepotrzebne wydatki, korzystać będzie z opłat miejskich, jakie z nowo wystawionych domów przez prywatnych (właścicieli parcel) na rzecz miasta wnoszone będą”.

Tym sposobem idea utrzymywania tego rodzaju przedsiębiorstw miejskich, zapewne nie tylko w Łodzi ale i w innych miastach Królestwa Polskiego, upadła ostatecznie. To jeden z wielu powodów na to, że ostatecznie kończył się okres protekcyjnej polityki władz dla różnorodnych poczynań gospodarczych w Królestwie Polskim. Odtąd najważniejszym kryterium utrzymywania instytucji państwowych była ich dochodowość.

Pierwsze murowane budynki w osadach fabrycznych Nowe Miasto i Łódka poczęto wznosić wkrótce po dokonaniu ich regulacji. Już 23 lipca 1823 roku budowniczy obwodu łęczyckiego Krzysztof Wilhelm Düring podpisał „wykaz drzewa na budowę domu massiv murowanego wedle normalnego rysunku przez Jana Adamowskiego w ulicy Piotrkowskiej pod nr 198 w Nowej Osadzie Sukienniczej”. Sam Adamowski prawdopodobnie nie zrealizował swojego zamierzenia, niemniej jednak opracowany przez Düringą wzorcowy wykaz materiałów budowlanych stosowany był w latach późniejszych przy wznoszeniu podobnych domów. Dotyczył on tylko drewna wydawanego w części lub w całości nieodpłatnie z lasów rządowych, brak natomiast podobnych zestawień odnoszących się do innego rodzaju budulca (np. cegły, dachówki), którego koszt musieli pokrywać w całości sami zainteresowani.

Jeszcze mniej wiemy o zużyciu materiałów budowlanych przy wznoszeniu obiektów nietypowych, wykonywanych według jednostkowych projektów nie zaś planów znormalizowanych. Pierwszy taki budynek w Nowym Mieście rozpoczął wznosić w 1824 roku Karol Bogumił Saenger po uzyskaniu pożyczki rządowej w wysokości 6 000 złp. Była to murowana farbiarnia sukna usytuowana na placu nr 173 u zbiegu ulic Północnej i Piotrkowskiej (obecnie ul. Nowomiejskiej), ponad Stawem Staromiejskim. Tenże Saenger wybudował w 1826 roku na sąsiedniej parceli (nr 174) parterowy, kryty dachówką, murowany browar, o którego rozmiarach mówi chociażby liczba jedenastu okien umieszczonych w ścianie frontowej.

W centralnym punkcie osady — w Rynku Nowego Miasta (dziś Plac Wolności) zezwalano

na budowę wyłącznie domów murowanych i to najmniej jednopiętrowych. W 1835 roku zastanawiano się nad możliwością wyrażenia zgody na budowę w rynku domów murowanych parterowych: „Rembieliński przy erygowaniu miasta zakazał stawiać inne domy niż massiv murowane piętrowe ale zamożność pierwiastkowa mieszkańców ulegała pogorszeniu. W rynku jest ratusz, kościół ewangelicki i 3 domy murowane piętrowe, reszta placów od lat kilkunastu bez użytku szpeci, miasto odłogiem leży”. Warto tu jednak dodać, że pierwszym budynkiem w Nowym Rynku była drewniana, później osłonięta wysokim płotem, karczma Adamowskiego. Ratusz i kościół ewangelicki wzniesiono tutaj w latach 1827—1828, natomiast pierwszy murowany dom prywatny A. Bittdorffa wybudowano w 1829 roku.

W osadzie rękodzielniczej Łódka murowane domy mieszkalne zaczęto stawiać w 1825 roku. Projekt architektoniczny znormalizowanych domów tkaczy zgodnie z umowami zawartymi z naczelnikiem Sekcji Fabrycznej realizowali „entreprenerzy” z Tuszyna (Eizner, Szulc, Parzęczewski) i Łodzi (Kessler, Henke). Do końca tego roku wystawiono 20 domów, w roku następnym dalszych 10, wszystkie po wschodniej stronie ul. Piotrkowskiej między przecznicami Brzezną i Główną (nr 21—49 i 51, dziś ul. Piotrkowska 174—232). Z niewielkimi odstępstwami wszystkie posiadały wymiary: 26 łokci długości, 14 łokci szerokości i 5 łokci wysokości, kryte dachówką i mieściły wewnątrz trzy izby, jedną komorę i sień biegnącą środkiem. Budynki posiadały po 4 okna od ulicy i z tyłu oraz 2 lub 3 okna od strony południowej by zapewnić lepsze oświetlenie usytuowanym tam warsztatom. Koszt budowy 30 domów wyniósł 88 966 złp (jednego — 2 965 złp), a sprzedawano je po 3 000 złp, przy czym do 1831 roku sprzedano zaledwie cztery, pozostałe zaś odnajmowano za opłatą komornego.

Pierwsze w Łódce murowane obiekty fabryczne powstały w latach 1825—1828. Przy ulicy św. Emilii (dziś ul. 8 Marca) w 1825 roku wybudowano dwupiętrowy dom „magłowy” będący częścią rządowego przedsiębiorstwa płócienniczego. Następny budynek murowany funkcjonujący jako obiekt fabryczny wznosił w 1826 roku przy tejże ulicy Krystian Fryderyk Wendisch. Był to duży (o wymiarach 128 × 30 × 20 łokci) trzykondygnacyjny, z dwoma dodatkowymi kondygnacjami na poddaszu, zakład przędzalniczy.

Budownictwo murowane w Łodzi w pierwszej połowie XIX wieku napotykało poważne trudności i ograniczenia — przede wszystkim

materiałowe — niemniej stale się rozwijało korzystając przez wiele lat z wydatnej pomocy rządu Królestwa Polskiego i władz miejskich (pożyczki budowlane, bezpłatne lub tanie, liczone po kosztach produkcji materiały, ulgi podatkowe, uruchomienie cegielni miejskiej).

Oskar Flatt zwiedzając Łódź zanotował: „Długie, regularne, ruchliwe panorama przedstawiają oku szeregi większą częścią niskich, murowanych, jednostajnych domków, rozpoczynających się w Rynku Nowego Miasta — środkowym punkcie ruchu i biegnących długim pasmem aż do fabrycznej dzielnicy, gdzie wyniosłe gmachy stanowią ostateczne ogniwo tego łańcucha”. Jak podaje tenże autor w Łodzi w 1851 roku na ogólną liczbę 1 253 posesji było 141 domów murowanych parterowych i 48 piętrowych oraz 829 parterowych drewnianych.

Usytuowanie domów murowanych jest bardzo dobrze widoczne zarówno na wzmiankowanym wcześniej planie Lenartowskiego z 1849 roku, jak i na planie Oleszczyńskiego z 1853 roku załączonym do monografii Flatta. Na pierwszym z nich zabudowę drewnianą oznakowano kolorem czarnym, obiekty murowane kolorem czerwonym, na drugim planie zaczerpione kwadraty budynków to architektura murowana, kwadraty „puste” to architektura drewniana.

W niektórych częściach miasta powstały większe skupiska zabudowy murowanej — całkowicie „murowany” (drewnianą karczmę już wówczas zniesiono) był Rynek Starego Miasta oraz (z kilkoma wyjątkami) północny odcinek ulicy Piotrkowskiej — dziś ul. Nowomiejska. Zabudowa murowana okalała także Rynek Nowego Miasta (tu także drewnianą karczmę rozebrano z dominantami architektonicznymi w postaci ratusza miejskiego i kościoła ewangelickiego, pozostałe kamienice stanęły po zachod-

niej stronie placu. Sześć kamienic wzniesiono przy ul. Piotrkowskiej między rynkiem a ul. Południową (obecnie ulice Rewolucji 1905 r. i Próchnika). Niewiele murowanych budynków wzniesiono przy głównej arterii miasta między ul. Południową i Główną (dziś al. A. Mickiewicza i ul. Armii Czerwonej) — na 136 domów domów tylko 12 zbudowano z cegły. Kolejne zagęszczenie architektury murowanej występowało między przecznicami Główną i Boczna (dziś ul. Brzeźną) — stanęły tam wspomniane wcześniej rządowe domy dla tkaczy lnu.

Wreszcie dzielnica „fabryczna” — tu należałoby wymienić obiekty przemysłowe zakładu bielnikowego Petersa, fabryk Geyera przy ul. Piotrkowskiej i Rynku Górnym oraz Langego przy ul. Kątnej i Fesslera przy Rynku Bielnikowym. W zachodniej pierzei Rynku Fabrycznego usytuowany był murowany budynek szpitala miejskiego. Duże obiekty wzniesione z cegły znajdowały się też we wschodniej części miasta, na Księżym Młynie — były to zakłady Wendischa i Grohmana. Całkowicie zabudowy murowanej pozbawiona w połowie ubiegłego wieku była ulica Wólczańska i Dziśka (dziś ul. H. Sienkiewicza), niemal zupełnie ul. Widzewska (1 dom) i Zarzewska (dziś ul. S. Przybyszewskiego) — 5 domów. Pojedyncze obiekty stanęły jeszcze przy ulicach: Wschodniej (6), Średniej (dziś ul. M. Nowotki; 3), Zachodniej (4), Północnej (5), Brzezińskiej (dziś ul. Wojska Polskiego; 1) i Wolbromskiej (1). Szybki rozwój budownictwa murowanego w Łodzi nastąpił w drugiej połowie XIX wieku, zwłaszcza po 1872 roku, kiedy to powstało hipoteczne Towarzystwo Kredytowe m. Łodzi, a także szereg innych instytucji finansowych udzielających dogodnych kredytów.

Mirosław Jaskulski

## „Ślepy Maks” i jego ferajna

Popatrzmy na pałacyk u zbiegu ulic Nowotki i Wschodniej po jej parzystej stronie. W latach międzywojennych stał tam parterowy drewniak z równie niepozornym szynkiem. Właścicielem tego lokalu był niejaki Leibcygier, ale nikt z bywalców nie wymawiał jego nazwiska przy umawianiu się na spotkanie. „Przyjdź jutro do „Kokolobolo” — i to wystarczyło w zupełności.

Na sam dźwięk tego słowa cierpła ludzima skóra. W „Kokolobolo” schodzili się złodzieje, alfonsi, wszystkie męty i szumowiny wielkomiejskie. Stałym bywalcem tego przybytku był Jasek Przytulnik, dwumetrowy drab o niesłychanej krzepie. W sali tańca osaczyła go kiedyś szajka rudego Rubina i zakłuła nożami. Już pierwszy cios, zadany w serce, był jak wykazała ekspertyza lekarska, śmiertelny. Miał przecież Przytulnik jeszcze tyle siły, że przebiegł kilka metrów, dopadł któregoś z napastników i rozszarpał go, jak rozwścieczony odyniec atakującego go psa. Zachodził tu również nożownik Mamyluk, co to w dzieciństwie ciągle uciekał od samotnie wychowującej go matki, i Szaja Bokser, i Bękart, i Bazmak, i inni, z nazwiska znani tylko wtajemniczonym.

Tutaj w obskurnej mordowni, w oparach alkoholu, urzędowali permanentnie członkowie dintojry, czyli sądu złodziejskiego i ferowali wyroki. Odwołania od nich nie było. Chyba na tamtym świecie.

Co oznaczała nazwa szynku — nie wiem do dziś. Ciekawości mojej nie mogli, czy też nie chcieli, zaspokoić stali bywalcy „Kokolobolo”, z którymi z racji mego zawodu reporterskiego miałem kontakty.

— Co się pan nad tym zastanawia? — poklepywali mnie przyjaźnie po ramieniu. — „Kokolobolo” to „Kokolobolo” i już.

Policja oczywiście wiedziała o przeznaczeniu speluny, ale jej nie likwidowała. Oficerowie PP z komendy przy ul. Kilińskiego 152 mieli tu swoich kapusiów i korzystali z ich usług. Pełną bezkarnością cieszył się też gospodarz. Nikt go nie niepokoił, bo i właściwie za co? Czy właściciel lokalu może odpowiadać za prywatne życie swych gości?

### Horror na Pomorskiej

Niemal na samym progu „Kokolobolo”, na ówczesnej ulicy Pomorskiej (Nowotki), tuż przed ulicą Piłsudskiego (Wschodnia), rozegra-

ła się na początku lat trzydziestych scena, jakby żywcem wyjęta z horroru kryminalnego: król świata podziemnego Łodzi, „Ślepy Maks”, dwoma strzałami z rewolweru położył trupem zawziętego wroga Balbermana, po czym usiłował zbiec, ale go zatrzymano przy placu Wolności.

„Ślepy Maks”, figurujący w Wydziale Ewidencji Ludności jako Maks Bornstein, miejsce zamieszkania ul. Piotrkowska 64, pełnił funkcję prezesa „stowarzyszenia dusicieli”. Sam o sobie opowiadał, że prowadzi własne biuro prób i podań, ale to była fikcja: Maks ledwo odróżniał litery, a pisać po polsku nie potrafił. De facto zajmował się egzekwowaniem należności od opornych dłużników. Na brak klienteli nie narzekał. Wymigiwanie się od płacenia było na porządku dziennym w sferach, w których Maks działał, wśród drobnych przemysłowców, kupców, właścicieli zakładów rzemieślniczych, pośredników handlowych. Gdy ktoś nie chciał, lub nie miał za co uiścić długu pieniężnego, czy wykupić weksli, gdy wszystkie perswazyje i monity nie odnosiły skutku — wierzyciele szli do „Ślepego Maksa” i wyłuszczały swe pretensje. „Interes robi bokami, a taki łobuz śmieje się w twarz i odwraca tyłem”.

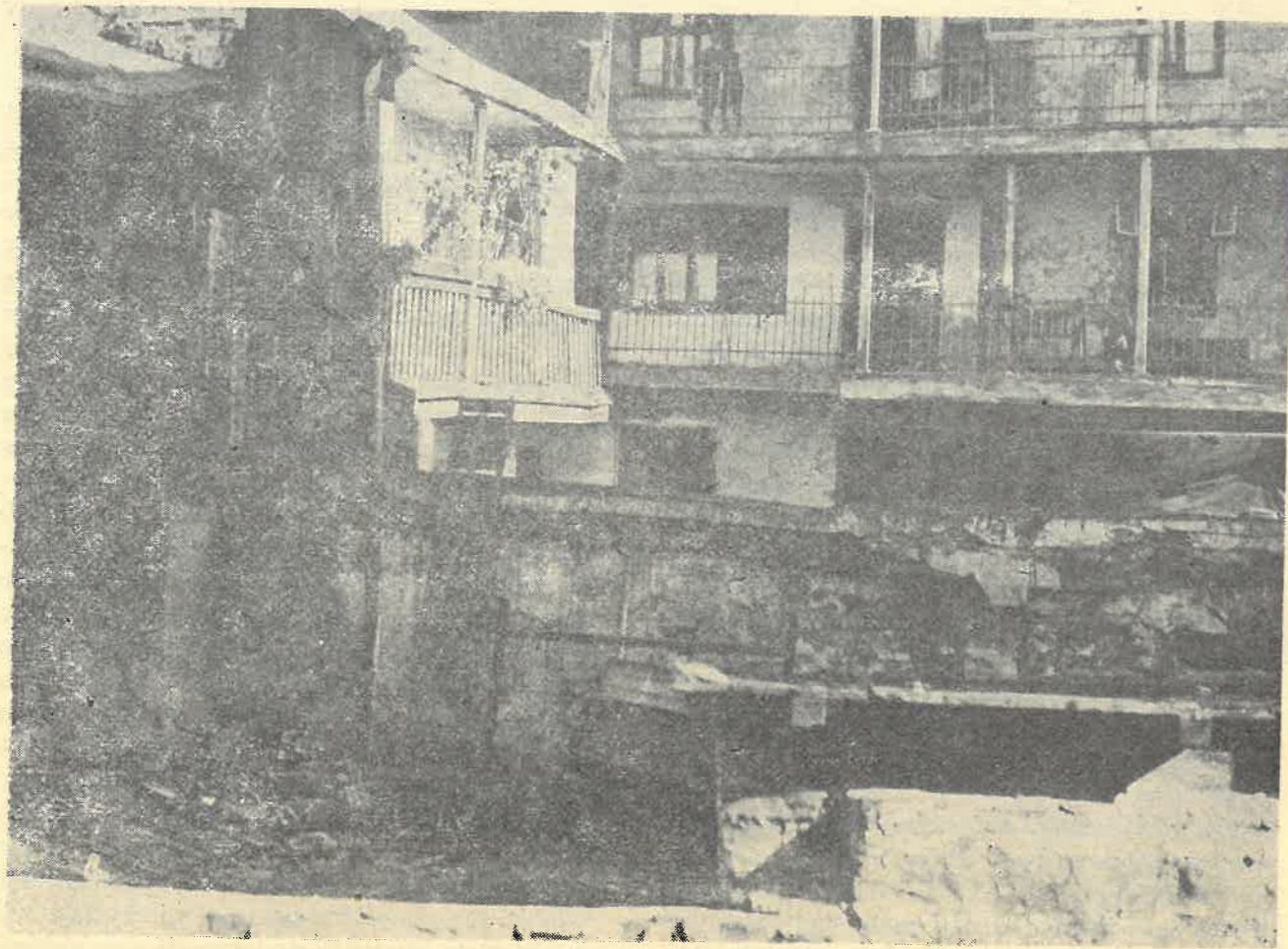
— Przemów mu pan do rozumu, panie Maks, a do rabina nie pójdziemy!

Maks nie lubił takiego stawiania sprawy.

— Powiedz pan konkretnie, co ja z tego dostanę, a do rabina możesz pan iść sam i pomodlić się.

Prezes „stowarzyszenia dusicieli” przeważnie wysyłał w teren kogoś ze swej ferajny. I tylko wtedy, gdy nie mógł nic wskórać, osobiście odwiedzał opornego dłużnika. Na przywitanie wymawiał tylko trzy słowa: jestem „Ślepy Maks”.

Skutek był niezawodny. Ludzie płacili bez szemrania, kombinowali gotówkę wszelkimi sposobami. Barczysty, o kruczych kręconych włosach, z zezem w lewym oku i martwą nad nim powieką, co zyskało mu jego przydomek, Maks odznaczał się bezwzględnością. Po nóż, tak bardzo popularny w jego środowisku argument, nie sięgał. Wszelkie opory i wątpliwości rozpraszał uderzeniem pięści, a łapę miał ciężką. Chełpił się, że jak komuś przyłoży, broda już nie urośnie. Ale chyba nie pozwalałby sobie tak, gdyby nie jego powiązania z policją. Wiadomo było, że jest konfidentem inspektora Noska i dlatego władze patrzyły przez palce na jego wybryki. Z racji swych funkcji Maks



BALUTY W OKRESIE MIĘDZYWOJENNYM

ze zbiorów MHML

miał na pieńku z osobistym wrogiem inspektora — nadkomisarzem Stanisławem Weyerem. Już po wyzwoleniu spotkał mnie kiedyś na ulicy i powiedział:

— Słyszał pan? Weyer wraca do kraju. Już ja mu pokażę!

Nie zdążył spełnić swej groźby: były nadkomisarz był sądzony za współpracę z okupantem i wkrótce potem zmarł.

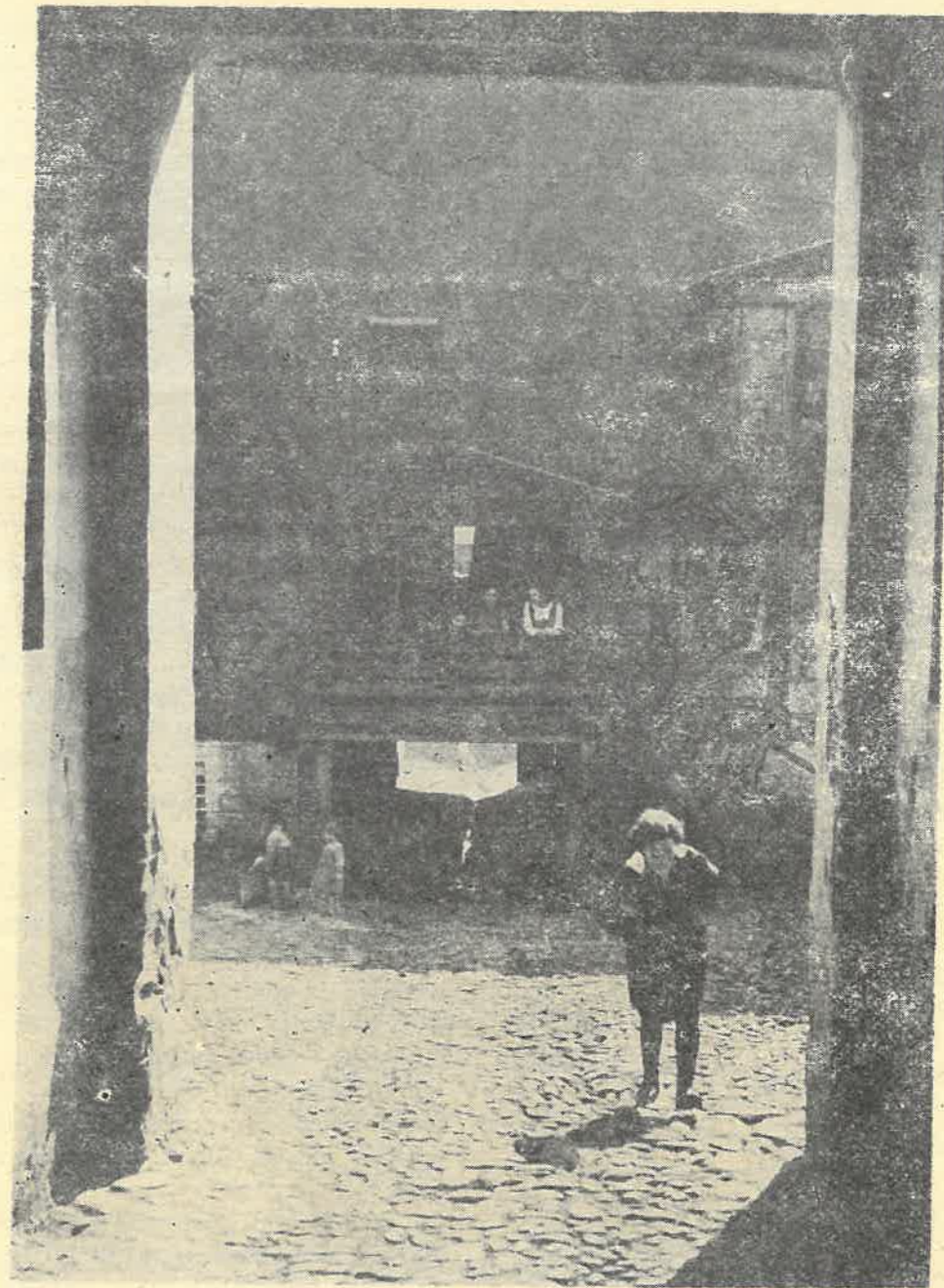
Ofiara celnych strzałów Maksa Bornsteina, Balberman stał na czele innego stowarzyszenia o chwytającej za serce nazwie: „Bratnia pomoc”. Celem tej instytucji, jak głoszono, było zbieranie datków na posagi dla niezamożonych dziewcząt żydowskich. W rzeczywistości stowarzyszenie, kierowane sprężystą ręką prezesa zajmowało się całkiem innymi sprawami. Snop światła na ich charakter rzucały źródła dochodów Balbermana: pan prezes prowadził dom schadzek, pożyczal pieniądze na lichwiarski procent i jeszcze coś tam miał na swym sumieniu.

#### Przy czarnych świecach na grobie

Sprawa sądowa przeciwko Maksowi Bornsteinowi toczyła się w kilka miesięcy po krwa-

wym zajściu na Pomorskiej. „Ślepy Maks” zeznał, że Balberman ze swym pomocnikiem Paciorkowskim zażądali od niego opodatkowania się na rzecz „Bratniej pomocy”, ale im odmówił, bowiem wiedział, że zbierane tą drogą pieniądze zasilają prywatną kieszeń prezesa. Maks zawiadomił o tym redakcję jednej z łódzkich gazet, a gdy ukazał się artykuł odsłaniający prawdziwe oblicze „Bratniej pomocy”, Balberman udał się na grób swego ojca, zapalił czarne świece i zaprzysiął Maksowi zemstę. Krytycznego dnia zetknęli się przypadkowo na rogu Pomorskiej i Piłsudskiego. Balberman zaatakował go, uderzył w twarz i sięgnął do kieszeni, ale on, Maks był szybszy. Sąd uznał, że Bornstein działał w obronie własnej i po kilkudniowej rozprawie uniewinnił go.

Nasz „Express” od pierwszej chwili opowiedział się po stronie Maksa, dając temu wyraz w enuncjacjach prasowych po zabójstwie i w trakcie procesu. Maks był najpopularniejszą postacią łódzkiego półświatka, a „Express” najlepiej rozchodził się w tych właśnie kręgach. Na popularność Maksa poza jego popisami gangsterskimi wpływały i inne przyczyny. Chętnie się drapował w szaty Rinaldo Rinaldiniego, obrońcy uciemionych. Rzucał bie-



BALUTY W OKRESIE MIĘDZYWOJENNYM

ze zbiorów MHML

dakom ochłapy zagrabionego zamożnym dobra, wprowadzał wyeksmitowanych z powrotem do mieszkań, godził poważnione stadła małżeńskie.

Po ogłoszeniu wyroku uniewinniającego wypełniająca salę sądową publika i tłumy zgromadzone przed budynkiem Temidy (Sąd Okręgowy miał wówczas swą siedzibę w budynku przy parku Poniatowskiego) zgotowały swemu „bohaterowi” owację. Tego dnia pusto było przed domami publicznymi na Solnej, Kamiennej, Wolborskiej. Wesołe panienki opuściły swe pikiety i wraz z „opiekunami” pospieszyły wysłuchać werdyktu. „Ślepego Maksa”

na ramionach przeniesiono przez miasto do miejsca jego zamieszkania, co nasz „Express” — o zgrozo! — uczcił sążnistym opisem.

Maks okazał się człowiekiem o manierach światowca. Już nazajutrz złożył kurtuazyjną wizytę w naszej redakcji i w gorących słowach podziękował za życzliwe potraktowanie go na łamach gazety.

— Ja tego panom redaktorom nigdy nie zapomnę. Jak ktoś z was będzie w potrzebie, niech przyjdzie do mnie. Wszystko się załatwi — zapewnił, ściskając ręce naczelnemu i każdemu z nas z osobna.

## „Bucik”, dolary i nóż

Jakoż okazja nadarzyła się niebawem i to ja miałem z niej skorzystać. Którejś soboty, a sobota zawsze wróżyła najtrudniejsze chwile, bo trzeba było przygotować jakąś bombę na czołówkę pierwszej strony niedzielnego „Expressu”, dopadł mnie na schodach redakcyjnych Henryk Goldberg, reporter z działu sportowego.

— Słyszał pan? Do cukierni „Bucika” wpadła policja. Nakryli całe towarzystwo przy ruclecie!

Więcej powiedzieć nie zdążył, odwołano go do zamiejscowej rozmowy telefonicznej, a ja, niewiele myśląc, skoczyłem do maszyny i na podstawie tych kilku słów spreparowałem czterospaltówkę jak się patrzy. Czego tam nie było! „Rozpalone hazardem twarze”, „chciwie wpatrzone oczy w obracającą się tarczę ruletki”, „jęki zawodu i rozpacz”, „fruujące w powietrzu dolary”. Tytuł dałem bodaj taki: „Tajne Monte-Carlo w Łodzi. Policja likwiduje jaskinię hazardu w śródmieściu”. Jedynym autentycznym szczegółem, jakim dysponowałem, był adres cukierni. Wiedziałem, że lokal „Bucika” mieści się na Piotrkowskiej 46. Poza tym — ale to dotarło do mnie już później — nic się nie zgadzało. Dwaj kupcy grali sobie w karty, a policji w ogóle nie było. Ja zaś zadowolony ze swego „sukcesu” z otrzymaną w nagrodę wejściówką na mecz piłkarski pojechałem w niedzielę na stadion.

Po meczu odwiedziłem redakcję i rozsiadłem się w fotelu redaktora Ołtaszewskiego. Chętnie czyniłem to pod nieobecność szefa. I gdy po raz nie wiedzieć który rozczytywałem się w mym artykule (wierszówkę dokładnie obliczyłem na boisku), drzwi się cicho otworzyły i na progu stanął przysadzisty, szerokokopłecy osobnik.

— Jestem „Bucik” — przedstawił się nie wyciągając ręki. — Chcę się dowiedzieć, kto to wstawił do gazety — podsunął mi pod nos mój elaborat.

„Bucika” znałem ze słyszenia. Wiedziałem, że jest również stałym bywalcem „Kokolobolo”, nie przypuszczałem jednak, że wizytę złoży i w naszej redakcji, a mnie właśnie przypadnie zaszczyt pełnienia honorów gospodarza.

— Kto to napisał ... tego ... niestety nie mogę ujawnić... Tajemnica redakcyjna... zagwarantowana przepisami...

— Ja rozumiem, przepisy to przepisy, ale pan mi zaraz powie, kto to podał do gazety! — a grymas jego twarzy nie wróżył nic dobrego.

Sytuacja była poważna. Poza woźnym, któ-

ry w dodatku gdzieś się zawieruszył, redakcja świeciła pustką. Zresztą nie odważyłbym się wzywać pomocy. Wprawdzie od przybysza dzieliło mnie masywne biurko, cóż to jednak za przeszkoda dla takiego faceta! Chętnie drapnąłbym przez dziurkę od klucza, ale takie numery wychodzą tylko w bajeczkach dla grzecznych dzieci, zresztą i tę zbawienną dziurkę mój gość zasłaniał masywnym ciałem.

— ... Każda tajemnica tak długo jest tajemnicą, póki nią nie przestaje być — perswadował filozoficznie pan „Bucik” i gdy nadal wzbraniałem się przed zdradzeniem informatora, a co dopiero autora — mój gość niedbłym ruchem wydobyl z kieszeni zwitek dolarów, a drugą ręką — nóż sprężynowy. Miętko, serdecznie, jak się tłumaczy coś upartemu dzieciakowi, powiedział:

— Co to jest? To są dolary. A co to jest? To jest taki scyzoryk. Pan możesz dostać, co pan chce, albo dolary, albo ten nożyk!

„Bucik” stał dwa metry ode mnie i nie spuszczał ze mnie wzroku, w którym już nie było złości. Uśmiech nie schodził z jego pełnej, nalanej twarzy.

Raptem otworzyły się drzwi. Do gabinetu wszedł sekretarz redakcji „Republiki”, Adam Górski. Ujrzawszy faceta z majchrem w rękę a mnie wciśniętego w fotel, z furią natarł na intruza, co odniosło piorunujący skutek. „Bucik” podwinął ogon i wyniósł się z pokoju.

Powiedziałem Górskiemu co i jak. Nic mi nie doradził. Milczkiem opuścił redakcję, na pewno zadowolony z siebie, że tak skutecznie spławił faceta. Ale co ja miałem robić? Ze strachem myślałem o powrocie do domu. Nagle olśniła mnie zbawcza myśl: „Ślepy Maks”! Sam przecież zaoferował swe usługi.

Maks wysłuchał mnie cierpliwie, wykreślił numer telefonu, coś tam poszwargotał.

— Niech pan idzie spokojnie do domu — potrząsnął mi ręką na pożegnanie. — „Bucik” nic panu nie robi.

A gdy już wychodziłem na schody, zatrzymał mnie.

— Ale niech mi pan powie, pod chajrem nie pisnę słowa Bucikowi — kto to wstawił do gazety?

### Maks i miłosne listy

Kolejnym redakcyjnym klientem „Ślepego Maksa” był nasz czołowy powieściopisarz i felietonista, Jerzy Bolski. Wybrał się on do teatru i na ulicy czyjaś uzbrojona w żyłkę ręka wycięła mu kieszeń w spodniach, wyluskując portfel z krokodylowej skórki. Portfel, jak



UL. LUTOMIERSKA  
— DOM RODZINNY DREWNOWICZÓW, 1936

ze zbiorów MHML

portfel, też szkoda, pamiątka, srebrne inicjały, parę złotych tam było, ale te listy! Pachnące lawendą, na papierze welinowym, z incjałami nadawczyni, nie mogą przecież trafić w niepowołane ręce!

— Niech pan idzie do Maksa — doradziłem. — Pomógł mi i panu pewno nie odmówi. Przecież pan też o nim pisał, a policja złodzieja nie znajdzie.

Już po paru minutach Bolski zjawił się w „biurze pisania próśb i podań”.

— Panie Maks, skradli mi portfel. Miałem tam pieniądze, mniejsza o nie. Chodzi mi o listy...

— Gdzie panu skradli ten portfel?

— Na ulicy.

— Co znaczy na ulicy? Pan wie, ile w Łodzi jest ulic?

— Na Śródmiejskiej.

— Po której stronie: po parzystej, czy nieparzystej?

— Po nieparzystej, ale jakie to ma znaczenie? — zniecierpliwiał się Bolski.

— Wszystko ma znaczenie. Czy ten portfel wyciągnęli panu przed rogiem Zachodniej, czy za rogiem? To bardzo ważne.

— Chyba za rogiem, jak wyszedłem z teatru po papierosy.

— Aha. Chwileczkę — wskazał ręką krzesło i wykreślił numer telefonu.

— Halo, to ty? To ja. Słuchaj, przynieś zaraz ten portfel z brązowej skóry. Jak? Z literami J. B. Tak... Ten pan jest u mnie.

Po upływie kilku minut na progu stanął, dysząc ze zmęczenia, młody osobnik. Spojrzawszy koso na zoperowaną przez siebie ofiarę, bez słów podał Maksowi portfel.

— Niech pan sprawdzi, póki ten miglanc tu jest, czy się wszystko zgadza.

Bolski nerwowo przejrzał przegródki. Są! Listy, na których tak mu zależało. Nie brakowało też ani jednego banknotu.

Skąd „Ślepy Maks” wiedział, do kogo zadzwonić? Jak się zorientował, kto z liczego przecież zastępu złodziei przywłaszczył sobie na Śródmiejskiej, po nieparzystej stronie za rogiem Zachodniej, brązowy portfel naszego kolegi?

Cały obszar Łodzi był zrejonizowany, każdy złodziej miał wyznaczony rewir i tylko w jego obrębie mógł kraść. Zapuszczanie się w inną dzielnicę, niż wyznaczyła specjalna instancja

złodziejska, groziło przykrymi konsekwencjami: dintojry w „Kokolobolo” wydawały w takich przypadkach wyroki jednobrzmiące. Dzięki tej właśnie rejonizacji, dzielącej miasto na sieć okręgów — o wiele gęściej rozsianych niż np. rejony ówczesnej Ubezpieczalni Społecznej — synchedrion złodziejski mógł sprawnie kontrolować czy to, co wpływa na jego „dole”, jest zgodne z faktycznymi obrotami.

Niebawem niezawodny rejestr „Ślepego Maksa” wybawił z opresji generała Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego, który zawitał samochodem do Łodzi. W tym czasie, gdy generał popijał herbatę w cukierencé na Bałutach, jego szofer wlaź pod auto, żeby przykręcić jakąś śrubkę. Skorzystał z tego miejscowy żulik i ściągnął z tylnego siedzenia piękny koc z wielbłądziej sierści. Generał wpadł w furie, polecił wezwać bodaj inspektora Noska z komendy Policji, zmył mu głowę i nakazał, żeby koc się natychmiast znalazł. Inspektor z kolei ściągnął na miejsce Maksa, a ten dziarsko się uwinął, zajrzał do swych notatek i generał wrócił do Warszawy pełen podziwu dla sprawności łódzkiej policji.

### „Uniwersytet” złodziejski

Nie tylko podział administracyjny obowiązywał brać złodziejską. Istniało jeszcze inne, surowo przestrzegane prawo: specjalizacja. Raz wybrał sobie określony rodzaj procedury, złodziej nie mógł samowolnie przerzucić się na inną „specjalność”. O tym również decydowała złodziejska starszyzna. Tak więc potokarz miał prawo kraść to, co znajdowało się w wozach konnych, doliniarz mógł operować tylko w kieszeniach, szupenfeldziarz w sklepach, klawisznik składał wizyty w mieszkaniach, a ci, co obrabiali mieszkania lub sklepy na tak zwany „skok”, nazywali się szringerowcy. Pajęczarz ściągał suszącą się bieliznę ze strychu, farmazon nabierał na szkiełka imitujące szlachetne kamienie. Specjaliści od kradzieży drobiu nazywali się kurarzami, kasy operowali pudlarze, na kolejach grasował mojszczyk, w banku koperciarz; konie, bo i na nie byli amatorzy, kradli kołociarze, a ten, co wynosił dobytek z czyjegoś mieszkania z samego rana, znany był jako gitmorgenbiter.

Ta ostatnia nazwa pochodzi z żargonu żydowsko-złodziejskiego. Zapamiętałem ich więcej dzięki starannej edukacji u „Ślepego Maksa”. A więc lejkech lub tojter to złodziej okradający pijaków w miejscach publicznych, foter — stary, wytrawny złodziej, giten husen — złodziej głupi, dyletant, waszer — kradną-

cy na kolejach przez usypianie pasażerów, a skazany na dożywocie amator cudzej własności — fajntug.

Miała też Łódź własny „uniwersytet” złodziejski z licznymi wydziałami, kształcącymi przyszłych adeptów sztuki kradzieży. Szczegół o tyle istotny, że w tym czasie nie było w mieście ani jednej wyższej uczelni akademickiej. „Uniwersytet” złodziejski miał swą siedzibę w mieszkaniu pewnego fachowca w wieku emerytalnym, który wraz z innymi specami przygotowywał narybek. Kiedy przyszły adept sztuki złodziejskiej posiadał już pewien zasób wiadomości teoretycznych, zaznajomił się z właściwościami budowy ciała ludzkiego, odruchami i nawykami bliźnich oraz szczegółami różnego rodzaju ubioru, poddawano go egzaminowi podstawowemu. Prowadzono do obwieszonych małutkami dzwoneczkami manekina i adept musiał wyciągnąć z jego kieszeni portfel tak, żeby nie zadzwonił najmniejszy nawet dzwoneczek. Dopiero po przebrnięciu przez tę próbę można się było dalej edukować. Wykładowcy cierpliwie wprowadzali słuchacza w arkana sztuki, dużą wagę przywiązując do zajęć praktycznych. Adeptci dochodzili z czasem do takiej sprawności manualnej, że mogliby im pozazdrościć wirtuozi klawiatury i smyczka, nie mówiąc już o prestidigitatorach, iluzjonistach czy innych magikach.

„Seminaria” złodziejskie odbywały się poważnie w kinach, najczęściej w kinie „Świt” na Bałutach. „Profesorowie” zawsze towarzyszyli swoim „studentom”. Zadanie polegało na wyciągnięciu siedzącemu o rząd bliżej widzowi portfela ze spodni. „Student” musiał pamiętać, że bywają ubrania nicowane i wtedy kieszenie znajdują się z drugiej strony. Szczegół bardzo istotny, bo cały wysiłek, gdyby tego nie uwzględnić, mógłby iść na marne. Egzamin odbywał się pod osłoną ciemności, w najbardziej frapujących momentach filmu. Zdarzało się, że widz wyczuwał obecność czyjejs ręki w swej kieszeni i podnosił krzyk. Zapalało się światło i na nieszczęsnego praktykanta sypały się raży. Pierwszym, kto mu ich nie szczędził, był ... sam pan „profesor”. A gdy próba wypadła dobrze, kandydat przechodził dalsze, trudniejsze etapy pracy — w tramwaju, na ulicy, w sklepie. Nowe tricki i sposoby wymyślał „dyrektor” i właściciel „uczelni” w jednej osobie.

### Spotkanie z „królem” w Krynicy

Z czasem przerzuciłem się z „kryminałków” na tematykę miejską. Moje kontakty ze „Śle-

pym Maksym” urwały się. Niekoronowanego króla łódzkiego świata podziemnego spotkałem w sierpniu 1939 roku w Krynicy Górskiej, gdzie spędziłem swój ostatni przed wybuchem wojny urlop. Snuł się po deptaku z tradycyjną szklanką i wetkniętą w nią rurką, popijając „Krynicankę” czy innego „Zubera”.

— Panie Maks? Co za spotkanie!

Odwrócił się powoli, jego kamienną, posępną twarz okraślił lekki uśmiech.

— A to pan... Może przysiadziemy gdzieś? Zapraszam pana na szmis. Na pogawędkę — dodał, widząc, że nie znam tego słowa.

Po zdawkowych pytaniach w rodzaju: kiedy pan przyjechał, na jak długo, gdzie się pan zatrzymał, król zamilkł na chwilę, po czym rozkręcił się.

— I co pan powiesz na to, co się na świecie dzieje? Niedobrze, wojna wisi w powietrzu...

— Przesadza pan, panie Maks. Zobacz pan, wszystko rozejdzie się po kościach.

— Taki wykształcony puryc, a gadasz pan jak dziecko. Pan wie, co Żydzi mówili, gdy Hitler doszedł do władzy? Phi, głupi malarz pokojowy, co on może zrobić. Nazywali go a giten husen — początkujący, zielony rzezimieszek. A ja od pierwszej chwili oceniłem go jako starego, wytrawnego bandziora. Podbija kraj za krajem, a co wyprawia z Żydami u siebie? Chyba pan słyszał o tych pogromach, o rabowaniu i niszczeniu żydowskich sklepów. U nas robi to samo!

— Przecież nikt go do Polski nie wpuści!

— To pan tak mówi. A ja panu powiadam, że on wejdzie do nas wcześniej, niż się ktokolwiek tego spodziewa. Ja widzę dla siebie i wszystkich Żydów tylko jedno wyjście: waiwrach. Tego słowa też pan nie zna? Waiwrach to ucieczka. Trzeba jak najprędzej brać nogi za pas, póki jeszcze nie jest za późno. Pan masz bogatego teścia. Namów go pan, żeby też uciekał z całą rodziną. Tutaj będzie tojwo wywojł, zagłada, koniec świata, obym nie dożył tej chwili.

— A dokąd pan zamierza uciekać?

— Do Rosji, do sowietów. Tam będę bezpieczny.

Próbowałem odwieść króla od czarnych przewidywań. Moje perswazje, nie poparte przekonującymi argumentami, wywoływały coraz energiczniejszy sprzeciw.

— Jestem prosty człowiek, ale mam swój rozum. Pan wie, dlaczego nasi Żydzi nie chcą uciekać? Biedni nie mają z czym, a bogaci nie chcą zostawić swych majątkości, fabryk, sklepów. Ja ich wszystkich dobrze znam. Wiem, że ludzie źle o mnie mówią, ale co ja im złego zrobiłem? Przeciwnie — pomagałem, jak kto

był w potrzebie. A że przy inkasowaniu należności od nieuczciwych dłużników część zatrzymywałem dla siebie, to przecież za fatygę mi się należało, no nie? Nikomu nie wyrządziłem krzywdy...

— A Balberman? — wyrwało mi się.

— Pan mówi Balberman. Pan wie kto to był? Tuczył się krzywdą innych, maciornik, dziewczyny wypuszczał na róg. Zastrzeliłem go w obronie własnej, on mnie pierwszy zaatakował, nie pamięta pan?

— Podobno napisał pan w więzieniu wiersze?

— Jakie tam wiersze, coś nagryzmołem do rymu. Jak pan wróci do Łodzi i jeszcze mnie zastanie, pokażę to panu.

Chciałem rozładować przykrą atmosferę. Zaproponowałem królowi drugie śniadanie w pobliskiej knajpce. Zamówił kanapki i duże piwo.

— Panie Maks — roześmiałem się. — Co pan robi? Przecież to szynka, nie koszerne, jak Żyd może jeść chazer?

Mrugnął figlarnie zdrowym okiem.

— Chazer nie chazer, grunt, żeby się człowiek nażer! Może to już ostatni raz przed długim postem? No, na mnie czas — ścisnął mi dłoń aż do bólu.

— Pamiętaj pan co panu radziłem...

### Dwie księgi „Ślepego Maksa”

Po wyzwoleniu „Ślepy Maks” złożył mi wizytę w redakcji wznowionego „Expressu” na Piotrkowskiej 102a. Opowiedział jak cało wyniósł głowę z zawieruchy wojennej. Tak jak zapowiadał w Krynicy, przedostał się do Związku Radzieckiego, trochę pracował, trochę siedział, a teraz ma warsztat tkacki, robi na lon i jakoś wiąże koniec z końcem.

— Może napisze pan coś o mnie do gazety? — zaproponował.

„Ślepy Maks” szukał reklamy. Chciał, żeby jego nazwisko jak przed wojną znalazło się w gazecie. Odmówiłem kategorycznie. Eks król bąknął coś o niezbadanych wyrokach losu.

— Panie Maks, niech pan zrozumie, to nie tamte czasy. Redakcja to nie „Kokolobolo” i niech pan mi nie grozi!

Przycichł. Ale nie dał za wygraną. Podsunął mi pod nos wielgachną księgą pamiątkową z osobistymi dla niego podziękowaniami od Józefa Cyrankiewicza za wpłaconą na fundusz partyjny PPS kwotę. Maks miał jeszcze jedną taką księgę z podziękowaniami bodaj od Władysława Gomułki za zasilenie kasy partyjnej PPR. Księgi te pomagały mu w załatwianiu

życiowych spraw. W zależności od tego, kto kierował tą czy inną placówką — członek PPS czy PPR — obrotny Maks pokazywał to jedną, to drugą księgę.

Widząc, że i ta wypróbowana metoda nie zrobiła na mnie wrażenia (byłem bezpartyjny) skierował się ku wyjściu. Przy drzwiach, jak-

P.S. Pracę dziennikarską w łódzkim „Expressie” rozpocząłem w r. 1931, a nie jak mylnie wydrukowano w poprzednim numerze „Wędrownika” w r. 1921. „Express” zaczął wychodzić dopiero w r. 1923, co zresztą wynika z moich wspomnień.

## „Moje tajne nauczanie”

— Obrazek z własnych przeżyć —

Do 1 grudnia 1939 roku pracowałam w dwuklasówce tj. w szkole o dwóch nauczycielach w Goślubiu pow. Łęczyca. Tego dnia oznajmiono nam, że szkoła została zamknięta, a my mamy się z budynku szkolnego, gdzie były też nasze mieszkania, — po prostu — „wynosić”. Udałam się więc do mego rodzinnego domu, do Pabianic. Zarejestrowałam się w Urzędzie Pracy (Arbeitsamt), jako robotnica rolna u mego ojca, który miał w Pabianicach kwatek ziemi. Nie wychodziłam prawie na miasto, chyba tylko z konieczności do pobliskiego sklepu, żeby kupić jakieś artykuły spożywcze. W Pabianicach od pierwszych dni okupacji panował terror — były ciągłe aresztowania, deportacje. Szkoły polskie były zamknięte. Jakoś przed Bożym Narodzeniem 1940 roku, idąc ze sklepu, zauważyłam, że jestem śledzona przez niedużą — może 12—13 letnią dziewczynkę. Zauważyłam, że to dziewczę idzie za mną aż do furtki bramy, gdzie mieszkałam. Powtarzało się to kilka razy. Nie śmiałam dość do niej, zapytać, bo i obawiałam się czegoś na siebie sprowokować. W Pabianicach mieszkało dość dużo niemieckich rodzin, więc należało być ostrożnym. Nie wiedziałam też, co mam o tym sądzić. Aż tu w przeddzień wigilii Bożego Narodzenia, prawie o samym zmierzchu, stanęła we drzwiach ta właśnie dziewczynka — „Dobry wieczór! Proszę pani!

by od niechcenia postawił kilka krzeseł jedno na drugim i bez wysiłku podniósł tę piramidę, nie zginając ręki w łokciu.

Po jego wyjściu spróbowałem tej sztuczki. Jedno krzesło podniosłem. I to z wysiłkiem.

ADAM OCHOCKI

Przyszłam panią prosić, żeby pani mnie uczyła! Jestem Basia Wagner. My jesteśmy wypędzeni z Poznańskiego, mieszkamy na ul. Świętokrzyskiej za piekarnią”. — A skąd ty wiesz, że ja mogę cię czegoś nauczyć? „Ja wiem, że pani jest panią nauczycielką” — Skąd wiesz, że jestem nauczycielką? — „Ja wiem!” Byłam zaskoczona, nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć, a jednocześnie nie sądziłam, że to była prowokacja. — Moje dziecko! — odpowiem ci na to za parę dni. Tymczasem drugiego dnia po Świętach, wychodząc z piekarni, przymówiła do mnie, wychodząc za mną kobieta przystojna, schludnie ubrana. „Przepraszam! Jestem Wagnerowa. Moja Basia rozmawiała z panią w sprawie nauki. Oprócz niej mam młodszego Jacka i starszą Emilkę. Dzieci nie uczą się — zbijają baki!... Wiem od ludzi, że pani brat był w Pabianicach kierownikiem szkoły i ma pani brata nauczyciela oraz dwie siostry nauczycielki. Wiem dobrze, że pani jest z dobrej, polskiej rodziny. Bardzo pragnę, żeby dzieci chociaż trochę uczyły się. Jesteśmy uciekinierami z Poznańskiego. Mój mąż jest na razie robotnikiem. Jest nam ciężko, ale ... te dzieci! ... Miała łzy w oczach. Zapewniam dyskrecję!” Obawy przysły! Dobrze, proszę pani, to już od jutra zaczynamy. I tak się zaczęło, a po paru dniach zgłosiły się dwie Janeczki do poziomu Basi, Broniek Vargas do pary z Jackiem oraz Anka

do poziomu Emilki. Nauka odbywała się u mnie w domu na trzy zmiany tj. od godz. 8 do godz. 17. Dzieci nie chciały mieć ferii ani wakacji. były bardzo pilne, rozważne, czujne na niebezpieczeństwo, ostrożne w rozmowie. Same podpowiedziały mi, że nie będą nosiły książek, zeszytów. Pisały i odrabiały lekcje na luźnych kartkach, które nosiły w zanadrzu. Skompletowałam książki dla siebie i dla dzieci. Swoje przechowywałam w obórcie pod skrzynką z otrębami. Dzieci miały swoje egzemplarze w domu. A czego uczyły się?

W pierwszym rzędzie języka polskiego, historii, matematyki, trochę geografii, biologii. Na chemię i fizykę nie było czasu i możliwości. Nauczanie było werbalne, czasem tylko ilustrowane prymitywnym rysunkiem, wykresem. Na lekcje przychodziły pojedynczo. Wychodziły z lekcji bardzo uważnie — pojedynczo, czasem udając, że grają w „berka”. Przy zachowaniu ostrożności uczyliśmy się cały 1941 rok, chociaż terror wzrastał się, słyhać było o częstych aresztowaniach i wywożeniach do obozów koncentracyjnych. Prosiłam nieraz moich rodziców, by podczas moich zajęć wyglądali przez okno na bramę lub mieli przy niej pieczę. W pierwszych dniach marca 1942 roku koło godz. 11 stała na straży przy bramie moja matka. Jak to starsza kobiecinka zagałała się przy furtce z sąsiedką, a tu „żółtek” (funkcjonariusz Gestapo) z cywilem w długim letnim płaszczu i szarym kapelusikiem z piórkami, wchodzi w podwórce. Pierwsze zauważyły to dzieci. Skoczyły, jednym ruchem zagarnęły kartki i parę książek ze stołu. Gdzie tu się schować? Szczęściem dwaj hitlerowcy oglądali chwilę obejście podwórca. — Gdzie się schować? ... Do piwnicy! Szybko weszły do wnętrza otworem w podłodze. Z ojcem postawiłam na zamkniętym otworze stół, przy którym usiadł. Dwaj gestapowcy przejrżeli mieszkanie, otworzyli szafę, kredens, zaglądali do szuflad. Coś do siebie niezrozumiale „szwargotali” i wreszcie zapytali po polsku: „Czym się pani zajmuje?” — Jestem pracownikiem rolnym. — „Tak?... Jest pani chyba nauczycielką — prawda?” Raptem cywil zauważył, że podłoga nad piwnicą jest nierówno zasunięta. Szarpnął stół, wyrzucił go, otworzył piwnicę. Zamarliśmy z przerażenia. Krew uciekła mi z głowy, a nogi zachwiały się. „Żółtek”

odpiął od munduru elektryczną lampkę, zapalił ją i zajrzał do wnętrza piwnicy. Na jej dnie było trochę ziemniaków — dzieci nie było! Odetchnęliśmy! Ale?... gdzie się podziały? Oto było tam małe okienko — wywietrznik, wychodzący na dobrze ogrodzoną, niezabudowaną posesję sąsiada Franciszka Zajdla. Jak się te troje dzieci wydostało przez tak wąskie okienko? — nie wiem! Zauważyłam tylko wiszącą, urwaną falbanę sukienki Basi. Zaczęła o gwóźdź przy okienku i urwała ją. Po tym wydarzeniu prowadziłam jednak nauczanie. W tydzień po Wielkiej Nocy 1942 roku dzieci Wagnerów nie przyszły się uczyć. Co się stało? ... Dowiedziałam się, że Wagnerowie „ulotnili się cichaczem” z Pabianic. Podobno w ostatnich dniach odwiedzało ich dom nocą Gestapo. Dowiedziałam się też, że cała rodzina miała przybrane nazwiska. Dzielne dzieci! Nie zdradziły się tym nawet przed „swoją panią”, której okazywały tyle sympatii i przywiązania. One to w dzień wigilijny 1941 roku przyniosły mi na gwiazdkę ręcznie wykonane korale, rękawiczki o jednym palcu i choinkę misternie zrobioną z papieru. A... jak życzyły mi zdrowia?... Jak przez łzy mówiły: „Żeby była Polska! Żeby skończyła się wojna!” Pierwszego września 1942 roku zostałam aresztowana. Pytano mnie czym się zajmuję? Dlaczego uczę? Gdzie znajduje się mój brat Albin z żoną? Po wysiedleniu ich z „Polesia” w Łodzi, zostali osadzeni z synkiem — niemowlaczkiem w przejściowym obozie przy ul. Łąkowej, w fabryce. Warunki bytowe w obozie były straszne. Dziecko zmarło. Otrzymali przepustkę, by dziecię pochować. Nie wrócili po pogrzebie do obozu, więc byli poszukiwani. Czwartego dnia aresztu wyprowadzili nas Niemcy do sprzątnięcia ulicy koło parku. Niebawem przejeżdżała duża kolumna wojskowych samochodów. Wtedy — jeden skok do parku i uciekłam! Nie pokazałam się w domu. Tego samego dnia przekroczyłam granicę Gubernatorstwa. Bez ubrania i środków do życia znalazłam się w Rawie Mazowieckiej. Z pomocą siostry zaczęłam pracować od 15 września 1942 roku jako nauczycielka w Babsku. Niezależnie od tego prowadziłam do 1 stycznia 1945 roku tajne nauczanie.

WANDA FRANCISZKA DRYL

## Oznaka na czapkę policjanta żydowskiego w getcie

Ktoś mógłby zapytać, po co dziś ta informacja co policja żydowska nosiła na swych czapkach w getcie? Komu to teraz potrzebne? Otóż wyjaśnienie takiej niby drobnostki to mała cegiełka, z której potem buduje się gmach o nazwie — HISTORIA.

A teraz do rzeczy.

W zbiorach Gabinetu Numizmatycznego Muzeum Historii Miasta Łodzi (ul. Ogrodowa 15) znajduje się bardzo ciekawa, rzadka i dotąd nie znana w polskiej literaturze — żydowska oznaka. A oto jej opis (por. fot.):

Okrągła, o średnicy 28,2 mm, lekko wypukła, na obrzeżu posiada gładki wypukły pierścień grubości 2 mm, zaś w środku gwiazdę Dawida z wypukłych potrójnych pasów o grubości 1,5 mm. W środku oznaki znajdują się wypukłe, gładkie, drukowane litery, składające się na skrót: „JOL” z tym, że litery pierwsza i ostatnia: „J” i „L” są mniejsze (5 mm) a litera „O” większa (8 mm). Tło oznaki, wewnątrz pierścienia składa się z maleńkich kropek (jest moletowane), a tylko jedna większa kropka znajduje się wewnątrz litery „O”. Oznaka jest jednostronna, sztancowana w srebrnej (?) blaszce (na odwrocie widać ślady tłoczenia), posiada przylutowany (lecz cyną a nie srebrnym lutem) srebrny pasek tzw. łapki lub wąsy (zamiast zakrętki czy też agrafki) do przypinania tej oznaki.

Jest to tzw. oznaka anonimowa, gdyż wytłoczony na niej skrót nic nam nie mówi. Co prawda sprzedawca sugerował, że oznaka ta była noszona przez policjantów w getcie łódzkim, jednak nie miał na to żadnych dowodów.

Bo trzeba wiedzieć, że numizmatyka łódzkiego getta po dzień dzisiejszy nie została opracowana w sposób kompleksowy i naukowy. Jest do zbadania wiele białych plam. Podobnie przedstawia się historia rozmaitych medali, odznak, znaczków metalowych i wyrobów grauersko-jubilerskich, które były bite i wyrabiane w łódzkim getcie przy różnych okazjach (dopiero teraz niżej podpisany zajął się inwentaryzacją tych przedmiotów — prosząc przy okazji właścicieli o pomoc i kontakt). Ich rozszyfrowanie da możliwość poznania bliżej problematyki życia tego miasta — państwa i zarazem obozu koncentracyjnego.

Pierwszą wiadomość o tej oznace podałem w kolekcjonerskiej rubryce „Bazar Zbieraczy”, którą prowadzę w łódzkiej popołudniówce „Express Ilustrowany”. Dała ona efekt w postaci zgłoszenia się tylko jednego czytelnika, który również przypisywał ją żydowskiej policji w Łodzi, lecz dowodów na to też nie miał żadnych.

Co do rozszyfrowania skrótu tej oznaki: „JOL”, można by było (gdybyśmy mieli dowód, że jest to oznaka z getta łódzkiego) zaryzykować hipotezę, że mógłby brzmieć:

„JOL” = JÜDISCHER ORDNUNGSDIENST LITZMANNSTADT (Żydowska Służba Porządkowa w Łodzi).

A teraz w jaki sposób można by tę hipotezę podbudować? Otóż wiadomo z pewnością, że na rozkaz władz hitlerowskich w łódzkim getcie (i nie tylko) działała Straż Porządkowa (SP) lub inaczej nazywana Służba Porządkowa (Ordnungsdienst — OD), czy też jeszcze inaczej policja względnie milicja żydowska. Była ona nieuzbrojona, miała jednak do dyspozycji pałki gumowe, którymi nieźle władała. Nie miała umundurowania, posiadała tylko dla odróżnienia specjalne czapki z pamaranżowym otokiem, opaski na lewej ręce i owalne plakietki z numerami przyszyte do klap czy też kieszonek marynarek. Otóż wydaje mi się, że do pełnego opisu żydowskiego milicjanta coś tu brakuje. Miał przecież czapkę, służbową czapkę, na której powinno być jakieś godło, znak, symbol, litera, czy też numer, który odróżniałby „władzę” od innych i stanowił całość z posiadaną opaską i numerem. Posiadam fotografię żydowskiego milicjanta z getta łódzkiego, z opaską na lewej ręce, z charakterystyczną czapką na głowie, na której to czapce widać jakąś oznakę, ale jaką nie można odróżnić. I tu właśnie jak najbardziej pasowałaby opisywana oznaka z gwiazdą i skrótem: „JOL”, gdzie litera „O” — Ordnungsdienst (Służba Porządkowa) jest największa i najbardziej wypukłona, wprost dominująca. Jako nikły dowód tego rozumowania służy przylutowany na czapce pasek (łapki), którego ostre końce świadczą, że były wbijane w jakiś materiał i zaginane. Z doświadczenia zaś wiemy, że ten sposób przypinania przeważnie stosujemy przy czapkach.



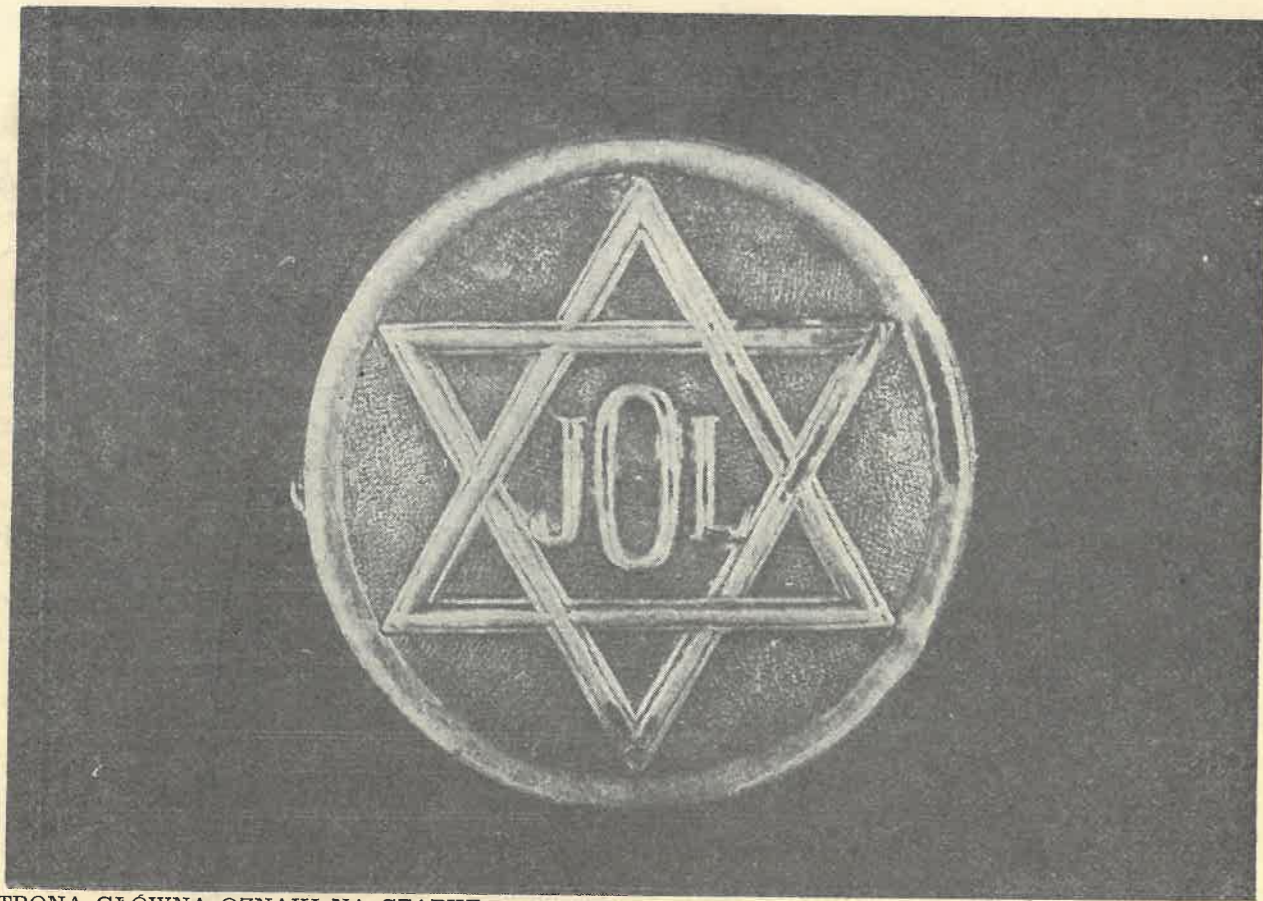
POLICJANT ŻYDOWSKI Z GETTA ŁÓDZKIEGO

repr. B. Kaczyńska

Cały czas jednak musimy wziąć pod uwagę to, że nie mamy żadnego dowodu na to, że omawiana oznaka pochodzi z getta łódzkiego. Jeżeli moje rozumowanie co do skrótu jest słuszne to ostatnia litera „L” oznaczająca miejscowość na niej nie musi być koniecznie Łódź (Litzmannstadt), bowiem getta podobne były też i w innych dużych miastach zaczynających się na tę literę jak np: Lwów (Lemberg), Lublin (Lubliner) i inne.

W końcowej fazie moich poszukiwań udało mi się jednak odnaleźć wiadomość, która w jakiś sposób podbudowuje łódzką hipotezę pochodzenia oznaki. Otóż z dużej, specjalistycznej biblioteki nieżyjącego już dziś znanego łódzkiego numizmatyka — mgr Anatola Gu-

pieńca, wypożyczyłem interesującą, rzadką, zagraniczną książkę<sup>1)</sup>, w której autor publikuje po raz pierwszy wzmiankę i pokazuje rysunek publikowanej w tym artykule oznaki. Co prawda daje on cały szereg błędnych interpretacji i w ogóle nie kojarzy ją z czapką, ale najważniejsze, że odnosi ją do Łodzi. Uwagi tego amerykańskiego numizmatyka żydowskiego pochodzenia i stąd bardzo interesującego się numizmatyką gettowską (choć nie wolne od błędów) są bardzo cenne i w jakiś sposób uzupełniają moją dzisiejszą informację o tej naprawdę rzadkiej i cennej oznace, do tej pory nieznannej szerszemu społeczeństwu. Otóż autor ten przedstawia omawianą oznakę w mosiądzu(?), mającą po dwie małe dziureczki po bo-



STRONA GŁÓWNA OZNAKI NA CZAPKĘ  
POLICJANTA ŻYDOWSKIEGO W GETTCIE LWOWSKIM

fot. B. Kaczyńska

kach, jak pisze — do przyszycia do munduru (choć znana mu jest wersja z łapkami), jako bardzo rzadką, z napisem nie „JOL” lecz „OJL” a to z tego powodu, że litera „O” jako największa w/g niego powinna być na pierwszym miejscu i czyta to tak: Oberführer Juden Litzmannstadt (Szef żydowskiego obozu koncentracyjnego w Łodzi). Oczywiście to absurd gdyż w/g mnie większa litera „O” (jak już pisałem) miała preferować wyraz „ORDNUNGSDIENST” (Służba Porządkowa) jako ważniejszy od wyrazów: żydowska czy też nazwy miejscowości.

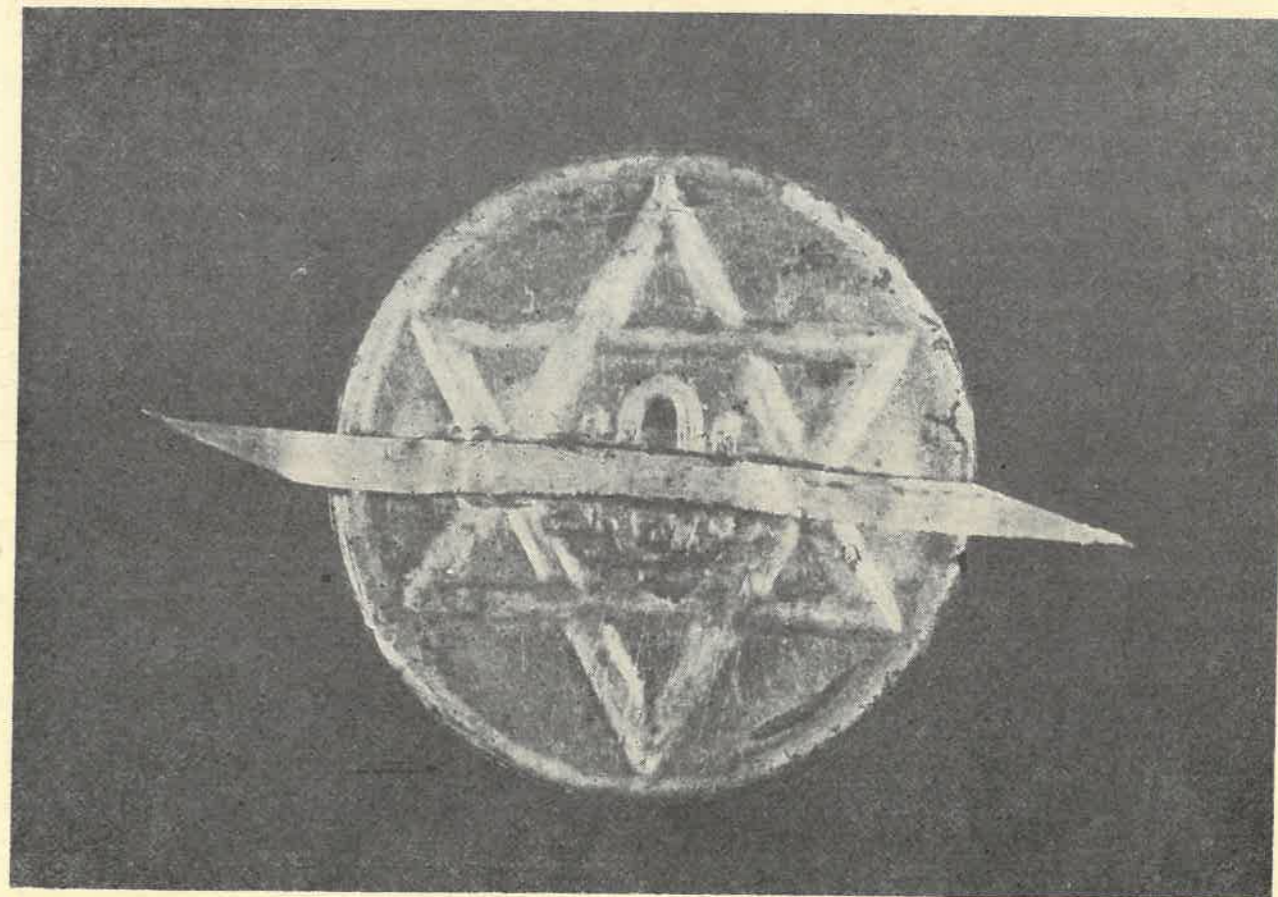
I chociaż amerykański autor zupełnie wyraźnie przypisał tę oznakę do Łodzi (być może mając dodatkowy dowód na to) muszę przyznać, że niepokoiła mnie przez cały czas jedna rzecz. Otóż wertując kilkakrotnie „Kronikę Getta Łódzkiego”<sup>2)</sup>, czytając i przeglądając książki, pamiętniki, artykuły i dokumenty o getcie łódzkim — nigdy i w żadnym przypadku nie spotkałem się ze skrótem „JOL”. Były nazwy: Służba Porządkowa (SP), w jęz. niem. Ordnungsdienst (OD), policja, milicja, straż porządkowa (jak już podawałem wyżej), ale nigdy nie natrafiłem na skrót „JOL”.

Mając to na uwadze zwróciłem swoje poszukiwania w innym kierunku, badając litera-

ture przedmiotu z lat okupacji mego rodzinnego miasta — Lwowa. Co prawda sam mieszkałem koło getta lwowskiego, nie raz przeganiała mnie stamtąd milicja żydowska gdy szedłem z żywnością do moich kolegów, ale co mieli wówczas żydowscy policjanci na czapkach jak mi Bóg miły — nie pamiętam. Kto to wtedy zwracał na takie rzeczy uwagę?

Po przestudiowaniu którejs tam z rzędu książki natrafiłem wreszcie na ślad. W pracy Juliana Schulmeistera<sup>3)</sup> znalazłem zdanie, w którym był skrót „JOL”. Idąc dalej tym śladem udało mi się natrafić w dwutygodniku „Nasze Słowo” Organie Zjednoczonej Żydowskiej Partii Robotniczej „Poalej-Sjon”<sup>4)</sup> na artykuł Tadeusza Zadereckiego pt. „Judenrat rządzi... z dziejów okupacji we Lwowie”, z którego dowiedziałem się, że we Lwowie powstała Żydowska Służba Porządkowa — „Jüdischer Ordnungsdienst Lemberg”, w skrócie J.O.L., licząca początkowo 500 a potem 750 ludzi. Pozostawała ona pod komendą kpt. Borucha Rojzena, a jego zastępcami byli: kpt. Rosenman i kpt. Narzisenfeld. Policja ta miała czapki mundurowe z emblematem milicji żydowskiej i pałki gumowe.

A więc nasze poszukiwania dobiegały końca, udowodniliśmy bowiem, że oznaka na czapkę



STRONA ODWROTNA OZNAKI NA CZAPKĘ  
POLICJANTA ŻYDOWSKIEGO W GETTCIE LWOWSKIM

fot. B. Kaczyńska

ze skrótem „JOL” żydowskiego policjanta (znajdująca się w zbiorach MHML) — pochodzi z getta lwowskiego. Nasze pismo „Wędrownik” jako pierwsze podaje tę wiadomość, prostując przy okazji błędną interpretację skrótu przez amerykańskiego numizmatyka i falerystę — A. R. Slabaugh.

A co nosili ostatecznie na swych czapkach policjanci żydowcy w getcie łódzkim? Otóż wyjaśnienie tej sprawy też kosztowało mnie немало wysiłku i poszukiwań. W żadnej literaturze sprawa ta nie była opisywana, fotografie pokazywały czapkę policjanta żydowskiego z niewyraźną gwiazdą Dawida, ale co było na niej nie wiadomo?

Dopiero moja wizyta w Muzeum Żydowskiego Instytutu Historycznego w Polsce w Warszawie — wyjaśniła tę sprawę. Dzięki pomocy miłych pań z kier. Muzeum ŻIH kustoszem Magdaleną Sieramską na czele, dotarłem do oryginalnych, zachowanych czapek policji żydowskiej w getcie łódzkim, na których znajdowały się metalowe, zwykłe gwiazdy Dawida, bez żadnych napisów i ażurów, o śred. ok. 25 mm, wykonane z białej (jasnej) blachy i przypięte łapkami (wąsami) do materiału czapki. Podobno pod tymi gwiazdami były też naszymi

te, lub doczepione oznaki z materiału lub metalu ukazujące stopnie służbowe.

Udało mi się też po długich poszukiwaniach odnaleźć wreszcie taką fotografię policjanta żydowskiego z getta łódzkiego, u którego na czapce można zidentyfikować jaką oznakę nosili (por. fot.).

Istniało też w getcie łódzkim przy ul. Czarnieckiego — Centralne Więzienie (Zentral Gefängnis), liczące 60—80 osób załogi, którego komendantem był Salomon Herzberg (równocześnie komisarz policji na Marysinie i kierownik Adm. Porządkowy Marysina II) — czołowy przedstawiciel gettowej administracji. On i jego ludzie nosili granatowe czapki policyjne z żółtymi otokami pomiędzy zielonymi paskami, a na czapkach gwiazdy Dawida z założonymi dwoma, artystycznie wykonanymi literkami z żółtego metalu: ZG (Zentral Gefängnisses). Oprócz tego pod gwiazdą Dawida nosili metalowe odznaki ze stopniami.

Warto podkreślić, że „Pan Marysina” komendant więzienia Salomon Herzberg miał specjalną czapkę, ozdobioną bogatym złotym szamerowaniem, ze złotą oznaką, pod którą była też druga złota oznaka pokazująca jego stopień — komendanta: ażurowa gwiazda Da-

wida w kole, na którą była nałożona mała gwiazda we wieńcu.

Na zakończenie tej historii warto dopowiedzieć, że eksponowana ta osoba, nie znająca ciężkiej, fizycznej pracy ani też głodu jak setki tysięcy jego rodaków, popełniła ciężkie nadużycia władzy, malwersacje oraz inne przestępstwa i dlatego została w marcu 1942 r. aresztowana. Podczas rewizji znaleziono podobno 20 kg złota, 500.000 mk w niemieckich banknotach, futra, ubrania, bieliznę, dużo żywności, w tym nawet skrzynkę pomarańcz, alkohole i moc innych jeszcze rzeczy. Po śledztwie został deportowany z getta — co równało się karze śmierci.

I to wszystko działo się w getcie łódzkim akurat w tym czasie kiedy ludzie ginęli z głodu, chorób i wyczerpania.

Niezbadane są wyroki Boże.

## Harem w Grabkach Dużych

Taką nazwę nosi niewielki pałac stojący przy szosie Chmielnik — Szydłów na południowej Kielecczyźnie. Dziwny to pałac — ma niespotykaną w Polsce bryłę zwaną z włoska „molino da vento” czyli po polsku „wiatrak”. Jego centralną część tworzy ośmioboczna sala zajmująca swoją wysokością parter i pierwsze piętro. Łączą się z nią cztery parterowe pomieszczenia mieszkalne. Na planie nie przypomina to jednak krzyża ale właśnie wiatrak. Oddzielnie stoją dwie niewysokie wieże określone przez historyków sztuki jako pawilony. Całość otoczona była niegdyś murem z basztami, z których do dziś przetrwała tylko jedna. Wszystko razem jest pięknym przykładem architektury późnego baroku.

Trudno dziś ocenić w jakiej mierze pomysł tego dziwnego pałacu był dziełem fundatora a jakim architekta. Fundatorem był Stanisław Rupniewski — kasztelan małogoski i starosta szydłowiecki, ówczesny właściciel Grabek Dużych. Tu zaś zaczyna się legenda. Ponieważ kasztelan Rupniewski przez długi czas przebywał w Turcji, gdzie miał przejść na islam, to po powrocie zbudował sobie pałac z czterema sypialniami aby w nich pomieścić wszyst-

### Przypisy:

- 1) Arlie R. Slabaugh — „Prisoner of War Monies and Medals”, Chicago 1965, str. 68.
- 2) Kronika Getta Łódzkiego. Wyd. Łódzkie 1965.
- 3) Julian Schulmeister — „Piaski płoną”. W-wa 1988, s. 68.
- 4) Tadeusz Zadarecki — „Judenrat rządzi... Z dziejów okupacji hitlerowskiej we Lwowie (VI). Nasze Słowo — Organ Zjednoczonej Żydowskiej Partii Robotniczej „Poalej-Sjon”, Dwutygodnik Nr 16 —17 (47—48), 15.XI — 15.XII. 1948 r. W-wa — Łódź, s. 13.

sierpień 1990 rok

STANISŁAW BULKIEWICZ

kie swoje cztery żony. Stąd też nazwa budynku — harem a boczne pawilony miejscowa ludność pieśczośliwie nazywa eunuchami.

Pałac powstał w połowie XVIII w. — większość źródeł podaje rok 1742 jako datę ukończenia budowy, ale spotkałem się też ze stwierdzeniem, że był to początek budowy a pałac ukończono dopiero w 1750 r. Autorem projektu był Franciszek Placidi — tak podaje np. Adam Miłobędzki w „Zarysie dziejów architektury w Polsce” czy Janusz Kęmbowski w „Dziejach sztuki polskiej”. Ciekawa jednak rzecz — Stanisław Łoza w swoim monumentalnym słowniku „Architekci i budowniczowie w Polsce” (Warszawa 1954 r.) wymieniając wszystkie możliwe prace Placidiego — i te powstałe w Polsce i te w Dreźnie, datowane i niedatowane, zrealizowane i niezrealizowane — pomija zupełnie Grabki. Sprawa wymaga dokładniejszego sprawdzenia, co jednak jak przypuszczam zrobili już profesorowie Adam Miłobędzki czy np. Jerzy Łoziński i należy im wierzyć zakładając, że Stanisław Łoza wymieniając gigantyczną listę prac Placidiego mógł jedną pozycję przeoczyć.



GRABKI DUŻE

rys. R. Szałas

Tu warto zacytować fragment z książki Łozy dotyczący datowanych prac Placidiego: „1757 — projekt pomników grobowych królów: Michała Korybut-Wisniowieckiego i Jana III w katedrze wawelskiej (wykonane w 1760); 1758—1759 — kaplica Załuskiego w katedrze wawelskiej, łącznie z portalem; 1759 — lavabo w zakrystii kościoła Benedyktynów w Tyńcu; 1759—1761 — fasada kościoła Pijarów w Krakowie...” Jest to tylko fragment ale już z tego widać, że Franciszek Placidi był artystą zarówno utalentowanym jak i pracowitym. Urodził się ok. 1710 r. w Rzymie, zmarł w 1782 r. w Kozienicach. Pierwsza informacja o jego pobycie w Polsce pochodzi z 1732 r. W latach 1738—1739 pracował w Dreźnie przy budowie Hofkirche. Najwięcej jego dzieł powstało w Krakowie, poza tym we Lwowie i na Wołyniu. Dziś jest chyba zbyt mało znany.

Były to czasy saskie — okres „europeizacji” sztuki polskiej, czasy ożywionych kontaktów z Dreznem ale również z Czechami, Austrią i Rzymem, gdzie studiowało wielu polskich artystów i skąd przybywało do Polski wielu malarzy, rzeźbiarzy i architektów. Jednym z nich był Franciszek Placidi, innym, działającym nieco wcześniej w Wielkopolsce był Pompeo Ferrari.

Przykładem tej „europeizacji” polskiej sztuki w epoce saskiej może być właśnie omawiany pałac w Grabkach Dużych. Nie ma on odpowiednika w polskiej architekturze. Pewnych podobieństw można dopatrzeć się tylko w Czyżowie Szlacheckim leżącym koło Zawichostu. Prof. Miłobędzki pisze o pałacu w Grabkach, że ma „miękką, zarzucający konwencję kąta prostego plan, narastający na skośnych, przekątnych osiach” (Zarys dziejów architektury w Polsce”).

Pierwowzorów dla pałacu w Grabkach należy szukać w Wiedniu, w tamtejszych wielkich

pałacach pełnego baroku. Pałac w Grabkach mimo całej swej oryginalności, całego swojego uroku jest tylko ich późną reminiscencją powstałą w dużo mniejszej skali.

W 1831 r. pałac spłonął. W okolicy nie było walk, można tylko przypuszczać, że albo zapalili go dla zabawy, co często czynili w czasie naszych powstań narodowych jak również np. w 1945 r. (przykład — pałac w Spale). Po pożarze pałac odbudowano nie wprowadzając większych zmian. W I wojnie światowej pałac ocalał, zniszczone zostały tylko częściowo otaczające go mury z basztami. Przyszedł jednak styczeń 1945 r. Grabki znalazły się na głównej osi ataku wojsk radzieckich nacierających z przyczółka baranowskiego na zachód — na Jędrzejów, Częstochowę, Śląsk, Budziszyn. Położone kilkanaście kilometrów od linii frontu Grabki nie miały szans, tak jak nie miał ich niedaleki, zabytkowy Szydłów. Z wypalonego pałacu pozostały mury, część dachu, dwa uszkodzone pawilony oraz klasycystyczna oficyna postawiona w pobliżu na początku XIX w. Wnętrza pałacu zostały zupełnie zniszczone.

Odbudowę rozpoczęto w 1950 r. z „inicjatywy społecznej miejscowej grupy traktorzystów” — takie to były czasy! Powstał tu Ośrodek Szkolenia Traktorzystów i podobną funkcję pełni do dziś — jest tu jeden z oddziałów Wojewódzkiego Ośrodka Szkolenia Rolniczego w Modliszewicach. Zniszczono jednak zabytkowy krajobraz stawiając między pałacem a szosą brzydkie, koszarowe kamienice typowe dla lat 50-tych.

Wnętrze pałacu jest obecnie mało interesujące, od początku dekoracja wnętrza nie dorównywała pięknej architekturze tej budowli. Uwagę natomiast zwraca dach kryty miedzianą blachą. Powinien być zielony od patyny tak jak każdy dach kryty miedzią, tymczasem jest czarny, czarne też są nacieki na tynku, jest to

wpływ dwutlenku siarki, którego tu w powietrzu jest wyjątkowo dużo. Z wyżej położonych miejsc w Grabkach doskonale widać dwa kominy zakładu produkcji dwusiarczku węgla położonego w pobliżu kopalni siarki w niedalekim Grzybowie.

Nazwa Grabki Duże nasuwa przypuszczenie, że w pobliżu są i Grabki Małe. Tak też jest w rzeczywistości. Obie te wsie stanowiły niegdyś jedną osadę, która pojawia się w dokumentach w latach 1470-tych. Natomiast już w 1579 r. występują: Grabki maior Grabki minor. Ten podział przetrwał do dziś, co ciekawsze Grabki Duże leżą dziś w gminie Szydłów a Grabki Małe w gminie Gnojno.

Na koniec proponuję przenieść się myślami do gorącego (dosłownie i w przenośni) lata 1914 r. Jest 12 września, upał, pełną piaskzystych wybojów drogą z Chmielnika maszeruje I Pułk Piechoty Legionów Polskich wycofujący się z Kielc. Oto jak ten dzień wspomina Józef Piłsudski („Moje pierwsze boje”, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1988 r. str. 37—38):

## Ilza Sternfeld (1911–1990)

O Arym Sternfeldzie radzieckim teoretyku kosmonautyki rodem z Sieradza, który młodość spędził w Łodzi, tu uzyskał maturę i tu napisał książkę swego życia „Wstęp do Kosmonautyki” pisaliśmy niedawno w „Wędrowniku” \*).

Ostatnie lata przyniosły dopiero uznanie dla prac uczonego, jego wielkiego wkładu teoretycznego w podbój przestrzeni kosmicznej. Zaiste jakże prawdziwe jest w odniesieniu do Arego Sternfelda owo słynne powiedzenie „per aspera ad astra” (przez ciernie do gwiazd). Za życia skromne były dowody uznania dla jego talentu, pracowitości i zdolności przewidywania. Przed rokiem nastąpił bardzo spektakularny akt uznania dla uczonego — nazwanie jego nazwiskiem jednego z kraterów na Księżycu. Przed ponad rokiem — w maju 1989 r. poinformowano o tym na spotkaniu w Moskwie w Polskim Ośrodku Kultury. Spotkanie uświetnili swoją obecnością uczeni radzieccy w dzie-

„Upał nie ustawał. Kolumna i wozy szły w obłokach kurzu, kurzu tak gęstego, że ludzie nikli po prostu w tych tumanach...”

Wyjechałem naprzód przed kolumnę. Zbliżał się wieczór, odczuwałem, że niepodobna kontynuować marszu dalej. Trzeba było zatrzymać się na odpoczynek. Na pagórku stał dwór Grabie Wielkie wraz ze wsią tej samej nazwy. Zdecydowałem, by dać ludziom dłuższy wypoczynek. Wysłałem naprzód kwatermistrzów i stanąłem pod pagórkiem, na który droga stromo prowadziła po piasku. Mój ty Boże! Żal mi było 'patrzeć! Z przechodzącą kolumny raz po raz osuwał się do rowu przydrożnego żołnierz i padał bezsilnie na trawę. Na ten ostatni pagórek nie starczyło mu już sił.

Pojechałem do dworu i wysłałem stamtąd lekarzy z wozami, aby ściągnąć osłabionych na nocleg. Zapadł duszny, nie przynoszący ulgi swą ochłodą wieczór”.

PRZEMYSŁAW PILICH

dzinie kosmonautyki m.in. prof. Alla Masiewicz i dr W. W. Iwaszkin a ze strony polskiej pracownicy ośrodka, red. Ryszard Badowski i piszący te słowa. Mówiono tam i o dorobku naukowym Arego Sternfelda i o jego polskich korzeniach. Prasa polska poświęciła kilka notatek (ale także obszerny artykuł red. Ryszarda Poradowskiego w Głosie Robotniczym 13 sierpnia 1989 r.) opisując owe wydarzenie. Przemilczała niestety prasa polska uroczystość z 11 maja 1990 r. wmurowania tablicy pamiątkowej na domu w Moskwie (Mały Pionierski zaułek 3), w którym spędził ostatnie 10 lat swego życia Ary Sternfeld zmarły w Moskwie 5 lipca 1980 r.

W tej uroczystości niestety ze względu na stan zdrowia nie mogła wziąć udziału wdowa po uczonej Ilza Sternfeld będąca „spiritus movens” owego wydarzenia. Zresztą wkrótce, bo 15 lipca 1990 r. Ilza Sternfeld zmarła. W cytowanym artykule powiedzieliśmy, że we wszystkich poczynaniach i podróżach Arego



ILZA STERNFELD

fot. M. Wojalski

Sternfelda przez ostatnie 20 lat brała udział niezamordowany i niezawodny pomocnik — jego żona Ilza. Sam Ary Sternfeld doceniał jej pomoc i współpracę, jej żywotność i niezamordowaną energię. Zaś kiedyś w przystępie szczerości powiedział córce Eli, że „Ilza to anioł i diabeł w jednej osobie”. Nie miało to i mieć nie mogło zabarwienia pejoratywnego. Ilza Sternfeld była pierwszym czytelnikiem ale też i recenzentem każdej stronicy napisanej ręką uczonego. I ona zacytowała żartobliwie: mąż mówi, że jemu potrzebny jest taki „durny czytelnik” jak ja. Jeśli ja zrozumieję to rozumieją wszyscy inni. Jestem zatem takim zupełnie durnym czytelnikiem skłonny jednakże do krytyki”. Za tym humorem kryje się ofiarność, pełnia poświęcenia, oddanie, samozaparcie, pomoc i oparcie które były tak konieczne uczonego.

Także dzięki niezamordowanej działalności Ilzy Sternfeld doszło do wielu wydarzeń upamiętniających postać i dorobek naukowy Arego Sternfelda m.in. wydania przez Akademię Nauk ZSRR książki biograficznej „Ary Sternfeld pionier kosmonautyki” w języku rosyjskim, „Paradoksy kosmonautyki” pierwodruk w języku polskim LSW Warszawa 1987 a jej rosyjski przekład przewidziany jest w 1991 r. I do powstania książki Władysława Geiskera „Ary Sternfeld pionier kosmonautyki” LSW Warszawa 1981 w niemałym stopniu przyczyniła się Ilza Sternfeld.

Sama nie prowadziła żadnych prac naukowych ani zapisków choć niewątpliwie byłyby ciekawe stronicie nienapisanego pamiętnika „moje życie u boku Arego Sternfelda” jak tego

go dowodzą fragmenty wywiadu jakiego udzieliła Pawłowi Tomaszewskiemu „Odgłosy” nr 13 z 28 marca 1987 r. „Był szalenie pracowity i nie znośli, by mu przeszkadzano, przerywano pracę. Wyłączał się w sensie dosłownym gdyż z powodu poważnej utraty słuchu musiał posługiwać się aparatem słuchowym. Ze względu na jego upór nasze życie nie było łatwe np. toczyły się wieczne scysje o to żeby trochę odpoczął, żeby wyszedł na spacer bo on tak był pochłonięty swoją pracą, że trudno go było do tego namówić(...) Nie był bynajmniej ponurakiem. Wręcz przeciwnie — lubił dowcipkować, miał ogromne poczucie humoru, był niezwykle życzliwy, miał dla ludzi otwarte serce. Jego gościnność nie znała granic — kłólkowi przestępował próg naszego mieszkania od razu zapraszany był przez Arego do stołu. Raz się zdarzyło, że i włamywacza, który wkradł się do nas mąż zaprosił na kolację. Złodziej onieśmielony tym wiercił się na krześle i prędko zwiął(...) Nie wybaczał domownikom ani nikomu innemu żadnego kłamstwa, kłamstwo, nawet błahe uważał za największy grzech, za dowód tchórzostwa”.

Ilza stwierdzała wielokrotnie, że Ary Sternfeld nie przywiązywał większego znaczenia, żadnej wagi ani do dóbr materialnych ani do wyglądu mieszkania, w życiu był wyjątkowo skromny i mało wymagający, prócz szklanki gorącej dobrze zaparzonej herbaty niczego nie potrzebował. Na posiłki należało go wzywać wielokrotnie najczęściej poprzez... zapalenie żarówki w gabinecie uczonego. Żarówek zresztą były trzy — sam to widziałem — jedna oznaczała, że dzwoni telefon, druga, że dzwoni dzwo-



ILZA STERNFELD Z MĘŻEM ARYM

fot. M. Wojalski

nek u drzwi a trzecia największa to właśnie zaproszenie p. Ilzy na posiłek lub w innym bardzo ważnym życiowym celu.

Warto więc chyba pokusić się o bliższe scharakteryzowanie tej postaci świadomie trzymającej się w cieniu Arego Sternfelda, choćby jako wspomnienie pośmiertne (Ilza Sternfeld zmarła w Moskwie 15 lipca 1990 r., przeżywszy Arego Sternfelda o 10 lat i 10 dni). Może nie jestem zanadto predystynowany, gdyż znałem Ilzę Sternfeld krótko — poznaliśmy się w 1976 roku podczas pobytu obojga w Polsce a wcześniej korespondencyjnie jedynie ale też i od momentu poznania byliśmy w ścisłym kontakcie, byłem traktowany życzliwie, czułem się tak jak bym był członkiem rodziny. Zdradzono mi też niektóre tajemnice rodzinne,

otrzymywałem wyrazy sympatii, życzliwości i uznania dla działalności propagującej Arego Sternfelda w Łodzi a także szereg pamiątek, materiałów historycznych, dokumentów itp. podkreślających związki Arego Sternfelda z Polską — z Łodzią i Sieradzem. Ale również związki Ilzy Sternfeld z Polską — z Łodzią, Sieradzem i Zduńską Wolą. Ilza Sternfeld bowiem urodziła się w Zduńskiej Woli, również jako dziecko przyjechała do Łodzi (mieszkała przy Al. T. Kościuszki 29), w Łodzi uczęszczała do gimnazjum przy ul. Zielonej nb. tego samego do którego uczęszczały siostra Arego — Ada Kalecka (żyjąca do dziś w Warszawie, wdowa po znakomitym polskim ekonomiście Michale Kaleckim) i pierwsza żona Arego Gustawa Ehrlich a nawet miała tych samych

co Ary wykładowców w szkole. Z powodu ciężkich warunków materialnych rodziny Ilza także zmuszona była zarabiać dając korepetycje. Po ukończeniu gimnazjum wstąpiła na Politechnikę w Gdańsku, gdzie oprócz studiów na wydziale architektury włączyła się także w postępową działalność studenckiej młodzieży komunistycznej. W 1934 roku w związku z groźbą aresztowania Ilza Braun (bo takie miała nazwisko przed wyjściem za mąż za Arego Sternfelda konspiracyjnie dodajmy nazwisko) udała się do ZSRR jako polityczna emigrantka. Właściwym chyba byłoby podkreślić, że Ilza Braun to pseudonim polityczny (partyjny) Barbary Warszawiak do którego przywykła ona bardziej niż do imienia i nazwiska urodzenia. Dodam tutaj, że podczas swojego ostatniego pobytu w Łodzi w roku 1987 próbowała choć bez większego entuzjazmu odszukać rodzinę w Łodzi. Wyglądało to tak: Mirosław, wyszukaj w książce telefonicznej Warszawiaków (ludzi o nazwisku Warszawiak) i połącz mnie z nimi. Była rozczarowana, że nazwiska Warszawiak nie było w książce, zaś ludzie o podobnym nazwisku odpowiadali negatywnie na pytanie „czy w Pani, Pana rodzinie była przed wojną Barbara Warszawiak”. Do 1941 roku Ilza studiowała w Moskwie w Instytucie Architektury i pracowała w architekturze a od pierwszych dni wojny ZSRR z Niemcami została powołana do pracy w polskiej redakcji radia moskiewskiego i pracowała tam aż do 21 VI 1941 r. (do ostatnich dni swego życia biegle mówiła i pisała po polsku, żywo wspominała kontakty wówczas nawiązane z Polakami na emigracji w ZSRR, ludźmi polityki czy świata kultury np. Ryszarda Hanin czy Ryszard Stanisławski. W czasie działań wojennych ewakuowana wraz z redakcją

do Kujbyszewa wróciła potem znów do Moskwy i mieszkała „na najważniejszej ulicy” — na Arbacie. Nadal, aż do emerytury pracowała w redakcji polskiej. Tam poznała Arego Sternfelda, bywającego czasem w redakcji, nagrywającego tam audycje radiowe dla kraju i dla słuchaczy radzieckich. W miarę upływu czasu znajomość zawodowa pogłębiała się a gdy nieuleczalna choroba krwi uśmierciła pierwszą żonę Arego Sternfelda — Gustawę (nb. również łodziankę, mieszkającą na ul. Zielonej przy Zielonym Rynku) ich znajomość nabrała akcentów osobistych, przerodziła się w ogromną przyjaźń, szczere oddanie jedno drugiemu aż zostali mężem i żoną, przeżyli wspólnie 17 lat do samej śmierci uczonego.

Ilza Sternfeld podobnie jak i Ary Sternfeld darzyła ogromnym sentymentem kraj rodzinny, odwiedzała Polskę, odwiedzała Łódź, Sieradz, Warszawę a nawet Zduńską Wolę, odwiedzała przyjaciół, znajomych i rodzinę Arego Sternfelda (cała jej rodzina zginęła w czasie hitlerowskiej okupacji). Cieszyła się z każdego faktu upamiętniającego życie i działalność w Polsce Arego Sternfelda — odsłonięcia tablic pamiątkowych w Sieradzu i Łodzi, nadania ulicom w Łodzi i w Sieradzu imienia Arego Sternfelda. Honorarium za wydaną książkę Arego Sternfelda „Paradoksy kosmonautyki” w całości przeznaczyła na Szpital — Pomnik Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi.

\*) „Wędrownik” nr IV-V 9310-311 lipiec—październik 1987, s. 28—33 „Ary Sternfeld”.

MIROSŁAW ZBIGNIEW WOJALSKI

## Wspomnienia z pielgrzymki do Lourdes i La Salette

Niezliczona jest liczba sanktuariów maryjnych na świecie, a w Polsce mamy ich co najmniej kilkadziesiąt. Do najslawniejszych w Europie należy niewątpliwie Lourdes, Fatima i nasza Jasna Góra. Mniej znane jest La Salette. Te miejsca, w których objawiła się Maryja odwiedzają przez stulecia chrześcijanie ze względu na wyjątkową rolę Matki Bożej w tajemnicy Chrystusa i Kościoła, jest Ona bowiem pośredniczką łask Bożych i najprostszą drogą do Chrystusa.

Dzięki inicjatywie proboszcza parafii Dobrego Pasterza w Łodzi, księdza Stefana Moczowskiego, mogliśmy nawiedzić dwa sanktuaria we Francji Lourdes i La Salette oraz zwiedzić wiele innych miejsc. Nasza trasa, którą przejechaliśmy polskim autokarem w obie strony wyniosła ponad 6 tys. km. W pielgrzymce uczestniczyły 44 osoby różnej płci i wieku. Towarzyszy nam proboszcz parafii Zesłania Ducha Św. w Łodzi — ks. Jerzy Spychała.

Wyruszamy po mszy św. rankiem w niedzielę 22.IV.1990 roku autokarem. Odmawiamy różaniec, modlitwę zalecaną przez Maryję, powierzamy Jej opiece pielgrzymkę prosząc, aby uczestnikom przyniosła obfite duchowe owoce. Spostrzegam, że szereg osób wcale się nie modli. Rozmawiają, lub czytają tygodniki, gazety, traktując tę podróż raczej jako wycieczkę niż pielgrzymkę. Dobór bowiem uczestników był przypadkowy.

Czas upływa szybko. Już za nami Wrocław, a w pobliżu granica czeska w Kudowie. Po jej przekroczeniu dojeżdżamy do Pragi, mijamy Pilzno i o godz. 20 docieramy do niewielkiego czeskiego miasteczka Stribro. Nocujemy w hotelu „Europejskim”, którego nazwa niezupełnie odpowiada standartowi. Po całodziennym podróży z rozkoszą układamy się do snu.

Nazajutrz w Rozwadowie przekraczamy granicę RFN. Dojeżdżamy do Norymbergi, gdzie z braku czasu tylko pobieżnie zwiedzamy jej centrum oraz kościół pw. św. Wawrzyńca. Oglądamy w nim gotyckie, rzeźbione ażurowo, wysokie tabernakulum oraz umieszczony w głównym ołtarzu duży krucyfiks — dzieło przypisywane Witowi Stwoszowi.

W dalszej drodze modlimy się, śpiewamy, słuchamy nagranych na taśmie interesujących religijnych konferencji. Szyko nadchodzi wieczór. W Saarbrücken przejeżdżamy granicę francuską. Spędzamy męczącą noc jazdy autobusem; nie obeszło się bez niedyspozycji jed-

nej z uczestniczek, lecz oto już świt i wita nas Paryż. Po śniadaniu zwiedzamy miasto autokarem, oglądając najbardziej reprezentacyjne miejsca. Jest chłodno. Zanika mgła. Mży. Po południu uczestniczymy we mszy św. w katedrze Notre Dame de Paris koncelebrowanej w intencji naszej Ojczyzny.

Następnego dnia jedziemy do kaplicy sióstr miłosierdzia św. Wincentego á Paulo (szarytki) na ulicy du Bac, gdzie w 1830 roku Matka Boża ukazała się Katarzynie Labouré i przekazała jej misję wybicia medalika, którego wzór objawiła.

W kaplicy tej, w oszklonej trumnie, znajduje się nienaruszone ciało św. Katarzyny oraz relikwiarz zawierający serce św. Wincentego á Paulo. Sanktuarium to nawiedził papież Jan-Paweł II w czasie pielgrzymki apostolskiej do Francji. Kaplicę wypełniają rozmodleni ludzie, co w Paryżu należy do rzadkości.

Kolejny etap naszej wędrówki to odległe o 76 km od Paryża Chartres, słynne ze wspinałej gotyckiej katedry i znajdujących się w niej przepięknych witraży o niezwykłym niebieskim odcieniu (bleu de Chartres). W bocznej kaplicy umieszczona jest mała, czarna, rzeźbiona w drewnie figurka Madonny odziana w haftowaną sukienkę w stylu hiszpańskim. Było to miejsce pielgrzymkowe, słynne od wieków średnich, nawiedzane i obecnie także przez młodzież<sup>1)</sup>. Na miejscu tego sanktuarium stała w XII w. katedra romańska, która spłonęła. Po pożarze przystąpiono do jej odbudowy. Początkowy jednak zapał osłabł, a na jego ożywienie wpłynęło odnalezienie w gruzach dawnej katedry welonu, (przechowywanego obecnie w katedralnym skarbcu jako relikwia), który Matka Boska miała na głowie przy narodzeniu Chrystusa. Tę katedrę, żywy pomnik wiary i modlitwy, budowano bez uprzednio sporządzonych planów. Jest ona jedyną na terenie Francji, która nie uległa dewastacji w czasie Rewolucji Francuskiej.

Przejeżdżamy przez Loare i zwiedzamy zamek Montresor, w którym znajdują się kolekcja pamiątek króla Jana Sobieskiego. Zamek ten ongiś Branickich, obecnie należy do rodziny Rejów. Wśród poloników najcenniejszy jest obraz Rodalczewskiego, przedstawiający nuncjusza apostolskiego, który w imieniu papieża prosi króla Jana Sobieskiego o udział w wyprawie przeciwko Turkom. W komnatach oglądamy zdobyczne sztandary tureckie, a w skarbcu drogocenne srebro i numizmaty.

Z zamku udajemy się do miejscowej gospody, gdzie zasiadamy do kolacji przy jednym ogromnym stole. Czujemy się jak w rodzinnym gronie co w podziękowaniu skierowanym do gospodarzy podkreśla ksiądz proboszcz Stefan — organizator naszej pielgrzymki, my śpiewamy dla nich wiązanek polskich piosenek. Uczta trwa niemal do północy. O tej właśnie porze w czwartek 26 kwietnia wyruszamy do Lourdes — głównego celu naszej pielgrzymki. Znajdujemy się tam o godz. 14. Siostry nazaretanki witają nas gościnnie w „Domu Piegrzyma” Polskiej Misji Katolickiej pięknie położonym na wzniesieniu górującym nad miastem. Jest słonecznie, słychać granie świerszczy, rozlokowujemy się w pokojach, czujemy się jak we własnym domu w Polsce. Po krótkim odpoczynku uczestniczymy we mszy św. w domowej kaplicy, a potem podążamy do Groty Objawień, by uczestniczyć w procesji różańcowej ze świecami. Kierownik pielgrzymki — ks. Stefan z wydelegowanymi osobami udaje się do miejsca przewodniczenia przed Bazyliką Różańcową. Zapada zmierzch. Przed nami serce sanktuarium. Tu we wnęce skalnej, gdzie ukazywała się Maryja stoi teraz Jej figura. Pod nią umieszczony jest napis w narzeczcu baskijskim, w którym Maryja przemawiała do Bernadety — „Jam jest niepokalane poczęcie”.

Całą duszą i żywo bijącymi sercami włączamy się w modlitwę odmawianą w różnych językach: francuskim, niemieckim, włoskim, angielskim, irlandzkim i polskim. Szczególnie wzruszająca jest modlitwa Irlandczyka, jedynego reprezentanta tego narodu, który głośno i z przejęciem odmawia „Zdrowaś Maryjo...” W wielu językach rozlega się także pieśń: „Po górach dolinach...” ze zrozumiałym dla wszystkich refrenem — „Ave Maria...” Procesja ciągnie się esplanadą. Oglądana z górnego tarasu wygląda jak gorejący wąż, jak rzeka ognia wijąca się w zakolach. W takim nastroju, wzruszeni i zasłuchani, z lampionami i różańcami w ręku posuwamy się w tej tysięcznej rzeszy. Przed kolejnym dziesiątkiem różańca rozlega się znajomy głos księdza Stefana, który w języku polskim odmawia „Ojciec nasz...”, a po nim zdrowaśki recytują nasi delegaci.

Kończy się nabożeństwo. Uczestnicy powoli rozchodzą się — a nam żal stąd odejść, oderwać wzroku od pięknie iluminowanej fasady i strzelistych wież Bazyliki. Zegar wieżowy wygrywający co godzinę kuranty intonuje „Ave, Ave, Ave Maria”. Po górach rzeczywiście rozlega się dzwon. Opuszczamy esplanadę żegnani pogodną melodią grających dzwonów.

Nazajutrz rano uczestniczymy we mszy św. koncelebrowanej w Grocie przez naszych księży, w czasie której powierzamy Matce Bożej wszystkie swoje troski, ludzi nam bliskich i tych, którzy polecili się naszym modlitwom, chorych, strapionych, wątpiących, naszą Ojczyznę, jej przywódców — wszystko to składamy w dłonie Niepokalanej Matki i dziękujemy Jej za dożnaną opiekę i otrzymane łaski.

W głębi Groty na lewo od ołtarza bije cudowne źródło, które wytrysnęło na polecenie Niepokalanej. Woda napełnia kilka zbiorników, z których doprowadzana jest do wodociągu oraz basenów. Codziennie zanurzają się w niej setki chorych. Jej skutki uzdrawiające znane są na całym świecie. Niezwykle uzdrowienia są częścią historii Lourdes jako miejsce objawień Matki Bożej. Do 1980 roku zanotowano tu 5 tysięcy zadziwiających wyleczeń. Międzynarodowa Komisja Lekarska skupiająca wybitnych specjalistów z całego świata, niezależnie od ich wyznania, za cudowne uznała 64 uzdrowienia<sup>2)</sup>.

Wracając ze mszy św. w miejscu czerpania nabieramy w naczynia wodę z cudownego źródła, dla osób w Polsce, które nas o to prosiły.

Po tych duchowych przeżyciach miłą niespodzianką dla wszystkich był wyjazd w kotlinę Gawarnie położoną u stóp Pirenejów. Końcowy odcinek kotliny pokonujemy pieszo. Zachwycamy się pięknem gór, ośnieżonymi szczytami w promieniach słońca, urokami wiosennej flory — wchłaniamy krystaliczne górskie powietrze.

Po powrocie z Gawarnie dokładniej zapoznajemy się z Lourdes. Liczy ono obecnie 20 tysięcy stałych mieszkańców, jest stolicą diecezji Tarbs i Lourdes. W tej miejscowości 11 lutego 1858 roku córka zubożałego młynarza, Bernardetta Soubirous idąc z koleżankami do lasu po gałęzie, ujrzała w Grocie Masabielskiej młodą kobietę — „piękną Panią” w białej sukni, przepasanej niebieską szarfą, z różańcem w ręku. Widzenie to na przestrzeni czasu do 16 lipca tegoż roku powtórzyło się 18 razy. Po czterech latach skrupulatnych badań 1862 roku widzenie Bernardety zostało uznane przez Kościół za autentyczne. Od tej pory zaczęli tu ścierać zainteresowani ludzie, a ostatnio corocznie przybywa tutaj ponad 4 miliony pielgrzymów<sup>3)</sup>.

W drodze ze śródmieścia bulwarem przez most św. Michała na rzece Gawe wchodzi się na esplanadę, którą tworzy ogromny plac przed Bazyliką Różańcową oraz równoległe szerokie

aleje (długości 500 m) oddzielone zielonym trawnikiem.

Po lewej stronie esplanady znajduje się ogromna Bazylika Podziemna, której architektoniczny model wnętrza przypomina kształt kłosa, bądź ryby i może w sobie pomieścić 30 tys. pielgrzymów. Wybudowano ją pod ziemią jak betonowy schron, by nie przysłaniała istniejących już świątyń. Po przeciwnej stronie esplanady mieści się duży szpital, przez który przewijają się tysiące chorych pielgrzymów.

Jak zorientowaliśmy się główny kompleks sanktuarium w Lourdes stanowią trzy zespolone ze sobą świątynie: Krypta, Bazylika Górna pw. Niepokalanego Poczęcia NMP oraz położona przed nią Bazylika Różańcowa. Najbardziej ciekawe miejsce tego sanktuarium — Grota Objawień mieści się u podnóża prezbiterium Górnej Bazyliki od strony rzeki Gawe. Trzy wznoszące się pod niebo wieże podkreślają harmonijną całość tego zespołu świątyń. Przed nimi z obu stron półkolem schodzą łagodnie dwie rampy na opisaną powyżej, niespotykaną esplanadę.

Na życzenie Maryi w 1866 roku zbudowano tu pierwszą świątynię wykuta w skale. Nosi ona teraz nazwę Krypty, gdyż nad nią w końcu XIX w. wybudowano Bazylikę Niepokalanego Poczęcia NMP i od tej pory tamta znalazła się w jej podziemiu. Najpóźniej powstała (1887 r.) Bazylika Dolna — Różańcowa, w stylu bizantyjskim. Nad jej portalem jest umieszczona duża rzeźba w kamieniu przedstawiająca scenę wręczania różańca przez Matkę Bożą św. Dominikowi. Zwiedzając jej wnętrze oglądamy 15 kaplic rozmieszczonych wokół Bazyliki, poświęconych poszczególnym tajemnicom różańcowym.

Po zwiedzeniu sanktuarium udajemy się na drogę krzyżową. Stacje urządzono w 1912 roku wzdłuż trasy liczącej 1530 metrów po wzgórzu położonym obok Bazyliki. Idziemy górską, wyboistą ścieżką. Duże figury odlane z brązu, ustawione w plenerze lasu, włączające jakby do swego grona przechodniów wyrażają sugestywnie poszczególne sceny męki Pańskiej. Nawet nie bardzo wierzący, nie może przebyć tej drogi obojętnie. Wiele już razy w życiu odprawialiśmy drogę krzyżową, lecz ta odbyta w tym miejscu pozostawiła szczególnie głębokie przeżycia. W milczeniu rozważamy cierpienia Chrystusa, podjęte z miłości do nas. Czy potrafimy choć w części je odwzajemnić, czy potrafimy jak Weronika odważnie pomagać Tobie Chryste, w bliźnich?

Powracamy przed Bazylikę, by uczestniczyć w części kończącego się już nabożeństwa dla

chorych. Mimo iż nie jest to jeszcze sezon pielgrzymkowy, na placu przed Bazyliką Różańcowa oglądamy grupę ponad 400 chorych rozlokowanych na wózkach i łózkach z kółkami ustawionych w równe szeregi. Obserwujemy tu nadzwyczajny porządek. Przy chorych znajdują się jedynie ich bezpośredni opiekunowie. Pozostali uczestnicy zajmują miejsce na obrzeżu placu. Kapłan niosący monstrancję, kolejno przechodząc, udziela błogosławieństwa Najświętszym Sakramentem. Całe zgromadzenie zwraca się w modlitewnych wezwaniach do Chrystusa prosząc o uzdrowienie. Intencje czytane w różnych językach przeplatane są śpiewem pieśni.

W powrotnej drodze autokar zatrzymuje się przed zespołem domów handlowych. Część pielgrzymów dokonuje różnych zakupów. Powracamy do polskiego domu pielgrzyma ciekawo jutrzejszych wrażeń. Czeka nas bowiem niezwykle etap naszej pielgrzymki — La Salette.

Do La Salette wyruszamy wczesnym rankiem w sobotę 28 kwietnia. Jedziemy przez Langwedocję, z okien autokaru podziwiamy średniowieczną twierdzę — miasto Carcassonne, w okolicy Narbonne na moment ukazuje się nam jakaś zatoka, prawie ocieramy się o Morze Śródziemne. Nimes, Awignon, Orange to już Prowansja. Na parkingu mieliśmy okazję doświadczyć skutków działania porywistego wiatru — mistralu, który w tych rejonach Francji jest jakby odpowiednikiem naszego halnego. Skracamy ku Grenoble.

Stwierdzam z radością, że w czasie wspólnych modlitw teraz prowadzonych w autokarze już wszyscy w nich uczestniczą. To jeden z pierwszych owoców pielgrzymki.

Podróżujemy dolinami wzdłuż rzeki Izere, Droga do La Salette zaczyna się właściwie dopiero w Corps, na wysokości 800 m n.p.m. Jedziemy podziwiając postrzępione urwiska skał, pasma szczytów z białymi płatami śniegu w górze, w dolinach zieleni drzew i łąk, granat jeziora. Mamy wrażenie, jakbyśmy autokarem wtargnęli w sam środek Tatr. Tu jednak są Alpy Francuskie. Za miasteczkiem La Salette rozpoczyna się karkołomny wjazd. O zachodzie słońca, po półkach skalnych, wąską asfaltową drogą wspinamy się na szczyt ku sanktuarium — wysokość 1800 m n.p.m. Wreszcie po pokonaniu 15 km, za bodajże 120 zakrętem, na niewielkiej polanie wciśniętej w wysokogórską dolinę, widzimy kościół, klasztor i dom pielgrzyma. Nic poza tym. Kilka samochodów, trzy autokary i przejmująca cisza. Tu bowiem, w La Salette, w sobotę 19 wrześ-

nia 1846 Matka Boska objawiła się dwójce pastuszków nikomu nie znanych, biednych i niepiśmiennych. Pani powiedziała: „Jeśli lud mój nie zechce się zmienić, będę musiała opuścić ramię mego Syna. Ramię to jest tak ciężkie, że go już dłużej nie mogę utrzymać”. Autentyczność tych objawień potwierdził w 1851 roku ordynariusz diecezji Grenoble, a rok później listem pasterskim zapowiedział budowę świątyni na Górze La Salette. Prace nad jej budową trwały do 1865 roku. Pieczę nad tym sanktuarium roztaczają Misjonarze M. B Saletyńskiej.

W niedzielę 29 kwietnia rano, po śniadaniu czas wolny na indywidualne zwiedzanie sanktuarium. Tu w górach Bóg wydaje się być bliżej nas, lepiej słyszymy Jego głos. Podświadomie czujemy, że nawiedzamy wybrane przez Maryję miejsce, które Bóg zechciał obdarzyć wielkimi łaskami za Jej przyczyną i pośrednictwem.

Przejęci głębokim wzruszeniem w ciszy schodzimy grupkami w kotlinkę, gdzie Matka Boża objawiła się dzieciom. Na tym miejscu, za żelaznym ogrodzeniem są ustawione odlane z brązu figury Matki Bożej: w głębi Madonna płacząca, w postawie siedzącej ukrywająca twarz w dłoniach, po których spływają łzy — bliżej Maryja z dwojgiem dzieci, o pięknym obliczu, ze śladami łez, obliczu przejmująco smutnym, w słonecznej aureoli i koronie z róż okalających czepek. Na Jej piersiach, na grubym łańcuchu zwisa krzyż z postaciami Chrystusa, a na poziomej belce Krzyża obcegi i młot. Ta statua płaczącej Matki Bożej z brązu, upamiętniająca tamto wydarzenie, przyciąga wzrok każdego. Spoglądając na płaczącą Madonnę z La Salette, przypominam sobie to, co powiedział francuski pisarz Léon Bloy — nie ma na świecie większych tajemnic, aniżeli krew Chrystusa i łzy Jego Matki.

Przed godziną 11 gromadzimy się, aby uczestniczyć w międzynarodowej mszy św. Koncelebrze jej przewodniczy saletyn — dyrektor sanktuarium. W liturgii czytania mszalne i śpiewy w różnych językach. Wspólne uczestnictwo w Eucharystycznej Ofierze pomogło nam zrozumieć czym jest wspólnota w wierze, mimo różnic języka, kultury i narodowości czuliśmy się zjednoczeni w Chrystusie Tego odczucia wspólnoty ponownie doznaliśmy w czasie obiadu podanego w dużej jadalni dla wszystkich obecnych tu pielgrzymów<sup>4</sup>). Grupa włoska z Werony zadedykowała nam swoje pieśni, które odwzajemniamy śpiewem wiązanki polskich melodii.

Po obiedzie w sali projekcyjnej oglądamy film o objawieniach w La Salette i historii sanktuarium.

La Salette jest uderzająco różna od Lourdes, portugalskiej Fatimy, czy polskiej Jasnej Góry. Tu jest się jakby w bezpośredniej bliskości objawienia. Nie ma tu wielkich tłumów<sup>5</sup>), nie ma sklepów z dewocjonaliami, zatłoczonych samochodami ulic. Dom pielgrzyma posiada tysiąc jedno i dwuosobowych pokoi, luksusowo wyposażonych. Na jednym ze zboczy niewielka kapliczka, a obok niej położony jest zakonny cmentarzyk. Na przeciwległym szczycie widnieje duży żelazny krzyż z umieszczonymi na poprzecznej belce obcęgami i młotem. Po zboczach biegną drożki. Każdy może tutaj spacerować w ciszy i skupieniu usłyszeć wezwanie Maryi do pokuty i nawrócenia: „Jeśli lud mój nie zechce się zmienić,...” Tu Matka Boża odchodząc powiedziała: „A więc, moje dzieci, przekazacie to całemu mojemu ludowi”.

Udajemy się na drogę krzyżową, którą ze względu na przelotny deszcz, odprawiamy obchodząc stacje rozwieszono w bocznych nawach bazyliki. Następnie gromadzimy się przed piękną, rzeźbioną w alabastrze statuetką Matki Bożej umieszczoną w głównym ołtarzu. Odmawiamy tu wspólny różaniec w intencji naszej Ojczyzny i śpiewamy — „Boże coś Polskę...”

W poniedziałek rano po mszy św. odprawionej w zakonnej kaplicy i śniadaniu wyruszamy w drogę powrotną. Na północ od Lionu zbaczamy do Ars, miejsca apostolstwa św. Jana Vianneya. Zwiedzamy bazylikę. Oglądamy konfesjonał, w którym spędzał po kilkanaście godzin na dobę słuchając spowiedzi. W nim dokonywały się cudowne nawrócenia pod wpływem spowiednika czytającego w sumieniach jak w otwartej księdze. Zatrzymujemy się przed bocznym ołtarzem, w którym umieszczona jest przepięknie rzeźbiona i polichromowana złotem, oszklona trumna — relikwiarz z nienaruszonym ciałem najuboższego z proboszczów. Modlimy się za nich do ich patrona.

Dalej jedziemy przez Jurę, Burgundię w kierunku Dijon i Strasburga — ten etap drogi pokonujemy w 15 godzin. Słuchamy objaśnień naszej przewodniczki. Układamy teksty do znanych melodii i śpiewamy przeróżne piosenki. Trudy podróży wynagradza wspomniała kolacja podana w restauracji i serdeczność jej gospodarzy. Nocujemy w estetycznie urządzonej hotelu „Ramses”.

Nazajutrz uczestniczymy we mszy św. w gotyckiej strasburskiej katedrze. Podczas zwiedzania jej wnętrza podziwiamy między innymi kolumnę aniołów i zegar astronomiczny dużych rozmiarów kształtem przypominający ołtarz.

Fasada tej katedry i jej portale bogato rzeźbione w kamieniu przykuwają swym pięknem oczy zwiedzających. Nad ogromną, rozbudowaną przez wieki, świątynią góruje 142 metrowa ażurowa wieża.

Jest pierwszy maja. Na ulicach pełno sprzedawców konwalii. Miejscowym zwyczajem bowiem jest tutaj w tym dniu obdarowywanie pań bukietami tych kwiatów. Zwyczaj ten podtrzymujemy i wręczamy konwalie naszej przewodniczce po Francji — pani Elżbiecie Rejowej.

Powracamy do naszego autokaru zaparkowanego przed kolejowym dworcem. Na Moście Europy w Kehl przekraczamy granicę francusko-niemiecką i żegnamy gościnną Alzację. Jedziemy przez RFN do Stribra w Czechosłowacji. Po noclegu, rankiem wyruszamy stąd w ostatni etap pielgrzymki. Przekraczamy granicę czesko-polską w Kudowie. Zatrzymujemy się w klasztorze redemptorystów w Bardzie Śląskim na modlitwę dziękczynną za szczęśliwie odbytą pielgrzymkę. Zwiedzamy oryginalny barokowy kościół i niezwykle bogato urządzoną ruchomą szopkę. Pozujemy do wspólnego zdjęcia na dziedzińcu klasztornym, przy pomniku Ojca św. Jana-Pawła II. Wsiadamy do autokaru, by za parę godzin znaleźć się w Łodzi.

Wracamy pełni wrażeń, ubogaceni duchowo, wdzięczni naszym duszpasterzom za umożliwienie nawiedzenia miejsc, które upodobała sobie Maryja.

Pielgrzymce tej patronowało francuskie biuro podróży „LE MONDE DU VOYAGE”<sup>6)</sup> — z panią Krystyną Żmijewską, która w Paryżu czyniąc nam miłą niespodziankę, na dalszą drogę zaopatrzyła nas obficie, na koszt swego biura, w owoce cytrusowe i napoje.

Obserwuje się duże zainteresowanie tego typu pielgrzymkami-wycieczkami, które stanowią wielki wkład do rozwoju wiedzy krajoznawczej. Z satysfakcją odnotować należy, że akcje te są bliskie ideom i dążeniom PTTK. Przykładem jest tu na pewno honorowy członek tegoż towarzystwa papież Jan-Paweł II. W latach swojej profesury organizował on bowiem z młodzieżą wycieczki-pielgrzymki połączone z przeżyciami religijnymi.

Odczytując tę szansę duszpasterskiego oddziaływania, proboszcz łódzkiej parafii Dobrego Pasterza — ks. Stefan Moczkowski z dużym

powodzeniem organizuje takie wędrowki nie tylko po Europie. Opisywana wyżej pielgrzymka jest drugą do Lourdes, a 30 z kolei wszystkich zorganizowanych przez niego, (nie licząc odbytych do sanktuariów w Polsce)<sup>7)</sup>. Wśród nich należy wymienić 23 pielgrzymki do Wiecznego Miasta, 3 do Ziemi Świętej, 2 do Ostrej Bramy w Wilnie.

Trudno byłoby opisać tu każdą z nich. We wszystkich jednak jak w ostatnio przedstawionej zaznacza się cecha tworzenia się wspólnoty. Jest to jednocześnie zasługą organizatora jak i uczestników. Wysuwane są przez nich inicjatywy powtórnych spotkań, w czasie których można byłoby dzielić się przeżyciami, wspomnieniami i doświadczeniami z podróży, wymieniać fotografie, prezentować wideokasety i wykonane podczas podróży przeżrocza. To wszystko pogłębia wiedzę, łączy i jednoczy ludzi, inspirowane potrzebę dalszego tworzenia klimatu przyjaźni, której w życiu tak bardzo nam potrzeba.

#### Notki:

- 1) Z początkiem 1990 roku przybył do Polski i gościł w łódzkim KIK-u ksiądz francuski z działaczem katolickim w celu zorganizowania wspólnych polsko-francuskich pielgrzymek młodzieży do Chartres i na Jasną Górę. Warto byłoby podjąć tę inicjatywę.
- 2) Działają tu trzy komisje lekarskie zajmujące się rejestracją i badaniem niezwykłych uleceń. Pierwsza, która powstała w Lourdes w 1885 roku, druga Międzynarodowa Komisja Lekarska i trzecia Komisja Kościelna, która ostatecznie wyrokuje czy uzdrowienie jest cudowne, jeśli przypadek uzdrowienia został zgodnie uznany przez obie poprzednie komisje za niewytłumaczalny z punktu widzenia medycznego.
- 3) Przez Jasną Górę rocznie przewija się 5 milionów pielgrzymów.
- 4) Jadalnia okalająca kuchnię składa się z kilku sektorów i w niej jednorazowo może zasiąść do stołów ponad tysiąc osób.
- 5) W ciągu całego roku sanktuarium nawiedza około 350 tysięcy pielgrzymów.
- 6) Adres biura: „LE MONDE DU VOYAGE” Rue Hermel 75018 Paris tel. 259-55-45.
- 7) W kilku pielgrzymkach współorganizatorem był ks. Edward Nastalek — proboszcz parafii Rogów.

HANNA LIPIŃSKA-EBNER  
ks. JERZY SPYCHAŁA

## Szanować wodę!

### Woda to wspaniałe środowisko.

Jest to, oczywiście, truizm. Wszyscy bowiem, nawet nie pływający wiedzą, że najlepiej wypoczywa się nad wodą. A cóż dopiero na wodzie! Ale o tym wiedzą już tylko turyści — wodniacy.

Wiedzą oni jednak także, że jest to również żywioł i to bardzo wymagający, a czasem niebezpieczny, jeśli się go zlekceważy, lub nie doceni. Dlatego ludziom mającym do czynienia z wodą, zarówno zawodowo jak i turystom — wodniakom, stawiane są wyższe wymagania niż innym. Na wodzie sprawdzają się tylko wysokie umiejętności, sprawność, odporność, odpowiedzialność, rozważa, skromność wobec żywiołu. Istnieją także pewne niepodważalne prawdy, które można tak sformułować:

- woda conajmniej jednego nie lubi i conajmniej na jednym się nie zna: nie lubi lekceważenia i nie zna się na żartach.
- woda jest surowym i obiektywnym egzaminatorem: konsekwencje za błąd ponosi się natychmiast, bez możliwości poprawki.

Jeśli w trudnej sytuacji nie pamięta się o tym i w dodatku zabraknie trochę umiejętności zabawa zwykle kończy się mało przyjemnie. Praktyka, także turystyczna, dostarcza ciągle nowych dowodów na słuszność tej tezy.

A oto kilka przykładów.

Zimowy spływ na Brdzie. Mroźny lutowy dzień. Odcinek rzeki łatwy, prosty, nurt czysty, tylko konary nadbrzeżnych drzew sięgają do kilku metrów nad wodę. Płyne chłopak z dziewczyną, która wbrew zasadom siedzi tyłem do kierunku płynięcia i nie widzi rzeki przed kajakiem. Oboje roześmiani opowiadają sobie widocznie coś wesołego. Dopływają do drzewa, z którego zwisa pionowo gruba, goła gałąź nie do przeoczenia, zdawałoby się, przez sterującego chłopaka. A jednak! Wpływają prosto na gałąź, która uderza dziewczynę w plecy. Gwałtowne szarpnięcie, woda zabiera spod nich kajak i wywrotka! A zamiast perlistergo śmiechu tylko parę „bulgotów”. Wyciągniętym z wody delikwentom nie było już „cosik do śmiechu”. Zapłacili za zlekceważenie możliwości nagłego powstania niebezpieczeństwa uspieni spokojnym odcinkiem rzeki.

### Inny przypadek. Również Brda zimą.

Zwalone drzewo przegradza prawie całą szerokość rzeki. Któraś z załóg nie „wyrabia”, nie trafia w wąskie przejście i zostaje przyciśnięta do zwalonego drzewa. Robi się zator. Tymczasem nadpływają inne kajaki. Wybiegam 30—40 metrów przed przeszkodę i kieruję je na rozpoznane bezpieczne przejście, przed którym jednak 15—20 m leży inne drzewo przegradzające nurt na ok. 1/3 szerokości. Kajaki kolejno przechodzą przeszkodę. Po minucie płynie pojedynczy kajak. Wskazuję właściwą drogę, ale chłopcy obserwując zbliżającą się przeszkodę odłożyli na parę sekund wiosła — obaj jednocześnie! Krzyczę — uwaga na drzewo! Ale jest już za późno. Szybki w tym miejscu prąd rzuca kajak w koronę przewróconego drzewa, wyrwa go z pod niefortunnych kajakarzy. Wyciągnięcie „topielców” trwało nie dłużej niż 2—3 minuty, ale drugi z nich zapytany podczas przebierania: zimno ci?, odpowiada przez zaciśnięte zęby: —nnnie... nnnie... zzzimno. To był jednak luty. I była to też cena „zagapienia się” na kilka sekund w trudnej sytuacji.

### Poprad. Tym razem lato.

Na progu skalnym przed Starym Sączem woda kotłuje potężnie. Idzie duży spływ. Są wywrotki, ratownicy czuwają więc bez przerwy na głębiny za progiem wyławiając pechowców. Nadpływa kolejny kajak z załogą opiętą fartuchem. Nie „wyrabiają”! Jest wywrotka, ale chłopak jest świetnym wioslarzem i, jak w „eskimosce”, stawia kajak do normalnego położenia zanim zdążyli z niego wypaść. Tyle, że nabrali jednak wody i zanurzenie zwiększyło się do poziomu powyżej połowy burty. Siedząca z przodu dziewczyna widocznie oszołomiona przygodą i chyba zdumiona łatwym z niej wyjściem pisnęła radośnie i obejrzała się, aby już bezpiecznie popatrzeć na przeszkodę, która ich „rzuciła”. Zbyt jednak już rozluźniona i uspokojona zapomniała, że należy to robić obracając się, a nie wychylając na bok. Przepełniony wodą kajak fiknął do góry dnem, a niefortunna para znalazła się znów w wodzie. Tym razem na dobre tak, że nie obyło się bez interwencji ratowników. A powód? Zbytne rozluźnienie?... beztroska?... zlekceważenie minionego już, zdawało się, niebezpieczeństwa? Chyba wszystkiego po trochu.

Woda okazała się jeszcze raz surowym egzaminatorem.

Bóbr.

Rzeka zabudowana sporą liczbą zapór, tam i innych budowli dla celów gospodarczych częściowo czynnych, częściowo zniszczonych przez wodę, skutecznie utrudniających pływanie. Idzie duży spływ. Jedna z przeszkód, wysoki dwustopniowy próg, budzi respekt. Ok. 75% uczestników przenosi kajaki brzegiem, ale część, po uprzednim rozpoznaniu z brzegu, spływa po kotłującym się na przeszkodzie nurcie. Jeden z nich jednak, płynący „jedynką”, pewny siebie, decyduje się na „skok” bez rozpoznania opierając się widocznie na dokonanej z daleka obserwacji spływania poprzedników. Z góry spłynął, ale nie rozpoznawszy dolnej części przeszkody dał się zepchnąć nurtowi na sterzącą tuż obok szynę, czy pręt zbrojeniowy, gdyż woda rwie zbyt szybko, aby skutecznie zareagować. Kajak uderzenia nie wytrzymał, przymusowa kąpiel i koniec spływu dla „kozaka”. Kolejna lekcja rozwagi i skromności oraz rachunek za nadmierną pewność siebie.

Opisane wyżej wypadki były, mimo wszystko, dość bezpieczne, bez poważniejszych skut-

ków dla ludzi. Bywa jednak także gorzej. Prześceniowanie sił i umiejętności, własna — czasem cudza — lekkomyślność, zwłaszcza na wodach trudnych, górskich, powoduje poturbowanie ludzi, uszkodzenie, a nawet zniszczenie sprzętu. Np. na jednym z Międzynarodowych Spływów na Dunajcu, na nieco trudniejszej niż zwykle wodzie, uległo poważnemu uszkodzeniu, lub zupełnemu zniszczeniu ok. 300 (wg ocen szacunkowych) kajaków wyeliminowanych z imprezy już na pierwszym etapie. Podłoże tych wypadków jest zawsze takie samo: przekraczanie własnych możliwości i niedocenywanie żywiołu.

Z przypadków tych płynie jednak także korzyść. Zarówno ich obserwowanie, jak i czasem przeżywanie na własnej skórze, wzbogaca doświadczenie, uczy rozwagi i prawidłowości oceny sytuacji na wodzie. Prowadzi zatem do wzrostu kwalifikacji, zwiększania pewności i stopnia niezawodności w trudnych sytuacjach pływając coraz bezpieczniejszym korzystaniem z uroków i walorów kajakowej turystyki.

A jest to dobra szkoła hartu, doskonały wypoczynek i wspaniała frajda!

ZBIGNIEW WILK

EX-LIBRIS



BIBLIOTEKA  
RPK PTTK  
WŁODZI

P-279/2

